ISSN 2353-1037
nr 2(35)/2019
egzemplarz bezpłatny
marzec/kwiecień

projektor

kielecki magazyn kulturalny

IKONy w „DOMU PRACZKI"

Muzea – KRYZYS czy RENESANS ??

TaJEMne życie KOTóW

WIERSZE: GAWIN – FALA – PODLASKI – KUSIAK

Conan, manga, Sigalin i Śliwka

O czym myślę...?

Jan Nowicki

O tamtych czasach. Szczęsnych, jak mawia poeta. To wtedy właśnie, w oddalonej o 200 km Warszawie, w sierpniu, 55 roku odbywał się Światowy Festiwal Młodzieży.

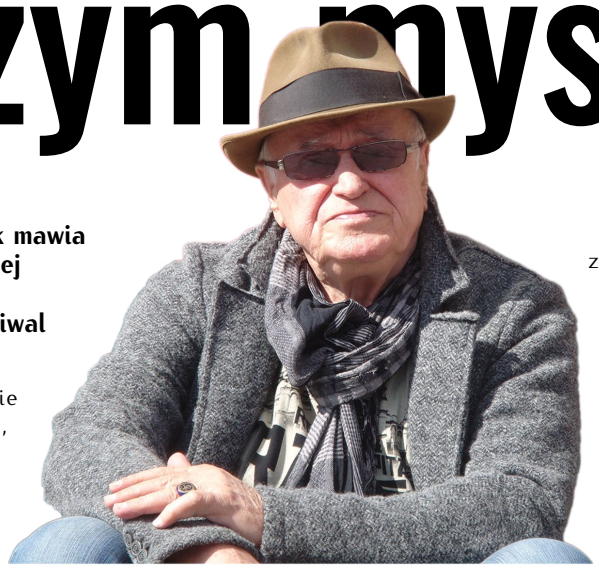

Fot. A.N.

Kumpel dotarł po mnie do Kowala z Bydgoszczy, na jakimś lśniącym „Bałtyku" z wyścigową kierownicą o wąskim siodełku, ukrytym przed światem w środku dupy. Ja od wujka Paszyńskiego pożyczyłem rower, u którego w przednim kole, spod opony wystawała dętka. Ale się to sznurkiem szczelnie obwiązało i ruszyło w stronę stolicy. W furtce zapłakana matka, ze słoikiem smalcu, którego z nerwów zapomniałem zabrać. Stała i krzyczała:

– Odwiedź tam ciotkę Helenę!

Ruszyliśmy prawą stroną. Ja za nim. A ten „jebaniec", żeby mnie upokorzyć, ciągle przyspieszał. Czerwony jak burak, spocony, ciągnąłem za nim na stojąco, z przerwami na zmianę zdartego sznurka na dętce.

Tuż pod Warszawą pożegnaliśmy się, bo ja udałem się w poszukiwaniu jakiegoś Rembertowa, gdzie mieszkała ciotka Helena – rodzona siostra mojego zmarłego ojca – Antoniego.

Przywitała mnie przy furtce małego domku i ledwie poznała.

– To Ty jesteś Jasiu? Synek mojego brata? Jezus Maria, jak Ty wyglądasz. Chodź, umyjesz się i coś zjesz.

Miednica z wiadrem stała za zasłonką. Gdy zza niej wyszedłem, zobaczyłem że siedzi zapatrzona we mnie jak w święty obraz i o czymś rozmyśla.

– Odwróć się! – rozkazała.

Nie bardzo wiedząc o co chodzi, pokazałem plecy i usłyszałem płacz. Cichy, tłumiony. Przez który z trudem przebijały się dwa słowa: „Czysty Antoś".

– Umyłem się ciociu – wybełkotałem. A na imię mam Jasiu.

Podeszła do mnie i zaczęła gładzić włosy na głowie. Usłyszałem:

– Jasiu! Tył głowy masz dokładnie taki, jak u Antosia.

A potem tym samym tonem:

– Zjesz coś?

Po chwili stanął przede mną głęboki talerz, wypełniony po brzegi znakomitą, suto zaprawioną śmietaną, cudownie pachnącą szczawiową. Wściekle głodny sięgnąłem po ogromną łychę i z miejsca zabrałem się do jedzenia.

Ciotka Helena, tymczasem ani przez moment nie spuszczała ze mnie rozkochanego spojrzenia. Sięgała po chusteczkę, którą cicho ocierała łzę, a potem z wielkim hukiem nos.

W pewnym momencie na brzegu talerza ujrzałem pierwszy, nieśmiały siwy włos. Spojrzałem ukradkiem na fryzurę cioci i już wiedziałem czyj. Wziąłem głęboki oddech i nie przerywając jedzenia, przesunąłem go dyskretnie na skraj talerza. Po paru łyżkach, stwierdziłem, że za pierwszym podąża drugi, a za drugim trzeci. Opanowany przy pomocy przełknięcia śliny, miałem już podziękować za poczęstunek, kiedy ciotka z czułością zagadnęła:

Niech się stanie co chce! Zjem wszystko! Talerz zjem. Łychę zjem! Obrus zjem! Ciotkę zjem. Zjem, zjem, zjem...

– Smakuje Ci?

– Pycha ciociu. Pycha!

– No to jedz kochany. Mój Boże! Taki kawał drogi rowerem. Musisz być bardzo głodny.

– Jestem ciociu. Jestem.

– To dlaczego nie jesz?

– Jem ciociu, jem – wyszeptałem z wędrującą gulą w gardle.

– Jaki Ty jesteś do Antosia podobny. Tył głowy jak u niego.

Jadłem i jadłem. Ale z miski nie chciało ubywać. Nagle zza połówki jajka wychylił się nieśmiało już nie włos, ale cały pukiel. No może nie pukiel, a loczek jaki noszą staruszki. Lekko skręcony, ujarzmiony gumką recepturką.

– Przepraszam ciociu – krzyknąłem i pognałem w stronę toalety, gdzie... wiadomo co.

Po powrocie usłyszałem:

– Jedz Jasiu, jedz, bo ci wystygnie.

No to znowu zacząłem. To błądzenie po zupie, w poszukiwaniu jadalnych fragmentów, których było coraz mniej. Bo widać recepturka pękła, a pukiel jak to pukiel rozpłynął się beztrosko po całym wnętrzu talerza w kwiatki i tylko czekał. Wiedziałem na co. Tacy jak ja wtedy, nie dawali łatwo za wygraną. Z zamkniętymi oczami postanowiłem konsumpcję przyspieszyć. Choć zapłakałem, bo nad łzami nie potrafiłem zapanować.

– Co się stało? Dlaczego płaczesz Jasiu?

– Ze wzruszenia. Dawno cioci nie widziałem. No i płaczę też z powodu tego mojego tyłu głowy, podobnego do tyłu głowy mojego tatusia.

Łycha za łychą. Niech się stanie co chce! Zjem wszystko! Talerz zjem. Łychę zjem! Obrus zjem! Ciotkę zjem. Zjem, zjem, zjem...

– Dolać ci? – usłyszałem ciepły głos ciotki Heleny.

– Proszę – wyszeptałem mokruteńki.

Udała się w stronę kuchni. W oczekiwaniu na dolewkę szybko wyciągnąłem grzebyk z bocznej kieszeni spodni i wyczesałem z talerza resztki siwych włosów, które przez łzy zaczęły mi powoli przypominać makaron z soi.

– Śpisz u mnie? – spytała z troską.

– Tak ciociu, nie mam gdzie się podziać.

– To dobrze. Na kolację odgrzeję ci resztę szczawiowej.

– Dobrze ciociu!

– Odwróć się Jasiu. Jezus Maria! Z tyłu czysty... Antoś.

www.projektorkielce.pl

„Nędzników" Wiktor Hugo zaczyna od frazy: *W roku 1815 pan Karol Franciszek Benvenuto Myriel zajmował stolicę biskupią w Digne. Był to starzec siedemdziesięcioletni, piastujący tę godność od roku 1806. Chociaż szczegół ten nie dotyczy w żadnym względzie treści samej naszego opowiadania, może jednak nie będzie zbytecznem, choćby dla zachowania dokładności we wszystkiem, spisać tu pogłoski i zdania, jakie o nim krążyły w chwili, gdy przybył do swej djecezji.* Pierwsze zdanie, które czytelnika uwiedzie, zapowie, lecz nie ujawni skrywanej tajemnicy. Monumentalny pięcioksiąg Hugo jest przecież – w istocie – opowieścią o intrydze, o niekończącym się śledztwie inspektora Javerta, na tle społecznej panoramy królestwa Francji okresu restauracji Burbonów i monarchii lipcowej, dla której kryminalny wątek stał się zaledwie pretekstem.

Lektura cyklu Henninga Mankella o komisarzu Wallanderze to nie tylko precyzyjny i świetnie napisany – rozłożony na kilkanaście ksiąg – epos o drobiazgowym śledztwie w poszukiwaniu morderców, skrzący od wisielczego humoru w dialogach komisarza z sądowym patologiem Nybergiem. Przygody genialnego policjanta z Ystad, jak w soczewce ukazują mentalną przemianę szwedzkiego społeczeństwa. W „Mordercy bez twarzy" Wallander jest jeszcze uprzedzonym i przerażonym emigracją prowincjonalnym urzędnikiem, który z każdym kolejnym śledztwem otwiera się na kulturową różnorodność współczesnego świata.

Śledztwo, o posmaczku prawie kryminalnym, dotyczyć też może postaci autora. I nie mam tu na myśli słynnego dramatu Pirandella, lub jednej z postmodernistycznych rapsodii Johna Bartha, lecz błyskotliwy debiut z lat 90. – „Rien ne va plus" Andrzeja Barta. Trawestującą i motyw faustowski, i oczywiście troszeczkę „Portret Doriana Graya" opowieść o dwustuletnich losach podobizny księcia d'Arzipazzi, mimowolnego, choć niemego obserwatora polskiej historii, zapamiętałem między innymi dzięki opisowi rosołu ze stu dwudziestu zwierząt, gotowanemu specjalnie dla Stanisława Augusta. Sprowokowała ona jednak dyskusję o tożsamości autora na seminariach magisterskich i w pokojach adiunktów. W konkursie kim jest Andrzej Bart, prowadził długo Marian Brandys, o kilka długości wyprzedzając Józefa Hena. Pisarz, który mógł stać się środkowoeuropejskim Thomasem Pynchonem, niedługo potem (niestety) zrzucił płaszcz tajemnicy i uwodzicielską – dla literaturoznawców – anonimowość.

Paweł Chmielewski

projektor
kielecki magazyn kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny
„Projektor"
dwumiesięcznik
ISSN 2353-1037
WWW.PROJEKTORKIELCE.PL
e-mail: projektorkielce@onet.eu
tel. 605 343 341
Wydawca: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit"
ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce
www.zenit.org.pl
Redaktor naczelny: Paweł Chmielewski
Okładka: „Król Zielony & Marszałkuńcio"
Logo: Tomasz Łukaszczyk
Skład, redakcja graficzna: Krystian Mucha

Współpraca:
Małgorzata Angielska,
Łukasz Lucjusz Dubin, Piotr Kardyś,
Piotr Kletowski, Lidia Kowalska,
Mirosław Krzysztofek, Agata Kulik,
Agnieszka Majcher,
Diana Michalska, Grzegorz Niemiec,
Dorota Nowak-Baranowska,
Jan Nowicki, Agata Orłowska,
Michał Płoski, Łukasz Rakalski,
Emmanuella Robak, Katarzyna Sobota

Zdjęcia:
Michał Jaroń, Lena Kolasa

Rysunki i komiksy:
Robert Kolasa, Jerzy Ozga

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadesłanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

Spis treści:

FELIETON – PATRZĘ I WIDZĘ

Jan Nowicki
0. O czym myślę...?

TEMAT NUMERU: TWÓRCZOŚĆ CZYTELNIKÓW

Marcin Podlaski
4. Wiersze

Robert Wieczorek
5. Wiersze

Zbigniew Brzeziński
6. Kultura i fenomen wędrowania *(O kulturowych konotacjach turystyki i pieszych wycieczek)*

Rafał Gawin
8. Wiersze

Jowita Fala
9. Wiersze

Błażej Tomaszewski
10. Wiersze

Iga Reczyńska
11. Wiersze

Arkadiusz Kwaczek
12. Ja tylko chciałem oprawić swój obraz *(Opowiadanie)*

Elvis Strzelecki
13. Wiersze

Mariusz Wróblewski
14. Rysunki

Paweł Kusiak
15. Wiersze

Agnieszka Czarnecka
16. Wiersze

Janina Raczyńska-Kraj
16. Wiersze

Aleksandra Perzyńska
17. Wiersze

Ewa Szatybełko
18. Koniec sezonu *(Opowiadanie)*

Michał Mazur
20. Wiersze

Monika Luque-Kurcz
21. Wiersze

Tomasz Kozłowski
22. Sąsiedzi *(Fragment powieści „Larva")*

Łukasz Szaruga
23. Wiersze

Patrycja Sikora
24. Wiersze

Sylwia Kanicka
25. Wiersze

Agnieszka Malonik-Taggart
26. Górnik w łańcuchach wciąż tańczy *(Muzyka i taniec w kulturze Republiki Południowej Afryki)*

Piotr Sobota
28. Jaskinia *(Opowiadanie)*

OBYCZAJE

Grzegorz Niemiec
30. Nie wierz, bo się omylisz *(Prima aprilis w historii i kulturze)*

Jerzy Ozga
31. Pro publico bono „Kantyna – bar" *(Komiks)*

HISTORIA

Dorota Nowak-Baranowska
32. Co pewien maharadża miał wspólnego ze Słowackim *(Polacy w Indiach podczas II wojny światowej)*

Piotr Kardyś
34. Co pewien Włoch zrobił dla świętokrzyskiego *(„Życie i twórczość Jana Filipa Carosiego")*

ARCHITEKTURA

Paweł Chmielewski
35. O człowieku, który nie ma ulicy w Warszawie *(Andrzej Skalimowski „Sigalin. Towarzysz odbudowy")*

ROK STANISŁAWA MONIUSZKI

Łukasz Rakalski
36. Jazz zobowiązany *(Włodek Pawlik „Pawlik/Moniuszko: Polish Jazz")*

TEATR

Agnieszka Majcher
37. Dystansu cokolwiek za mało *(Monodram Eweliny Gronowskiej i Mateusza Pakuły w Teatrze im. Stefana Żeromskiego)*

RETRO

Mirosław Krzysztofek
38. Tajemnicze menu *(Prawdopodobnie nigdy tego nie słyszeliście, ale to najlepsza płyta świata)*

Paweł Chmielewski
38. „Niedotykalny" z miasta Lemnos *(Prawdopodobnie nigdy tego nie czytaliście, ale to najlepsza książka świata)*

POPKULTURA

Paweł Chmielewski
39. Mr Robot, jak to jest zrobione? *(Paweł Gąsowski „Wprowadzenie do kognitywnej poetyki komiksu"; Rozalia Knapik „Sztuczny bóg")*

MUZYKA

Mirosław Krzysztofek
40. ***Robots and aliens stealing jobs*** *(Mudhoney „Digital Garbage")*; Album przed zaśnięciem *(Rustin Man „Drift Code")*

Lidia Kowalska
41. Tragedia przeistoczenia *(Oathbreaker „Eros/Anteros")*

KOMIKS

Piotr Kletowski
42. Nowe życie *(Kurt Busiek, Cary Nord, Greg Ruth „Conan – narodziny legendy")*

Paweł Chmielewski
44. Rotunda dla kolekcjonera – cz. II *(Jason Lutes „Berlin. Miasto kamieni"; Anna Krztoń „Weź się w garść"; Mieczysław Skalimowski „Dzieniewicze")*

MUZEALNICTWO

Łukasz Lucjusz Dubin
46. Kryzys czy renesans? *(O kondycji muzeów w Polsce)*

LITERATURA

Małgorzata Angielska
50. O tajemnicach i przemilczeniach *(Gillian McAllister „Wszystko oprócz prawy")*

Agata Orłowska
51. Miau, miau, miau! *(Champfleury „Koty. Historia, obyczaje, obserwacje, anegdoty")*

Emmanuella Robak
52. Chwalmy Bladego Króla *(Marcin Podlewski „Bezkres")*

Katarzyna Sobota
53. Ja i świat w trzech odsłonach *(Marta Podgórnik „Mordercze ballady"; Jan Rojewski „Ikonoklazm"; Anna Adamowicz „Animalia")*

DESIGN

Diana Michalska
54. Anonimowy kreator zbiorowej wyobraźni *(Wystawa Karola Śliwki w Instytucie Dizajnu)*

PLASTYKA

Agata Kulik
55. Chłopiec, który słucha pociągów *(Wywiad z Martą Adamowicz, artystką-video)*

Michał Płoski
56. Dwa spojrzenia na świętą ikonę *(Antoni Myśliwiec – fotografie, Paulina Krajewski – malarstwo w „Domu Praczki")*

Diana Michalska
59. Żołnierze Wyklęci w kostiumie sarmackim *(Wystawa malarstwa Ignacego Czwartosa w Muzeum Współczesnym Wrocław)*

NOWE TECHNOLOGIE

Paweł Chmielewski
60. Oko, które patrzy *(„Czego pragną drony?")*

MANGA

Piotr Kletowski
61. Przygody długouchego ronina *(Stan Sakai „Usagi Yojimbo Tajemnice")*

RÓŻNOŚCI

61. Galeria rysunkowa Roberta Kolasy

Paweł Chmielewski

Czy Urząd Miasta Kielce chce likwidacji magazynu kulturalnego „Projektor”?

Wiele na to wskazuje. Zacznijmy jednak od konkretów. Żadne czasopismo kulturalne w Polsce nie jest w stanie wychodzić bez pomocy finansowej – ministerialnej, samorządowej, fundacji państwowej, bądź domu kultury. Żadne.

Ile otrzymał – w szóstym roku istnienia – dotacji magazyn z Urzędu Miasta Kielce w 2019 r.? Zero. Od kiedy trwają starania? Od 26 września 2018 r. Jedyną odpowiedzią na pisma złożone przez wydawcę była trzyzdaniowa notka przesłana u schyłku stycznia (sugerująca de facto „upaństwowienie” gazety) oraz odmowa spotkania z przedstawicielami redakcji.

Czytelnik może zapytać – o jaką niebotyczną kwotę stara się redakcja? Niewiele ponad osiem tysięcy złotych miesięcznie (przeznaczonych na skład, opracowanie graficzne, honoraria autorskie, redakcję, korektę i druk magazynu). Wersję internetową, domenę, transport, wysyłkę w Polsce i poza jej granice, dodruk ponad 500 egz. (z 1400 nakładu) wydawca finansuje we własnym zakresie.

Powstaje pytanie, czy magazyn rozprowadzany w całej Polsce nie pełni funkcji promocyjnej, edukacyjnej i kulturotwórczej? A może swą rolę spełniły anonimy, regularnie wysyłane do urzędu, w których redakcji zarzucano „brak poszanowania wartości chrześcijańskich”, „promocję obcych kultur”, anonimy pełne ksenofobii, o charakterze antysemickim? Czy mieszkańcom Kielc nie jest potrzebny magazyn traktujący o najważniejszych zjawiskach współczesnej kultury, wydawany na wysokim poziomie edytorskim, zawierający artykuły autorów cenionych w Polsce?

Trudno odpowiedzieć. Brak merytorycznej reakcji ze strony Urzędu Miasta tego nie ułatwia. Zgodzimy się natomiast, że każda władza ma powinności wobec obywateli, również w dziedzinie edukacji i upowszechniania kultury. Darmowy magazyn pełni taką rolę. Jego czytelnikom (wersji papierowej i cyfrowej - 1400+20.000), instytucjom kultury, wreszcie kilkudziesięciu autorom należy się sensowne wyjaśnienie ze strony decydentów. To przecież „tylko” (lub „aż”) taki elementarny składnik społecznego ładu.

„Projektor” wciąż się ukazuje dzięki ofiarności czytelników i odwadze autorów. Jak długo?

PS. Już po wydrukowaniu magazynu otrzymaliśmy odpowiedź z Urzędu Miasta Kielce, który Doceniając kulturotwórczą rolę magazynu „Projektor” odmawia jego dofinansowania.

A „Projektor” nadal będzie się ukazywał☺

Kielecki magazyn kulturalny „Projektor”

potrzebuje **Twojego** wsparcia!

„Projektor” to magazyn non-profit

To olbrzymia baza artykułów o literaturze, teatrze, filmie, muzyce, komiksie, street arcie, sztukach plastycznych dostępna za darmo!

Na stronie www.projektorkielce.pl ponad 25.000 stron tekstów, 5.000 fotografii, 300 grafik i komiksów, setki recenzji książkowych, teatralnych i płytowych.

Możesz wesprzeć jego dalsze wydawanie wpłacając darowiznę na konto:
49 2030 0045 1110 0000 0248 9310
(z dopiskiem „darowizna na rzecz magazynu Projektor”)

Marcin Podlaski

***

Poezja wymaga ciała.
Błażej Tomaszewski

twoje rzęsy zagarniają noc, usta
chłoną smog, dłonie ściskają żołądek.
chciałbym zapiąć ci sukienkę albo na stopę
włożyć but, złapać wargi
w zęby i nie puścić. niepotrzebny mi tlen,
kiedy połykam słowo. jesteś każdym wierszem,
którego nie napisałem i nigdy nie napiszę.

yesterday

Lewisowi

te ulice znamy jak własne kieszenie
puste. kiedyś chłopakom robili zdjęcia na zebrze;
teraz kierowcy hackneyów trąbiliby z krzykiem
gtfo. przejście dla artysty jest na marginesie
wielkiej pięciolinii, ale pociesza nas pauza
po każdym akordzie, białe pasy na ruchliwej drodze.

wdech –

libia

w lokalnej architekturze króluje obsydian.
skarabeusze, znudzone, nabłyszczają kirys
prochem piachu. czy zauważyłeś, że nie ma tu żyjątek
o miękkim futrze? chityna. skóry suchsze niż kość
rozkopanej skamieliny. nie ma czym się schłodzić.
uzbrojonym mężczyznom majaczą skarby nikabów, a te zwisają
pajęczo postrzępione
z rzadkich kłączy. i pali, pali słońce ognistym
palcem, tym najmniejszym. modlimy się do pięści.

5 czerwca 2018

Marcin Podlaski (ur. 1993 r.). Doktorant językoznawstwa, studiuje na Uniwersytecie Masaryka w Brnie. Laureat XIII Połowu Poetyckiego organizowanego przez Biuro Literackie (2018). Publikował m.in. w czasopismach: „Helikopter", „Wakat", „Wizje", „Salon Literacki", „Féerie", „Tlen Literacki", „Inter-. Literatura-Krytyka-Kultura", a także w „biBLiotece" Biura Literackiego. Zdobywca kilku wyróżnień w ogólnopolskich konkursach poetyckich (m.in. „O Laur Opina", „Milowy Słup", „Poetycki Lombard") oraz I miejsca w kategorii debiut OKP im. Haliny Poświatowskiej (2018). Mieszka w Brnie.

przesterowanie: układ elektroniczny zrywa się

pracownik działu ubezpieczeń straszy karami finansowymi za
niedopilnowanie zgłoszenia o
odprowadzaniu składek z innego tytułu

boję się
wolałbym być nieubezpieczony ale przynajmniej bezpieczny
wolałbym żeby samo się mówiło
wolność słowa jest jak pozwolenie na ucieczkę niewolnikowi do
którego potem się strzela
albo jak przedsądowe wezwanie do usunięcia postu
nie napiszę już nic co mogłoby wywołać reakcję inną niż
fizjologiczna kciuk serce śmiech

boję się
nie chcę tego przechodzić nigdy więcej
otwieranie skrzynki na listy dwa razy dziennie
kompulsywne sprawdzanie maili i fb
co zrobiłem czy jestem przestępcą politycznym
ekonomicznym zalegam
ze spłatą długu zabiłem kobietę lusterkiem
jadąc zbyt blisko chodnika
to dlatego jest wyrwane?

boję się
kto dziś zapuka
a może nie może wyważą
co się stanie z tobą z rodzicami
jak mogę was obronić kiedy sam cały drżę

aktor sieci

w mojej klawiaturze brakuje klawisza ctrl
ALE ZA TO MAM CAŁKIEM SPRAWNY CAPS LOCK
AAAAAAAAAAAA
nie istnieje dla mnie niedostępny rejestr
jestem substancją z której destyluję *langue*
śliskie glizdy jelit / wiążę w bransolety i rzucam
łapcie wieprzki chrum chrum jakie dobre
jestem ostatnim bossem syndykatu syntaks
mam deep web powiązań i nie zawaham się go przeciąć
sieci w centrum siedzi *caerostris darwini*
tak że (nauczcie się wreszcie pisać to poprawnie)
pilnuj obojczyka obojczyk piękne słowo
w mojej qwercie nie działa a raczej panuje kompletny brak ctrl
test redukcji nie daje satysfakcjonujących rezultatów
więc dopełniam kontrastywnie: **x to mój przyjaciel i nie wie co u mnie*
ewidentna dewiacja chyba że to zdanie eliptyczne
z wyłączonym komponentem *ten fałszywy skurwiel* //

Robert Wieczorek

fragment listu nieznanego zeka do Nadieżdy Mandelsztam znaleziony na stacji kolejowej w Woroneżu

biało tak biało że powinien tu być raj
czysta ziemia zapisana dobrym życiem
pani Nadieżdo
płatki śniegu mają tyle kształtów
czasem układają się w słowa
czasem w skrzypce

ubite pod butem
krąg za kręgiem coraz głębiej
pani Nadieżdo
w drodze na Kołymę mróz nauczył się rysować
święte twarze na deskach wagonów
lęk na policzkach

no i śmierć
na saniach w mundurze wśród widm
Pani Nadieżdo
trzeba się nauczyć na pamięć
słów pospiesznych i wierszy
przemycić na brzeg

gdzie życie zacznie kiełkować jak przebiśnieg

fragment listu Teopompa z Chios do Izokratesa

historia nie jest sztuką – przypomina matematykę.
liczysz jeńców, objętość trucizn, odejmujesz
daty i dodajesz kolejne. funkcje zmian granic

zamykasz w wykresach marszrut. interpretacje
to już kwestia polityki. zmieniasz *x* na nazwisko
jeśli uda ci się dotrzeć do źródła. oto jest prawda.

oto jest sprawca. popiół ma swoją przyczynę. cud
obrócony w nicość i symbol nowych czasów –
wszystko ma swoje imię. zaznaczam. choć płaczę.

choć prawo stanowi inaczej i spełniam marzenia
szaleńca. bo po to spisuję historię, by cisza
nie stała się kłamstwem. równanie musi mieć wynik

choć sam chciałbym inaczej.

Robert Wieczorek (ur. 1969) w Pińczowie, mieszka w Kielcach. Publikował w czasopismach: „Akant", „Kozirynek", „SZAFA", „SALON LITERACKI", antologiach pokonkursowych. Laureat głównej nagrody w konkursie im. B. Mikoszewskiego (2009), nagrody specjalnej w Konkursie Literackim im A. Babaryki (2012), I miejsca w konkursie „O Granitową Strzałę" (2013), II miejsca w Konkursie im. H. Snopkiewicz (2018). W 2014 r. wydano jego tomik wierszy „Złodziej imion" (Kraków, Wydawnictwo MINIATURA).

fragment listu Cecylii Arisz do Aagfe Van der Voegh

ta czerń trzyma jak imadło, jest i ziemią, i niebem,
gładką przestrzenią za którą zacierają się kształty i litery,
ale nie jest jedyna.

patrzę na białe kryzy, blade twarze, na których
wykwitają rumieńce,
wyciągnięte szyje ptaków nad martwą rybą.
widzę odkryte ścięgna, rozkrojoną skórę, mechanizm,
w którym ktoś czyta jak w otwartej księdze.

ja znam tylko ból, nie wiem jak wtedy zginały się stawy,
nie wiem, które kości robiły największe siniaki na mym ciele,
które mięśnie czyniły go zwinnym złodziejem.

pamiętam swój strach, kiedy wracał przed świtem,
śmierdzący dżumą
znad kanałów, bliższy w swej anatomii do wieprza.
leży teraz jak świniak, tylko zamiast rzeźnika zacni obywatele
uczą się, jak korzystać ze śmierci.

w tej ciepłej bladości, w tej ciemności po krawędź,
w otwartym ciele i zapiętych po szyje kołnierzach,
gdy sprawiedliwy wywodzi swą mądrość z martwego łotra,

jest w tym wszystkim harmonia. darowanie win.

fragment listu Mileny Jesenskiej przechwycony przez Fritza Suhrena

gdyby był robakiem zwinęłabym go w liść,
niosła długo, długo między piersiami
aż gryzłby mnie do krwi,
gdyby stał się szafą w moim pokoju
zaczęłabym grę w chowanego,
by rozkoszować się każdą drzazgą wbitą w skórę.

Tłumaczyłam go, by nie był sam,
by jego szamotanie nie było tylko ucieczką myszy
zatrzaśniętej w labiryncie,
by wszystkie krwotoki, bezsenne ciemności,
nie były tylko wpisem w pamiętniku, wyznaniem,
który spłonie wśród ukłonów przyjaciół.

Pięć dni razem to nie jest całe życie –
ale może nim być. rozpisujesz dni na listy,
gorączkujesz noce na księżycowym zamku,
ulica jest daleką Ameryką.
Wszystkie procesy jakie zachodzą w nas i wokół
prowadzą do nicości.

Ludzie się rozpadają, jak potem składać płatki popiołów
w jeden organizm? widzę Józefa, widzę Jezusa,
idą przez plac jak bracia bliźniacy.
Może ocaleją z ognia jakieś drzwi, jeden dzień

Zbigniew Brzeziński

Kultura i fenomen wędrowania

Ludzie chodzili od zawsze. Zbierali żywność, gonili zwierzynę, migrowali, pielgrzymowali, brali udział w krucjatach i wojnach. Długodystansowe marsze dla przyjemności to jednak stosunkowo nowe zjawisko kulturowe.

W Górach Świętokrzyskich rozwój turystyki wiąże się nierozerwalnie z osobą Aleksandra Janowskiego (A. Janowski, Wycieczki po Kraju, t. I (Kielce – Chęciny – Karczówka – Góry Ś. Krzyskie – Bodzentyn – Wąchock – Iłża – Radom), Warszawa 1902). To w jego „Wycieczkach po kraju" czytano o podstawach wędrowania i szczególnie atrakcyjnych trasach. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Turystycznego nieraz zwracał uwagę na przewagę wycieczki pieszej nad zwiedzaniem w jakiejkolwiek innej formie. Ot chociażby pisząc o liczbie uczestników ekspedycji: *Co do ilości osób najlepiej dają się urządzić wycieczki po trzy lub cztery osoby, bo ilość taka na jedną furmankę najłatwiej się zabierze i nocleg najprędzej zarządzi. Piesze wędrówki mogą być znacznie liczniejsze, ale wtedy z wielu wygód zrezygnować należy. Za to humor i swoboda obficie powetują brak wygód* (s. 10). Co należało zabrać ze sobą obowiązkowo w taką drogę? *Wina czerwonego trochę jest bardzo w drodze przydatne, bowiem tak do wody, jak i do herbaty dolewane, czyni je smaczniejszymi i zdrowszymi.* (s. 9).

W swoich książeczkach poświęcił też chwilę na refleksję nad sensem wędrowania: *Śmiało więc niechaj wędrownik pospieszy do tych zakątków ziemi ojczystej, bo wycieczka taka da mu zdrowie ciała i duszy, niejedno cierpienie boską siłą przyrody ukoi, a stargane pracą i stołecznym życiem nerwy do łagodnego i ożywczego akordu z całą bogatą matką naturą dostroi* (s. 10).

Panie na szlaku

Bodaj najpoważniejsze przemiany zaszły od czasów Aleksandra Janowskiego w obecności pań na szlakach. W „Wycieczkach po kraju" pisał on tak: *Aby możliwie dobrze zwiedzić Góry S-to Krzyskie gorąco mogę polecić, aby od S-tej Katarzyny, przez szczyt gór przejść do Nowej Słupi. Dla pań jest to wycieczka może trochę za forsowna, panowie jednak zupełnie bez wyczerpania dadzą sobie radę. Przejście piechotą od Klasztoru S-tej Katarzyny do Klasztoru S-to Krzyskiego zabierało mi od 3 do 5 godzin czasu* (s. 18-19).

Po pierwsze trzeba przyznać, że Janowski chodził rześkim tempem. Po drugie kobiety już od dawna zdobywają nawet góry najwyższe. Zgodnie ze statystykami VI Sudeckiej Żyletу, imprezy uznanej rok temu przez internautów za najtrudniejszy maraton pieszy w Polsce, 16 lutego 2019 roku wystartowało 675 osób, w tym, zgodnie z tabelą zapisów na stronie Ultimasport, 277 kobiet. Wojciech Pasek, sekretarz kapituły tytułu honorowego Superpiechur Świętokrzyski, tak napisał we wstępie do podsumowania edycji z 2016 roku: *Kobiety, bez względu na wiek, już dawno przestały ustępować mężczyznom wytrzymałością i psychiczną odpornością. Dowód na to można znaleźć na mecie każdego z naszych maratonów.*

Fenomen długodystansowego wędrowania, czyli skąd nas nagle tylu?

Zapisy na III Zimowy Maraton Świętokrzyski (odbył się 19 stycznia 2019 roku) trwały zaledwie trzy minuty i dwadzieścia sekund. Tyle wystarczyło, by wypełnić limit 475 uczestników i otworzyć listę rezerwową. Na IV Maraton Pieszy Przedwiośnie (06.04.2019 r.) – dwie minuty i jedenaście sekund... Podczas rejestracji na wspomnianą VI Sudecką Żyletę padł serwer... Podobnie jest od pewnego czasu przy zapisach na inne marsze długodystansowe. Jeśli jednak pomyślimy, że zapisy na I Przedwiośnie trwały „aż" kwadrans, a limit wynosił zaledwie siedemdziesiąt pięć miejsc, znajdziemy się w innej rzeczywistości. Szóstego kwietnia na tej wymagającej, liczącej siedemdziesiąt sześć kilometrów trasie pojawi się trzysta osób, a chętnych było, co najmniej drugie tyle. Imprezy długodystansowe zaczęły cieszyć się szalonym zainteresowaniem. Przyciągają biegaczy długodystansowych, miłośników nordic walking, trenerów fitness, reprezentantów służb mundurowych i oczywiście wędrowców. Wszyscy chcą się zmierzyć z drogą i ze sobą. Czasem nie przekładając sił na zamiary, skoro ową VI Sudecką Żyletę przeszło 350 osób z 675 startujących.

Rozmawiałem kiedyś o tym fenomenie ze znanym z cotygodniowych relacji z wędrówek po szlakach rozmaitych Andrzejem Armadą. Siedzieliśmy w Miedznej Murowanej po zakończeniu Maratonu Po Ziemi Opoczyńskiej (50 kilometrów). Stwierdziłem, że na koniec przydałaby się ankieta i zapytanie uczestników, po co wzięli udział w tej imprezie? Andrzej odpowiedział: „pewnie każdy z jakichś swoich osobistych powodów". Główny organizator tego marszu, Krzysztof Niewadzi, mówił podczas oficjalnego zakończenia, że kiedy włóczyli się po płaskich opoczyńskich terenach, uważano ich za wariatów, kiedy zaczęli nosić numery startowe – za sportowców.

Szacunek dla gór i tatrzański klapek

W maju 1991 roku drugi raz w życiu byłem w Tatrach. Na dole pogoda była całkiem przyjemna, ale powyżej schronisk wciąż leżał śnieg i to w pokaźnych ilościach. Szliśmy we dwóch na ostatnią „turę". Na początku szlaku podeszli do nas dziewczyna i chłopak. Przywitali się i zapytali o parę lat starszego ode mnie Grześka Pawlika (taternik, przewodnik świętokrzyski, twórca jednej z pierwszych stron internetowych o Górach Świętokrzyskich):

- Przepraszamy, co to znaczy, jak jest czarna kropka w białej obwódce? Czy to oznacza, że nie można iść szlakiem?

Chodziło oczywiście o pierwszy znak, o początek szlaku, ale w tej ignorancji było coś, co było piękne – szacunek dla gór, lęk przed potęgą tatrzańskich kolosów. Z czasem zaczął zanikać i zastąpił go „tatrzański klapek", symbolizujący tabuny ludzi bez należytego przygotowania.

Janusz Kurczab w „Filarze Kazalnicy" opisując tłum na Krupówkach w latach sześćdziesiątych XX wieku przedstawił go tak, jak pewnie zrobilibyśmy to i dziś: mnóstwo wczasowiczów i gdzieniegdzie przemykający ci, którzy przyjechali chodzić lub się wspinać. W czasach Kurczaba wyróżniały ich brezentowe plecaki. Ten tłum z Krupówek prędzej czy później musiał odkryć, że gdzieś tu obok są jakieś góry. A kiedy już je odkrył, to w nie ruszył. Wypełnił gwarem dolinki, popularne szlaki, czy osiągalny kolejką szczyt Kasprowego. Wciąż jednak wystarczy iść w mniej popularne rejony, wyruszyć wcześniej, by spotkać się sam na sam z drogą. Prawie nikt już nie pamięta, że historia zdobywania Tatr to również historia śmierci. W przewodniku „Tatry Polskie" Józefa Nyki spotkamy przecież i opowieści o ludziach, którzy ginęli z wycieńczenia na szczytach nie mogąc znaleźć bezpiecznej drogi w dół. Dziś wszystko jest prostsze.

Ludzie w górach

Bez wątpienia dawniej ludzi na szlakach było mniej. W 1992 wędrując z Wołkowyi do Chatki Puchatka na Połoninie Wetlińskiej spotkaliśmy przez cały dzień na trasie jednego człowieka. Dopiero w schronisku było kilka osób, które trafiły tu innymi drogami. W 1990 przechodząc Jurę Krakowsko-Częstochowską nikogo poza najpopularniejszymi ruinami zamków, gdzie zawsze było parę osób. Ludzi w górach jest więc więcej, ale to, co jeszcze ważniejsze – ludzie w górach są inni. Zwrócił na to uwagę Włodzimierz Wysocki, który poznał środowisko radzieckich wspinaczy podczas kręcenia filmu „Pion"

(„Vertikal" 1966 rok). Podczas jednego z zarejestrowanych koncertów opowiadał, że to nie tacy sami ludzie jak na dole, że w górach noszą się nadzwyczaj godnie.

Podobną historię opowiadał kiedyś ceniony polski alpinista Konstanty Miodowicz. Wspinali się w Tarach w zespole z jednym ze starszych taterników. Gdy znaleźli się na szczycie, tamten uśmiechnął się szeroko, rozkrzyżował ramiona i powiedział:

- W górach to jest fajnie!

- Tak! – odkrzyknęli Miodowicz i reszta młodzieńców.

Weteran spojrzał na nich i powiedział:

– Co wy tam wiecie, studenciny, jak ja na co dzień to jestem węglarzem na Bródnie.

I tu ocieramy się o sedno. Drogi i góry nie obchodzą tytuły naukowe, czy pozycja społeczna. Nawet jeśli jest tak, jak podczas niedawnego spotkania w Kielcach powiedział himalaista Aleksander Lwow, że zdobycie najwyższej góry świata stało się bardziej kwestią pieniędzy niż czegokolwiek innego. Wciąż jest normalne, że w drodze, w schronisku, czy na szczycie ludzie zaczynają rozmowę bez powitania i prezentacji. Ot tak, bo czują potrzebę, żeby kogoś zagadnąć, podzielić się jakąś opowieścią, refleksją, wrażeniem. Jesteśmy w górach, więc jesteśmy tu sami swoi. Większej zażyłości nie trzeba, droga sama wystarczy. Wspomina się, rozmawia o sprzęcie, pyta o dalsze plany, albo czerpie z czyichś doświadczeń, z jakąś przebytą już trasą.

Słowo o sprzęcie

Skoro już wywołałem ten temat, przyjrzyjmy się zmianom, które zaszły. Trochę na zasadzie zderzenia tego dawnego wędrowania z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy namiot można było rozbić omalże wszędzie i współczesnych imprez długodystansowych.

Cały majątek nosiło się w plecaku, bo innego wyjścia nie było. Przed wyprawą ustalało się minimalną ilość „pancerników" (konserw) na głowę i każdy się z tego uczciwie wywiązywał. Ze względu na ekonomikę smarowania pieczywa preferowaliśmy produkty tanie i wydajne. I tak na przykład na wspomnianej Jurze mieliśmy pełno „Pasztetów Mazowieckich", jedną konserwę mięsną i jedną rybną. Tuszonka zresztą się wzdęła po drodze, ale ustaliliśmy, że wolimy umrzeć od spuchniętej konserwy niż od pasztetu i zjedli ze smakiem. Na szczęście obeszło się bez skutków ubocznych tego desperackiego czynu. Nie było napojów izotonicznych i batonów energetycznych, za to garkuchnię można było wykopać pustą puszką na każdej polance i uwarzyć w garnku nieco ciepłej strawy, albo przynajmniej zagotować herbatę.

Namioty były ciężkie, dlatego najlogiczniejszym wyjściem było ich rozpakowanie i podzielenie elementów na uczestników wyprawy. Ktoś dźwigał szpilki i śledzie, ktoś inny tropik, następny rurki masztów. Dodatkowy ciężar, ale za to w miarę sprawiedliwie porozkładany. A przy długiej wyprawie ta sprawiedliwość jest ważna, bo trzeba ze sobą trochę wytrzymać i nie ma co rozpoczynać od czyjegoś poczucia krzywdy.

Buty i odzież to odrębna historia. O obuwiu do trekkingu nikt nie słyszał. Nosiło się więc dowolne buty sportowe. Popularne też były zamszaki, o ile ktoś dostał takie na „traktorze". Na cięższe trasy zabierało się glany albo buty wojskowe z charakterystycznymi opinaczami. Wszystko raczej ciężkie, oczywiście przemakające i nieprzepuszczające powietrza. O membranach typu Gore-Tex nikt nie słyszał, tak samo, jak i o podeszwach Vibram. Z kurtek dość popularne były harcerskie kangurki, ale każdy nosił, co udało mu się kupić. No i oczywiście, tatrzańskim wzorem, nosiliśmy flanelowe koszule. Spodnie? Jeansy, od dresu, piłkarskie krótkie spodenki – kto co miał. Pierwszy polar zobaczyłem w Tatrach w 1991. Był własnością wspomnianego Grześka Pawlika. Kosztował pięć milionów starych złotych i byłem pewien, że w życiu na taki nie uzbieram. Na szczęście technologie tanieją, a mnie udało się w 1998 znaleźć dobrze płatną pracę na wakacje. Za zarobione pieniądze kupiłem nie tylko kurtkę z polaru, ale i 35-litrowy plecak Karrimora, taki typowy worek górski, węższy niż plecy. Mam go do dziś. Jedyne co nawaliło, to naderwałem komin.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych o takim worku nawet bym nie pomarzył, bo nie wiedziałem, że takie istnieją. Najpopularniejsze wówczas plecaki to albo charakterystyczne bombki na jednodniowe wypady (od biedy nadał się chlebak, nim wzbogaciłem się do tego stopnia, żeby mieć bombkę, dwudniowy rajd harcerski z moim zastępem „Czarnych Panter" przeszedłem z chlebakiem na plecach, w którym zmieścił się cały mój podróżniczy majątek), albo stelaże na dłuższe trasy.

Biwakując trzeba jeszcze na czymś spać. Karimaty powoli wchodziły na rynek (swoją kupiłem w 1995 roku). Częściej jednak nosiło się ciężkie, dmuchane materace. Worek ze zwiniętym śpiworem, przypominającym cienką kołdrę, miał co najmniej trzydzieści centymetrów średnicy. Niektóre plecaki ze stelażem miały nawet zostawione na niego miejsce między komorą główną a górną klapą, na przykład model Rysy, którego używałem.

O kijach trekkingowych też nikt u nas nie słyszał. Cóż się dziwić? Józef Nyka w swoich „Tatrach Polskich" jeszcze dekadę później (wydanie z 2003 roku) pisał o nich: kijki narciarskie. A przecież poważne chodzenie po Tatrach zawsze było bardziej profesjonalne niż to po Górach Świętokrzyskich. Nie było też lekkich latarek czołowych. Używaliśmy modelu Patrol na trzy baterie R20. Duża siła światła, ale też i duży ciężar, no i konieczność noszenia w ręce.

Najbardziej jednak do chodzenia potrzebne są nogi i wola ich używania w terenie, a te na szczęście mieliśmy i mamy do dzisiaj.

Profesjonalizacja wędrówek

Ta profesjonalizacja przejawia się nie tylko w sprzęcie, bieliźnie termicznej, czy stuptutach. Wraz z rozwojem organizowanych imprez długodystansowych pojawiły się rozmaite udogodnienia – od wytyczenia bezpiecznej trasy, po punkty żywieniowe i dowóz na start. Kiedy w 1995 roku postanowiliśmy przejść w jeden dzień szlak im. Edmunda Massalskiego w składzie Maciej Lisowski, Piotr Krzemiński i ja wszystko układaliśmy sami i mnóstwo z tego planu poszło nie tak.

Założyliśmy, że wystartujemy z Kuźniak, przez co najwyższe szczyty Gór Świętokrzyskich zostały na koniec. Postanowiliśmy ruszyć o świecie, a że nie było jak dojechać na początek drogi. Biwakowaliśmy więc bez sprzętu na stoku Perzowej. Lekko połamani po takim wywczasie ruszyliśmy dziarsko z pierwszymi oznakami wschodu słońca. Z Radostowej (mniej więcej połowa trasy) zgoniła nas burza i zmusiła do jej przeczekania w Ciekotach. Ze Świętego Krzyża schodziliśmy już o zmroku, a ludzie, którzy pytali, czy idziemy do Nowej Słupi, po otrzymaniu odpowiedzi: „nie, do Gołoszyc", z trudem powstrzymywali się od pukania w czoło. Ostatecznie dotarliśmy po dwudziestu dwóch godzinach marszu do Przełęczy Karczmarka, mniej więcej osiem kilometrów od celu. Tu doszliśmy do wniosku, że dalsza walka nie ma sensu. Kolejny biwak pod gołym niebem i rano parę kilometrów spaceru do szosy głównej, by dostać się na busa. Dziś podwieźliby nas na start, wykarmili po drodze, oznaczyli trasę tak, żeby się na niej nie zgubić i otoczyli troskliwą opieką. Szacunek dla organizatorów i wolontariuszy! To, że mamy w województwie tyle pieszych imprez długodystansowych i na tak wysokim poziomie, to zasługa ludzi dobrej woli, z pasją i wizją.

To po co się idzie w te góry?

Pewnie do końca życia będę się nad tym zastanawiał. W ubiegłym roku poświęciłem tej kwestii opowiadanie – „Dotyk góry" dostępne na portalu Fantastyka.PL. Może krajobrazy, widoki, panoramy i zdobyte szczyty to tylko miłe dodatki? Może w chodzeniu chodzi o to, żeby spotkać się z samym sobą, bo im człowiek starszy tym czasu na takie spotkania ma mniej? Spotkać się z najbliższymi, bo w zaganianym dniu i o to trudno. Porozmawiać z kimś, kto też jest w drodze. Idzie się też po doświadczenie życia. Droga jak los ma swój początek, ma swój kres, bywa wyboista, trudna, stroma, czasem niebezpieczna. Łatwiej sobie poukładać życie w głowie, powielając co jakiś czas ten trening. Żyje się z większą świadomością siebie i innych, pełniej. Jeszcze, żeby tylko wszyscy pamiętali, że papierek po cukierku waży na tyle mało, że bez trudu doniesie się go do śmietnika... I dbali o pozdrowienie innego wędrowca na szlaku.

Zbigniew Brzeziński (ur. 1973), kielczanin rodem z Suchedniowa, absolwent m.in. London School of Public Relations, uzyskał też irlandzki Diploma In Journalism. Publikował m.in. w „Nowym Filomacie", „Almanachu Historycznym" i Świętokrzyskim Miesięczniku Kulturalnym „Teraz". Współautor „Świętokrzyskiego Słownika Biograficznego". Autor opowiadań fantasy, pod pseudonimem „Wilk który jest" pisze na Fantastyka.PL. Ostatnio wydał tomik „Drolerie".

Rafał Gawin

WIARA MATEK. PRZYCZYNEK DO NAUKI O ZNIKANIU

Interesują mnie kobiety, które istnieją. Nie
niuansuję. To teraz takie modne: wejść w czynność,
która dzieje się wyłącznie w tobie, gdy nie widać
różnicy. Coś się tli, więc to duch albo jego
dym, potwarz dla przezroczystości, policzek
dla przyzwoitości w kolejach losu przekazu.
Rzeczownikoza? Ekran traci kontrolę nad wizją
szumów. Kobiety schodzą z pierwszego planu,
bo ktoś ustawił schody, do piekła, aż skwierczy
poprawność postawy. I tylko ogień
jest wolny? Wypalony, niczym dziura w dobrej
nowinie, wylatuję przez oko, puszczone
w pończosze na twarzy wiejskiego rzezi-
mieszka. Gdy przenoszę, nie urodzę
więcej. Tyle mi zostało z femiterroryzmu, takie czasy
nie mogą się zgodzić, taki naród nie wyda
zbawiciela w sztywnej oprawie. Rozprawie? Error!
Będę tak pytał, aż napytam sobie bogactwa,
aż z języka zostanie mi kropla śliny. Jad,
jad, jad na ulicach, choć głodne dzieci ssą
piłki niczym brzuchy i przyklejają się
do toreb, spakowane w tripie
za jeden wybity ząb.

RZECZYWISTOŚĆ NIE ISTNIEJE. MODLITWA O ZŁOTY DESZCZ

Odwróć się i zamień
w zdanie.

Nawet jeśli rozumiemy się bez słów,
to wiemy bez których. Czar pryska
na mnie i nie mam nic
na zmianę. Wszystko noszę
w sobie. Najlepsze,
że to nie pomaga, bo przecież
dawno cię tam nie ma. Dawno
i nieprawda. Jeszcze prościej
mógłbym to rozwiązać,
gdyby nie pętla na mojej szyi,
worek kamieni w dobrej wierze,
winie i karze. Pełne zanurzenie
w kulturze gwałtu, w naturze
skargi nadzwyczajnej. Czy aby
nie wymykamy się sobie przez zamknięte
usta? Kuszące parametry wpadają
w ciągi: stała, zmienna
i niewiadoma. Kto się spisze,
a następnie odda do dyspozycji
narządów z przeznaczeniem
i bez przebaczenia? Istnieją dowody
na życie poza cmentarzem.
Gdy zmartwychwstaniesz, już ja ci
pokażę.

JAŚ ZAKŁADA KAPELĘ Z MAMĄ, WIĘC BABA JAGA TRACI PRACĘ

Chłopak i dziewczyna to normalna rodzina
wyrazów. Nagrałeś to? Moja czarna skrzynka
tonie w oceanie. A ja tylko spuszczam wodę,
powietrze, ogień i ziemię. Serce? Kapitan
stracił planetę, niczym rękę i nogę,
gdy mózg na ścianie tworzy nowe
galaktyki. Jajecznica z proszku: walczę
dzielnie, ale się nie zaciągam. I tak stojąc
z boku, choć już opadając jak zeszłoroczny
wyciek – skandal! – sprawdzam się i olewają
mnie wszystkie definicje. Podobno wszystko
to złe słowo, gdy precyzja środków
wymaga uświęcenia, gdy różnorodność
radzi sobie wyłącznie na styku światów
obcych. Voodoo w poszukiwaniu
powtarzalności, kiedy ostatni rytuał
opiera się na szybkich kciukach bez
kompleksu ofiar głupich selfie. Pstryk?
Prowokować to wy, panie szlachcianki,
rentierki plus, leninki minus niczym spodnie
poniżej pasa. Taki stop, metalu z niewiedzą.
A polityka dalej obrączkuje, odmawiając
praw do logiki. W gorących krajach, rajach,
a jak, a jak. A szkoła wybiega z dzieci,
gdy grożą rewolucją parki, nieposprzątane.

PLAN ZDZISŁAWA

Wielcy politycy robią rzeczy trudne,
ale pożyteczne.
Leszek Balcerowicz

Bierz mnie na bank,
uczniu. Nie oszczędzaj
się. Zostań moim słupem
pożytku prywatnego.
Ego sum. Ergo
gnomicznie. Zbudź się,
zbudź. Zbrudź. Jak miasto,
które umarło, wzięte
brakiem siły.

Łódź, 25 listopada 2018, 27 lutego 2019

GRUBY ZAWIADOWCA BURZY BOBA BUDOWNICZEGO

A Tribute to „Brulion" V, feat. Piotr Gajda

– Jakie piwo kupić żonie?
– Takie, żeby się w końcu spiła i dała ci spokój.

Rafał Gawin (ur. 1984). Poeta, redaktor, korektor, recenzent, konferansjer i animator kultury. Sekretarz redakcji „Arterii". Instruktor w dziale programowym Domu Literatury w Łodzi, odpowiedzialny za wydawnictwa. Opublikował 3,5 książki poetyckiej, ostatnio „Wiersze dla kolegów" (2017), a niedługo „Jem mięso" (2019). Tłumaczony na języki, ostatnio rumuński, węgierski i słoweński. Prowadzi rubrykę „Wiersz wolny" w „Liberté!".

Jowita Fala

gdy czytasz mi z warg

gdy czytasz mi z warg
teraz piłka jest po twojej stronie boiska
możesz się wyżyć możesz wygrać możesz ustąpić pola
albo ostentacyjnie i spektakularnie wpaść w moją siatkę
zrobić mi dzień dobrze zakupy tak tak wchodzę ci
w słowo
teraz piłka jest po mojej stronie boiska
mogę dalej grać dalej kosić dalej uciekać i tracić cię z oczu
taki urok sportów bezkontaktowych i spadających
okularów gwiazd bez szans na życzenie
więc powiedz powiedz to słowo
wejdź do mnie i potknij się o nie

gdy spotka nas jakiś raj

gdy spotka nas jakiś raj
nigdy więcej nie będę karmić cię piersią
jesteś już dużą dziewczynką i choć świat
widzi cię w pastelowych barwach
nawet gdy masz okres po kres
odpowiada ci echem śmiechem grzechem
albowiem to twoje ciało jest winne
wodzi na pokuszenie
kradnie zabija składa fałszywe świadectwo
z czerwonym paskiem czasów
niczym w telewizji publicznej
gdy trzymamy się za ręce nigdy więcej
skazujemy się na wywarczenie wyćwierkanie
pożarcie niczym news
w tym nienasyconym kraju
gdzie zawsze będziemy ka

tak

tak
śnił mi się twój ślub:
monotonna ceremonia
i wesele w płonącej stodole:
wiejski stół niczym ubojnia:
tłum wujków śliniących się na wskroś
i alkohol który ci nie pomógł
zrzucić brzemienia tylko welon
zachowałaś dla mnie zachowałaś
gorącą krew mimo nocy
krótkich noży

Jowita Fala (ur. 1989) w Warszawie. Studiowała. Pisze wiersze. Publikowała w „Helikopterze", „Interze" i „Śląskiej Strefie Gender". Nie je mięsa. Ciągle coś traci.

Błażej Tomaszewski

faza lustra

rano mijam cmentarz – nowy dom mojej spadkodawczyni
(tak się teraz nazywa)

każdego ranka mijam cmentarz
a obok mnie siedzi żydówka

gear box to nasz *glitter box*
kluczę w jej udach szukam drogi

otwiera usta wypluwa język na deskę
rozrodczą

pluje wodorostami
rzyga ciężkimi oficerkami esesmana

napalona połyka własną pięść
puszcza oko w rajstopach

wciskam palec w jej krocze
drugi cmentarz mijam w czarnowie

codziennie rano walę w słup
codziennie kończę na dłoniach

centralnie

mój pociąg ma opóźnienie
czterdzieści minut bycia w pomiędzy
czterdzieści minut tycia w kfc

kurczak rozwiera nogi – stresuje mnie dzisiejszy seks
bo będzie seks

mój zegar biologiczny ma opóźnienie
wziąć do ust czy kręcić wskazówkami?

bydlęce wagony wjadą na twój peron z godzinnym opóźnieniem

na kawie się nie skończy
będzie seks

podnieca mnie twój żydowski nos
będę ciągnęła cię za czarne kłaki

mój pociąg

drugs kings and drag queens

sex gender narkotyki w szczelnych woreczkach
państwo z państwa trzech liter
gdzie czarny jest jedynie deszcz

bóg ma nogi i coś pomiędzy
wymaca ci siostrę i brata

śnię beztroskę o mokrym sromie judith butler
która wargami połyka treść podbrzusza niemowląt

a ja chciałam tylko smaku ust chłopca
który niósł trumnę mojej babci lesbijce

Błażej Tomaszewski (ur. 1993) w Bydgoszczy, gdzie obecnie mieszka. Emocjonalnie związany z Toruniem. Jego niewydana powieść pt. „Żebro Adamowe" zdobyła wyróżnienie w II edycji ogólnopolskiego konkursu Rozpisani.pl (2018). Jego wiersze można przeczytać w antologii „Wyjustowani. Antologia młodych twórców" (2018).

Iga Reczyńska

Arabskie noce: Al-Nisa

To jest dorosłość, staroświecki ceremoniał
sezonów, ułożenia słońca, gdy twoje włosy
jak rozarium powoli zmieniają barwę.
Tak mi powiedziałeś na Alexanderstrasse.

Teraz noszę twoje imię wyszyte na wargach
(a arabski alfabet niczym rośliny miododajne
– opada aż do serca zawsze w lewą stronę),
więc jestem czwartą surą, częścią księgi.

Al-Nisa (z arabskiego) – kobiety, 4 sura Koranu

Arabskie noce: Al-Intifar

Żeby być równą choć kwiatom mirtowców
i potrafić z łatwością otwierać się jak one
na dźwięk wezwania na modlitwę, piszę:

mój wojowniku o ciele ciemnym i ciepłym
niczym nagrzana ziemia, w te noce upalne
(myślę: twoje usta raniące mi wargi
wschodnimi smakami) tęsknię najbardziej.

Więc odkryta jak w chorobie, przed każdym
niepełnym snem w doskonałym języku odliczam:
półksiężyc, półcielesny, północ, półnagość,

półksiężyc...

Al-Intifar (z arabskiego) – rozdzielenie, 82 sura Koranu

Arabskie noce: Al-Lajl

Wrześniowa melancholia trudna do tłumaczenia:
wieczorne mgły na polach i zapach palonego drewna.
W tych momentach, gdy świat się kurczy jak mięsień serca
do jednego uderzenia, pamiętam dymne wonności
twojego ciała, białe sandałowce i roślinne żywice.

Pamiętam upalną noc, gdy mówiłeś: *Tęsknota za tobą*
jest równa jedynie pierwotnej tęsknocie za ojczyzną.
Jestem twoją ziemią, zamkniętą blizną od Morza Arabskiego
włosów (czy czujesz algi, mokry piasek i sól?) do stóp
Hindukusz (wieczny chłód jak chłód powietrza i skał).

To ukojenie podobne do mantr: dotykam warg,
pamiętam smak słodkiej zielonej herbaty, cytrusów i jaśminu.
Przechodzę łagodniej te wrześniowe melancholie, bo wiem,
że nasze przełamanie jest tylko fizycznym rozstaniem
- kiedy kładę się do snu, w piersi mam pół księżyca,

ty drugie pół.

Al-Lajl (z arabskiego) – noc, 92 sura Koranu

Wiosna w Berlinie

Pamiętam dobrze codzienną tęsknotę późną zimą
w Berlinie – za twoim ciałem ciemnym i lśniącym
jak liście mahonii na Havemannstrasse

(gdzie romantyzm długich nocy – gwiazdy spadające
z linii tramwajów, więc można wymówić życzenie:
niech miasto stanie w ogniu, niech pożar obejmie
ciała kochanków).

Teraz mamy pełną słodycz, ulice pełne białych łun
kwiatów dzikich drzew i zostaje tylko zanurzyć się
w miód nocy, wolno oblizać palec.

Iga Reczyńska (ur. 1987) w Kielcach. Studiowała filologię polską. Brała udział w slamach poetyckich. Jej utwory można znaleźć w miesięczniku „Teraz" i w internecie. Autorka książki poetyckiej „Ciało (boskie sezony)" (wyd. Miniatura, 2018). Mieszka w Berlinie.

Arkadiusz Kwaczek

Ja tylko chciałem oprawić swój obraz

Kupiłem obraz. Wygrałem licytację w internecie. Dużo osób brało w niej udział, ale nie mogli mnie pokonać. Byłem zbyt zdeterminowany, żeby go nabyć. Tak bardzo mi się spodobał. Kiedy kurier dostarczył przesyłkę do domu, byłem tak podekscytowany, że od razu zdecydowałem się pójść do sklepu, gdzie świadczono usługę oprawiania obrazów. Sklep miał swoją siedzibę niedaleko od mojego miejsca zamieszkania. Dotarłem do celu w niecałe dwadzieścia minut. Muszę dodać, że lokal budził pewien niepokój, ponieważ zupełnie różnił się od innych punktów tego typu. Nie posiadał ani szyb, ani witryny. Jedynie nad drzwiami wisiał szyld: GALERIA OBRAZÓW, OPRAWA I RENOWACJA.

Wszedłem do środka. Galeria była bardzo dobrze oświetlona, to w pewien sposób tłumaczyło brak potrzeby korzystania ze światła dziennego. Trzymając swój obraz w ręku, rozejrzałem się chwilę po wnętrzu galerii. Wszystkie obrazy na sprzedaż były surrealistyczne. Najtańszy kosztował pięć tysięcy złotych, pewnie dlatego, że nie miał dużego rozmiaru. Natomiast kilka z tych czekających na oprawę, które akurat można było dostrzec, w ogóle nie są warte wzmianki.

Wreszcie zza drzwi z napisem: TYLKO DLA PERSONELU wyszła osoba z obsługi. Była to bardzo ładnie i skromnie ubrana młoda kobieta. Miała na sobie białą bluzkę z kołnierzykiem oraz czarną spódnicę, buty na obcasie tego samego koloru. Najbardziej jednak zwracały na siebie uwagę jej włosy, białe jak śnieg, które w pierwszej chwili skojarzyły mi się z włosami drowów, elfów ze świata fantasy. Podeszła do lady i przywitała się ze mną.

Czym mogę służyć? – zapytała.

Dzień dobry, chciałbym oprawić obraz – powiedziałem, przekazując kobiecie przedmiot. Sprzedawczyni przez chwilę oglądała go w skupieniu, po czym odezwała się do mnie.

Bardzo ładnie namalowany. Szkoda tylko, że taki zwyczajny. Drewniany domek, góry, jezioro, to wszystko można zobaczyć w rzeczywistości. Wybrać się na wycieczkę, przy okazji dobrze wypocząć – powiedziała.

Uhm, to prawda, ale gdy się żyje w mieście i ma się ciągle mało czasu, to jakoś bardziej się takie rzeczy docenia, również na obrazie – odpowiedziałem.

Pewnie ma pan rację. Jaką ramą chciałby go pan ozdobić? – zapytała.

Myślę, że powinna być w kolorze domku, tak jakby kasztanowa – odpowiedziałem. Ta rozmowa była tak sztywna i zwyczajna, że postanowiłem ją trochę urozmaicić.

Przepraszam bardzo, czy te surrealistyczne obrazy są pani autorstwa? – zapytałem. – Wszystkie są sygnowane tym samym nazwiskiem.

Nie, przykro mi. To obrazy mojego znajomego – powiedziała.

Aha, są świetne. Surrealizm wydaje się być bardzo popularny. Jednak ceny za tego typu sztukę bywają tak wysokie, że raczej łatwo się nie sprzedają – stwierdziłem trochę bezczelnie.

To prawda, jak się sprzeda jeden na kilka miesięcy to jesteśmy zadowoleni. Jakby nie patrzeć, utrzymujemy się przede wszystkim z oprawiania i renowacji, a sprzedaż to miły dodatek – odpowiedziała ze skromnością.

Co zrobić, w tym kraju ludzie nie mają zbyt wiele pieniędzy na przyjemności – powiedziałem dość banalnie, toteż szybko zmieniłem temat rozmowy.

A pani? Czy pani też jest malarką? – zapytałem z ciekawości.

Uhm, też jestem surrealistką, ale ja nie maluję obrazów na płótnie – odpowiedziała. Zaintrygowany jej słowami spróbowałem kontynuować ten wątek.

To bardzo interesujące. Można wiedzieć na czym maluje pani swoje obrazy? – po raz kolejny zadałem pytanie.

Naprawdę chce pan wiedzieć? – odpowiedziała pytaniem.

Uhm.

Maluję obrazy na ludzkim ciele. Najczęściej na plecach. Jeśli pan chce, to mogę panu coś namalować – powiedziała ze stoickim spokojem.

Nie wiem, jak opisać ten koktajl uczuć jaki mi towarzyszył, kiedy to usłyszałem. Zanim ogarnąłem swoje myśli, siedziałem już na taborecie, bez koszulki, z łokciami opartymi na kolanach, tak żeby kobiecie było wygodnie malować. Ona w tym czasie przygotowała farby i przymierzała się do pracy.

Przed pierwszym ruchem pędzla zdążyłem jeszcze zadać jedno pytanie.

Czy pani się nie martwi tym, że cała pani praca się zmarnuje, kiedy ludzie wrócą do swoich domów i się po prostu umyją? – zapytałem, i dodałem – Przecież to tak, jakby robiła pani komuś tatuaż na chwilę.

Tak, to prawda. Jednak najpierw muszą wrócić, a niewielu się ta sztuka udaje. Niektórzy z desperacji starali się nawet korzystać z wody, którą im namalowałam, ale to ja ją stworzyłam, więc oczywiście nie mogła zadziałać tak, jak w tym świecie. Na obrazie surrealistycznym nic nie jest tym, czym się wydaje być.

Oczywiście nie zrozumiałem niczego ze słów malarki. Kolejne kilka długich godzin spędziłem w tej samej pozycji, czując miłe łaskotanie pędzla na swojej skórze. Kiedy kobieta powiedziała, że skończyła, wstałem z taboretu. Ciało miałem zdrętwiałe i sztywne jak kłoda. Podszedłem do lustra, żeby obejrzeć efekt jej pracy.

Obraz był piękny, ale bardzo mroczny. Ciężko opisać w słowach, co właściwie przedstawiał lub przekazywał. Był na nim portal, który wypełniał wir jakiejś konsystencji. Była wieża strażnicza zbudowana z ludzkich kości, na szczycie której siedziały kruki. Obserwowały człowieka w płaszczu wsiadającego do pociągu skonstruowanego z mięśni. Jeśli ruszy, będzie musiał wjechać w tunel, z którego wystawały dwie ogromne ręce chwytające się krawędzi, tak jakby ktoś wszelkimi siłami starał się uniknąć nieuniknionego losu.

Patrzyłem dłuższą chwilę na ten niezwykły świat. Następnie założyłem koszulkę, choć nie byłem pewny, czy powinienem, bo schnięcie farby trwa na pewno znacznie dłużej. W tym czasie kobieta już zdążyła wszystko posprzątać i poprosiła, abym podszedł do lady.

Rama do obrazu będzie kosztowała dwieście złotych. Płatne z góry. Obraz do odbioru za trzy dni – powiedziała zwyczajnie, jakby te kilka godzin naszej szczególnej bliskości w ogóle nie zaistniały.

Przepraszam, ale dlaczego płatne z góry? – zapytałem zdziwiony.

Nigdy nie wiadomo kiedy pan wróci, a żyć trzeba – odpowiedziała spokojnie.

Nie warto było dalej prowadzić tej rozmowy. To jakaś wariatka, pomyślałem. Zapłaciłem za ramę i odwróciłem się do wyjścia. Kiedy położyłem dłoń na klamce, usłyszałem jeszcze ostatnie zdanie.

Niech pan pod żadnym pozorem nie wchodzi do portalu. Niech pan znajdzie klucznika. On wskaże panu drogę – powiedziała.

Kiedy otworzyłem drzwi oślepiło mnie światło tak silne, że z oczu pociekły mi łzy. Musiałem ręką zasłonić twarz. Drzwi same się za mną zamknęły ze zwiastującym nieszczęście skrzypnięciem.

Gdy doszedłem do siebie, w przerażeniu spojrzałem na otaczający mnie świat. Był dokładnie taki sam jak obraz na moich plecach. Jedyną różnicą były kruki, które teraz skupiły się wyłącznie na mnie i wzbiły groźnie do lotu. Człowiek w płaszczu, stojący na schodach pociągu, ponaglał mnie, abym biegł w jego stronę, bo maszyna zaraz wystartuje. W chwili desperacji odwróciłem się i zacząłem szarpać za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Zacząłem krzyczeć: proszę pani, proszę otworzyć, ja tylko chciałem oprawić swój obraz! Proszę pani! Pomocy!

Ponownie spojrzałem za siebie na nowy świat. Ptaki zbliżały się bardzo szybko. Nie wyglądały na stworzenia zmierzające w moją stronę w celach pokojowych. Rzuciłem się do biegu. Zdążyłem w ostatniej chwili. Pociąg tak się zatrząsł podczas startu, że straciłem równowagę. Kątem oka dostrzegłem, że ten ktoś z tunelu trzyma się krawędzi już tylko jedną ręką.

Arkadiusz Kwaczek (ur.11.11.1988) w Warszawie, w której zamieszkuje do dzisiaj. Autor dwóch książek poetyckich: „Arkadiament", Zeszyty Poetyckie (2013), „Światy równoległe", Fundacja Duży Format (2014). Ukończył studia magisterskie na kierunku: Dziennikarstwo i Komunikacja Społeczna. Meloman. Esteta. Miłośnik kultury japońskiej. Jego spełnieniem literackich marzeń jest napisanie wielkiego poematu na cześć Matki Bożej, Maryi Panny, Królowej Polski.

Elvis Strzelecki

Będzie dobrze (to tylko życie)

Permanentnie upajam się jego oddechem, pozostając na granicy jawy oraz snu
Miejsca, które odwiedzam jak piwnice ciemne i tajemne pozbawione są śladów światła
Tylko umysł, sprawne bydle jeszcze jakoś mnie prowadzi
Po tym cholernym labiryncie, na którego krańcu dostrzegam, że przegrałem
Upadam niczym dziecko okradzione z resztek sił
Uderzam pięścią o zimną podłogę, modląc się o znak
Tak bardzo boli, kiedy pragniesz iść, ale na ma gdzie
Na próżno szukasz nadziei w oczach bliźnich
Niepotrzebnie sięgasz po wspomnienia płonące w zakamarkach twojej pamięci
Życie jednak, parszywa bestia dalej trzyma cię za ręce
Dając ci zapas powietrza do dalszej drogi

Więzień

Okrutne młode ciało, co starca w sobie nosisz
Grzejącego dłonie przy wieczornej herbacie
Czemu tak karzesz go własnym odbiciem w lustrze
Czemu ból zadajesz, ilekroć w metrykę spojrzeć musi
Jak ma żyć w zgodzie ze sobą, kiedy nakazane ma gonić za pięknem ulotnym
Zdobywać szczyty gór, które niedługo się zapadną
Ścigać się z pustymi futerałami symbolizującymi męskość
Kłaniać karłom mentalnym
Cierpieć na krótkowzroczność
Kochać szybko
Cieszyć się powoli
Wolność mu odbierasz od poczęcia
Nie oferując nic w zamian
Pozostawiasz mu tylko trwanie i kilka zmarszczek w promocji
Których pozbyć się nie może wtedy, gdy najbardziej tego pragnie

Niebo

Mógłbym zagrać ci piękną melodię na strunach z trzciny
Co kaleczy nasze ciała wczesnym lipcowym wieczorem
Mógłbym zaśpiewać głosem tak niskim
By przywołał krople potu w okolice twojego pępka
Mógłbym sukienkę kobaltową skrócić maksymalnie
Używając tylko oczu
I mógłbym tak do rana wyliczać wszystkie swoje plany
Lecz ja wolę żyć tak, jakby tu było niebo
Które choć ubogie w anioły, piękno i spokój
Ma swój niepowtarzalny kulisty kształt

Siłacz

W słabości mocarz się objawia, co, gdy trzeba podnosić ciężary upada na kolana
Przed matką, ukochaną, Stwórcą o wielu imionach
Dziękczynienie lub modły składając
Kiedy oczy jego wilgotne się stają, nawadniając wycieraczkę pod drzwiami mieszkania
Kiedy dłonie przestają ciągnąć sznur i tulą się do siebie
Kiedy słowa przestają być wyłącznie skowytem
A myśli wdrapują się o piętro wyżej
I miejsca już nie ma na plastikowe sztućce, płytkie oddechy, mętne spojrzenia
Bo chaos zastąpił porządek
A nicość w pełnię obrócił wcześniej wspomniany Przyjaciel z Góry
Wtedy dopiero można mówić o jakiejkolwiek mocy
Co marne mięso w wartościowy proch przemienia
Nie prosząc o nic w zamian

Elvis Strzelecki (ur. 1990). Absolwent Wyższej Szkoły Handlowej w Radomiu oraz Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Z wykształcenia dziennikarz i kulturoznawca. Swoją dziennikarską przygodę rozpoczął w 2011 roku od autorskiego cyklu „Lekcje muzyki Elvisa", który drukowany był na łamach „Gazety Radomskiej" przez 5 lat. Współpracował również m.in. z „LAIF", „Igi Magiem", „Cogito" oraz „Hiro". Wiersze publikował w „Nowym Dzienniku – Polish Daily News", „Creative Magazine", „Gazecie Kulturalnej" i „Helikopterze". Prywatnie miłośnik muzyki oraz pasjonat kultury rave. Mieszka w Radomiu.

TWÓRCZOŚĆ CZYTELNIKÓW

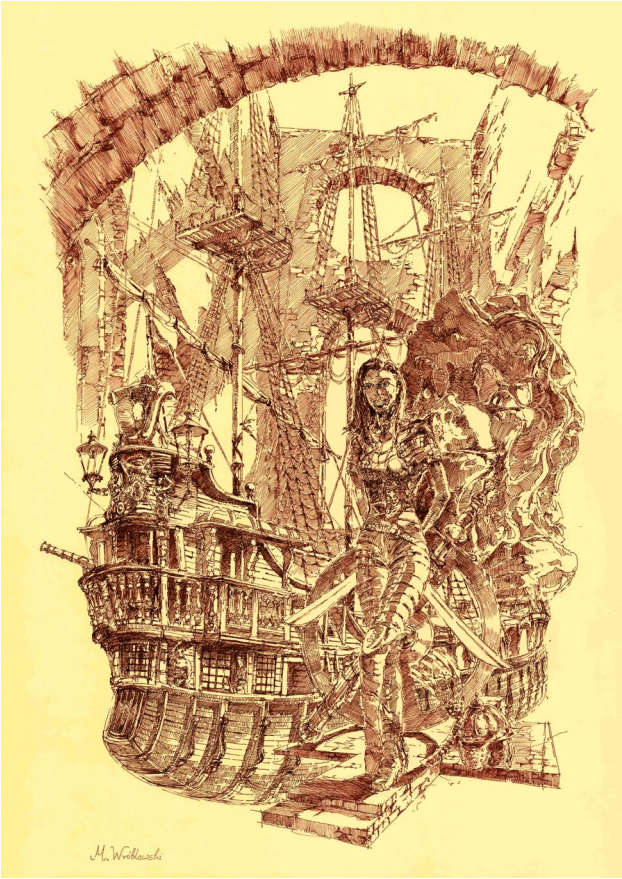

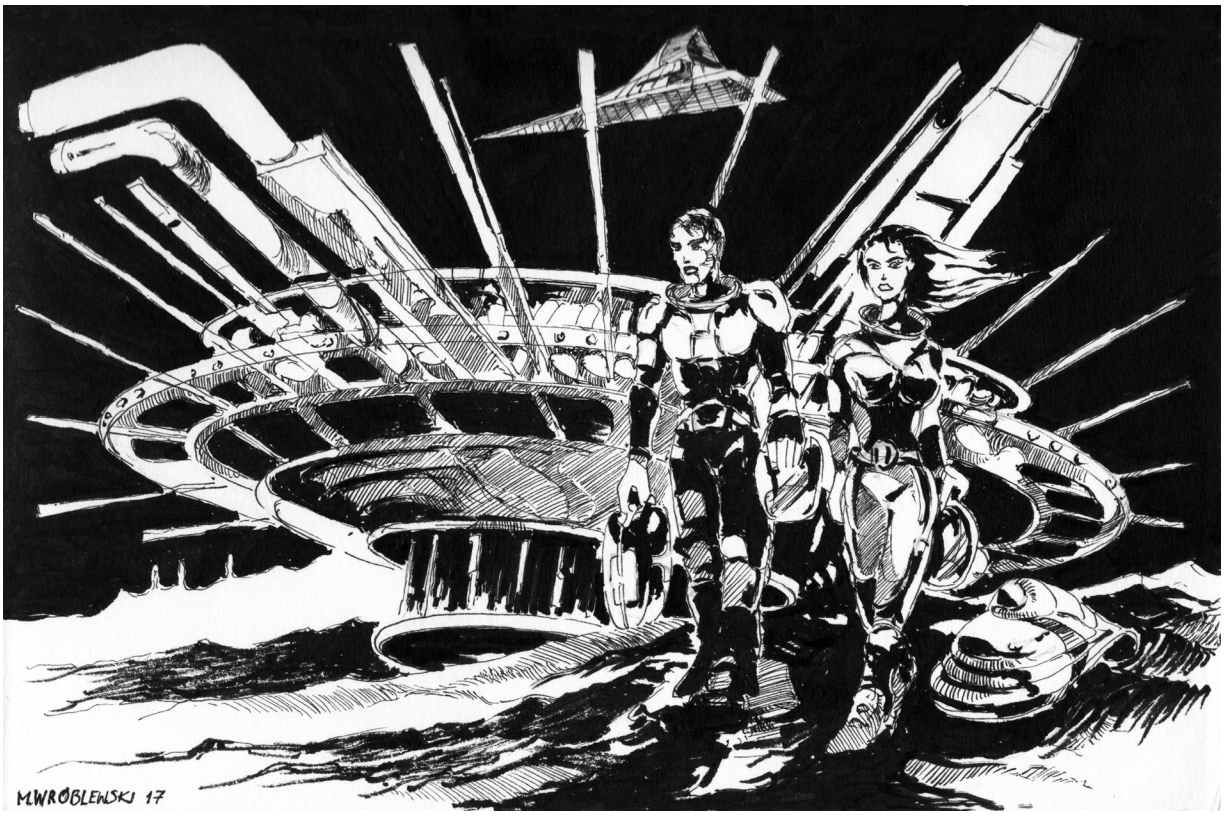

Mariusz Wróblewski (ur. 1972), ukończył Politechnikę Łódzką. Zawodowo zajmuje się projektowaniem architektury i urbanistyki. Wykonuje szkice i rysunki architektoniczne oraz grafikę użytkową. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Paweł Kusiak

Wiersz poleceń

ciebie prosimy upodobnij nas kształcie.
imię wyprzedź alfabet. obudź się martwy
w przestrzeni suwerennej. kredycie coś polskę
bierz się za siebie. hipermarkecie mięs
burz się dla squatu. łasko pańska (no logo)
skończ kształt i podobieństwo. łasko bezpańska
jedź na siódmej reakcji: sonduj a nie sądź
i w mgławicach i dialektykach zacznij
powszechny spis bezdomnych. ciebie prosimy:
top dziesięć znaków w zderzaczu hadronów bo
teleportacja prawem a nie towarem

Ustawić się w kolejce

jeśli zmarli mają białe źrenice
sputnik musi ważyć 10 miligramów
i być pod ręką albo nadawać ustalone dawki.
ziemia – powietrze. ziemia – powietrze.
billboard chybił. disney zbawia
filmy z białek. tyle o miłości.
jeśli strona czynna
to moja strona moja strona moja bardzo bierna strona
sprawdza memy których kolor jest – –
i nie ma przełomu. żywcem w ustrój
ciała. remiks przed ciszą wyborczą.
powietrze – ziemia. powietrze ziemia.
jeśli masz raty wygodne do spłaty
niech podaje wiek wiekowi
szabry szabry

Trzecia natura

stan skupienia miasta o siódmej rano. dożylnie
aktywa i pasywa. to się nagrywa. nazywam się
od pewnego czasu a w owym czasie wyszło rozporządzenie –
stan skupia oferty. wprawa. w lewo żul
jebie w kosmos. matka nie wie: oddałem
głos stymulowany (hasztag madonna).
przy tej ścianie tak miło że można iść dalej.
transport tekstu wychodzi z orbity. za dymy
idzie z użycia. modlitwa wstawiennicza w proponowanych.
kto położy rękę a kto chuja – nie wiem.
stan skupu na chwilę obecną:
planeto ufam tobie bo do sekty trzeba dwojga

Paweł Kusiak (ur. 1998). Autor (i współautor) wierszy. Laureat kilku konkursów i finalista XIII Połowu Poetyckiego Biura Literackiego. Publikował m.in. w „Wizjach", „Helikopterze", „Wakacie", „Tlenie Literackim" i „Małym Formacie"; napisał pewien wiersz na pewnej ścianie. Studiuje filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mieszka w Krakowie, z którego nie pochodzi.

Agnieszka Czarnecka

Koncert

Duszą chłonę nut
strumienie,
windą wjeżdżam
w błękit nieba,
nawet serce
poranione
czuje rytm.

Płomień w oku
świat rozjaśnia,
wyłapuje nuty
z mroku.
Pięciolinią otulone
będą kwitnąć,
karmić zmysły
całą noc...

08.04.2017

Magiczny koncert

Księżycowym pyłem drżało dziewięć strun.
Roztańczone palce wypieściły dźwięk.
W pięcioliniach nuty nie mieściły się,
biegły wśród słuchaczy, tworząc obraz snu.

Najpiękniejsza muza ze znanych mi muz,
zapachami dźwięków tchnęła w niego moc.
Zasłuchanych ludzi otuliła znów
magią, tajemnicą, w której serca drżą.

Gdy wirtuoz przestał drżeniem wzniecać pył,
z księżycowych strun opadł muzy czar.
A w powietrzu długo jeszcze w dźwięku żył
koncert wyjątkowy i wciąż w głowach trwał.

26.11.2016

Wiersz powstał po koncercie Piotra Resteckiego,
wirtuoza gitary w Stajni Artystycznej w Marcinkowie

Agnieszka Czarnecka (ur. 1966 roku) w Starachowicach. Ukończyła WSP w Kielcach na kierunku filologia polska. Publikowała na łamach czasopism: „Świętokrzyski Magazyn Kulturalno-Literacki", „Tygodnik Konecki", „Angora". Laureatka nagród w regionalnych konkursach literackich. Autorka tomików: „Ciszy śpiew", „Byłam cieniem, jestem słońcem". Należy do grupy poetyckiej „Z doliny Czarnej" w Stąporkowie. Mieszka w Smykowie, powiat konecki.

Janina Raczyńska-Kraj

Sześćdziesięciu Pięciu

kołysze się niebo
Dziecię na świat przychodzi
kołysanki nucić potrzeba
plask
trzask
szczęk
grzmot
świetlistą szczeliną spłynęli
Aleksandrowa
Sześćdziesięciu Czterech
już są
cicha noc
a solista gdzie
Wadim – nie
Toto – nie
jest ochotnik – Georg
lulajże Maleńki
i widzi Dziecina
anielski chór makoczerwony
(miał być niebieski)
unosi rączęta
szkarłat nad śnieg bieli
świat opływa pieśń
gloryja gloryja
śpiewają anieli

|26.12.2016|

Co mi tam

El Floridita
a co mi tam
z Hemingway'em
wychylam *daiqiri*
i jesteśmy od zaraz na ty
ale *fiesta*
w rytm *staccato*
hawańskiej ulicy
pląsam z wiatrem
śladami Ernesta
co mi tam
sjesty nie było
w *La Bodeguita del Medio*
znów z Ernestem
wypijam *mojito*
stary człowiek i może
mogę i ja
aż wybije mi dzwon
bim bam
bon ton

|Cuba, 04.08.2018|

Janina Kraj (ps. literacki Janina Raczyńska-Kraj), ur. 1958. Absolwentka KUL z wykształceniem teologicznym. Mieszka w Radlinie k/Kielc. Wiersze opublikowała w kilku antologiach i czterech zbiorkach poetyckich: „W blasku miłości" (2012), „Z tobą i bez ciebie" (2013), „Ja Przez krzyż wyniesione" (2015), „Zeszyt pamięci" (2018). Laureatka kilku konkursów literackich.

Aleksandra Perzyńska

twarzą do ściany

świat jest pełen
rzeczy które kochamy

widzę pokój Patti Smith
z jednym małym świetlikiem
łóżkiem biurkiem i krzesłem po ojcu
na półkach zbiór osobliwych pamiątek
pokotem książki papiery przykurzone fotografie
wszędzie kocia sierść i rzygi

świat jest pełen rzeczy które kochamy
od bliskich i po umarłych
świat jest bo my jesteśmy
chociaż w powietrzu czuć już stęchliznę
*świat jest wszystkim, co jest faktem**
widzę

leży na łóżku kompletnie ubrana
dziewczynka o siwych warkoczach i twarzy szamanki
w rybackiej wełnianej czapeczce owinięta w męski wytarty płaszcz
z czarnych sfatygowanych trzewików wystają skarpetki w pszczółki
wtulona w kraciastą flanelową koszulę po mężu bracie kochanku
pielęgnuje pamięć jakby była dzieckiem

nie ucieka przed duchami ani przed sobą
zapisuje i gubi jak strzępy wspomnień fragmenty wierszy
nigdy nienarodzonych chociaż poczętych
gdzieś w tle serial kryminalny z lat dziewięćdziesiątych w wyciszonym telewizorku
na podłodze resztki czerstwego chleba oliwę wylizały koty
zimna czarna kawa w porcelanowej niekompletnej filiżance stoi na biurku ojca

wokół stosy albumów o sztuce brudne skarpetki zużyte chusteczki
trochę jak w Chelsea Hotel wszystko leży
kobieta która kiedyś znała wszystkich
gdyby nie udawała że śpi mogłaby spojrzeć na
wyblakłą fotografię młodego poety wiszącą samotnie
twarzą do ściany

*Ludwig Josef Johann Wittgenstein. Przełożył Bogusław Wolniewicz.
Patti Smiths POCIĄG LINII M wyd. Czarne

nie zazdroszczę kobietom Beatlesów

nie zazdroszczę kobietom Beatlesów
zwłaszcza tej Niemce i Japonce
przezywanej toksyczną karlicą
zawsze obce nigdy swoje
(chociaż przecież bardziej niż właśnie ich to już być nie mogło)
wiecznie niepewne w ciągłej podróży
znoszące puste jaja w nieswoich gniazdach
kukułki podrzucone życiowym przypadkiem
podniosły i rozgryzły te jabłka
pod nieobecność żony i byłych dziewczyn
fanek rozkładających się na podłogach jak perskie dywany
aż ciężko było przejść
przez napady agresji depresje padaczki
ataki paniki szału
i zaniki pamięci
na końcu i tak utraciły wszystkie szanse
samotne stare kobiety
w klubie samotnych serc
całe ich życie było muzyką
a pointa jest milczeniem

Aleksandra M. Perzyńska. Poetka, prozatorka, artystka wizualna i edukatorka z Gdańska. Wiersze publikowała m.in. w pismach: „Autograf", „Topos", „Res Humana", „Semestr", „Migotania, przejaśnienia", „Rzeczpospolita kulturalna" (Londyn), „Fraza", „Fabularie", „Dzienniku Bałtyckim", „Gazecie Wyborczej", „Tygodniku Trójmiasto", „Kurierze Gdyńskim" oraz kwartalniku artystycznym „Bliza". Jej poezja i proza jest tłumaczona na język angielski i niemiecki.

Ewa Szatybełko

Koniec sezonu

Po przylocie

Na południu wyspy wylądowaliśmy o piętnastej. Ojciec otworzył puszkę Aquariusa. Znajdujemy się w śródziemnomorskim kurorcie, akurat pogrążonym w sjeście, gdzie nielicznym, wachlującym się spacerowiczom akompaniuje hiszpańskie radio. Nadciągające z lotniska taksówki i busy wyrzucają z siebie oszołomionych turystów – nikt nie spodziewał się aż takiego skwaru.

Trzy godziny wcześniej czekaliśmy pod sklepem *duty free*, każde z nas z pękatym plecakiem. Potem mój ojciec trafił na szarą płytę lotniska i przypomniał sobie, jak to jest przedzierać się przez wiatr do przedniego wejścia samolotu. A teraz jego oczy, zmrużone pod wpływem innego światła, i jego uszy, strojące się na pokrzykiwania w kilku językach, wychwytują fale dawno zapomnianych wrażeń.

– Coś niesamowitego. Dziękuję ci, córeczko – mówi. Ale ja jeszcze nie czuję ulgi.

Do taksówki wsiadamy z Hiszpankami, do których mój ojciec od razu zaczyna się zalecać. Próbuje dukać po południowemu. Na szczęście zajął miejsce z przodu, więc jego uwagę szybko odwracają migające za oknem palmy, kasyna i stragany z dmuchanymi materacami. Taksówkarz z krzyżykiem nad deską rozdzielczą niemal nas zabija, zjeżdżając z ronda, na którym inni wyspiarze jeżdżą równie szybko. Rzuca jakieś pytanie, a współpasażerki odpowiadają:

– Si, Plaza Azul.

Wysiadamy przed nimi. Sięgam po bagaże, a ojciec nachyla się do zakurzonego okna i kłania kuguarzycom:

– Senioras, mi nombre es Władek. Wła-dek!

Hiszpanki śmieją się i odjeżdżają w tumanach gęstego kurzu.

Władysław stwierdza, że już tu kiedyś był. Tak, był tutaj. We wczesnych latach osiemdziesiątych. A posąg – właśnie ten, z podróżnikiem, wyglądał i-den-ti-ko, tylko wokół skweru nie stało jeszcze tyle kramów. Wskazuje na żeglarza w renesansowym wdzianku, na którego palcu – uniesionym ku niebu w mądrym geście, wypoczywa żywy, ale nieruchomy gołąb, całkiem inny niż wszystkie znane nam gołębie.

– Mój boże, niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Zjadamy lody. On, ciężko powiedzieć, czy wciąż szczęśliwy, czy już tylko uprzejmy w tym upale, wiąże kolorową nitkę na ramieniu kaktusa. Ja, lekko przygarbiona pod ciężarem plecaka, prowadzę nas do hotelu najpierw kawiarnianą avenidą, a później uliczką cienką jak strużka potu.

*

– Dormitorio con dos camas separadas? No disponible.

Nie mogę uwierzyć w słowa recepcjonisty. Przecież przed rezerwacją wykluczyłam opcję z małżeńskim łożem. Chłopak prosi mnie o dowód rezerwacji.

– Por favor, dos! Importante – nagły rumieniec na bladym policzku, gdy wyciągam telefon. – Padre. He is my father – wskazuję na Władysława, który z dłońmi złożonymi za plecami egzaminuje ogromną agawę w hallu. – We can't sleep together.

– Oh, really? – chłopak przewraca oczami. Jednak po chwili do pomieszczenia wkracza kierowniczka hotelu z ognistą natapirowaną fryzurą i w kolczykach-kołach. Kłaniamy się sobie, a recepcjonista odbiega od swojego niedomagającego komputera i sadzi susy po wzorzystym linoleum schodów – byle tylko znaleźć pokój z oddzielnymi łóżkami i jak najszybciej się nas pozbyć.

– Widziałaś, jak wyrosła? – ojciec nie zarejestrował sytuacji, pstryka za to komórką zdjęcie agawy. Wszystko wydaje mu się wielkie i wspaniałe. Myślę, że doceni ten wyjazd, ponieważ po raz pierwszy od jakichś piętnastu lat poleciał na wakacje.

*

Po prysznicu i drzemce zwiedzamy zakamarki hotelu. Mój ojciec wyraźnie odmłodniał: kluczy, waha się, zagląda tu i ówdzie. Jego chód jest żywy i sprężysty, choć w tym roku skończył siedemdziesiąt lat... Może już, a może dopiero.

Ja, niemal o połowę młodsza, ssę cukierka, którego wyciągnęłam z wielkiej szklanej kuli, i zastanawiam się, czy to nie jest przypadkiem tak, że tylko się oszukuję. Może zorganizowałam cały ten wyjazd ze zwykłego poczucia obowiązku? Może chcę ojcu coś zrekompensować? Zobaczyć jego minę, kiedy w końcu to ja coś mu sprezentuję, a nie, tak jak przez całe życie – on mnie?

Schodzimy kafelkowym korytarzem pełnym orchidei, gdy nagle ojciec rzuca:

– To jakieś szaleństwo. W zamian nakupuję nam jedzenia.

– Pamiętaj, że śniadania mamy w cenie.

– No, no, żeby dziecko ojcu fundowało takie przyjemności...

Ale już milkniemy. Znaleźliśmy się nad długim basenem, do połowy zalanym światłem słońca. W wodzie stoi para staruszków w okularach-pilotkach. Trzymają się za ręce. Milczą. Leżaki puste, bo większość gości wraca z plaży dopiero o zmierzchu. Ojciec kuca i teatralnym gestem zanurza dłoń w wodzie, śmieje się.

– Dotknij! Jest idealna.

Pierwszy tydzień

Godziny-przyjemności płyną ospale i zamieniają się w dni-przygody. Szwendamy się po plażach i miasteczkach. Piach nas podsusza, a trawy wszechobecnej makii rozdrapują łydki, ale potem morska woda wygładza naszą skórę, a tłuszczyk ze świeżych ryb wzmacnia komórki. Pachniemy jak sól i spraye do opalania. Słyszymy słowa: *vamos*, *playa*, *agua*.

Okolica zasypuje nas drobiazgami, które są tym cenniejsze, im bardziej niepozorne: kamyk z nadkruszonego schodka kaplicy, który ojciec zmyślnie chowa w kieszeni, przeciwko bandanie z nazwą wyspy. Głaskanie nerwowego kota spod *cantiny* versus rybny pedicure. Tyle się dzieje i nie dzieje się nic.

Łapiemy stopa do miasteczka, w którym natrafiamy na ustronny kościół z frontem całym w turkusowych azulejos. Rozmawiamy o cykadach. Sączymy sok przy marinie pełnej jachtów. To wyjątkowo dobry rok – końcówka sezonu, a temperatury jak w lipcu.

Czasami dręczy mnie myśl, że ścigam się z czasem. Myślę sobie tak: jeszcze pięć lat temu popłynęlibyśmy wpław ku otwartemu morzu. Jeszcze z osiem, a moglibyśmy każdej nocy spać gdzie indziej: w innym mieście, albo nawet i pod gołym niebem. Może nie powinnam zamartwiać się kolanem ojca, ani jego bólami w klatce, ale w tym wieku to nigdy nic nie wiadomo... Dobrze, że zdążyłam z tą wycieczką.

*

Pewnego wieczoru, podczas kolacji, nad Władysławem pochyla się sprężysty gitarzysta. Na jego dłoni walczą o naszą uwagę dwa sygnety. *You have such a beautiful wife*, komplementuje po angielsku.

– Co powiedział? – chciałby wiedzieć ojciec.

– Że ładnie razem wyglądamy – unikam prawdy tak, jak tutejszy wychudzony kot okrążyłby truchełko myszy: zataczając wokół niego duże koło, aby finalnie umknąć w boczną uliczkę.

*

Innego dnia leżymy na plaży, a ja zwracam ojcu uwagę:

– Nie możesz się tak zachowywać... Nie po to z tobą wyjeżdżałam, żeby przyglądać się, jak męczysz te biedne...

– Ja męczę? Ja *kocham* kobiety – broni się Władysław, po czym wybucha swoim zwyczajowym śmiechem sympatycznego niedorajdy. Kiedy nie odpowiadam, zaczyna niby dla niepoznaki – ale ja już znam te numery – otrzepywać stopy z piasku ręcznikiem.

– Ta dziewczyna, którą zaczepiałeś – tłumaczę – ma z dwadzieścia lat.

Odwraca głowę i usiłuje ją wypatrzyć. Prosto z plaży weszła na podest pełen tańczących par... Dziewczęta i młodzieńcy wirują w upojnym oderwaniu od czasu, a ich ubrania wyglądają jak z lat osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych, teraźniejszych, jakichkolwiek. Tego miasta z całą jego aurą, tych nabrzeżnych deptaków i nieustannie zapadającego zmroku, zdają się nie dotyczyć nasze banalne rozróżnienia na dekady. Dziewczyny

już nie widać, ale Władysław jest z siebie wyraźnie zadowolony.

Drugi tydzień

W ciągu tych kilkunastu dni stajemy się dla siebie jak starzy przyjaciele. Po pokoju chodzimy w strojach kąpielowych, wachlując się liśćmi palmy, które zrywamy ukradkiem, wychylając się przez okno. Upijam się – on też. Opowiadamy sobie o różnych niepowodzeniach. Palę papierosy. Koścista dziewczyna na rolkach wciska Władysławowi do ręki dżointa – wypalamy go w drodze na dyskotekę. Tyle nowych możliwości przed nami!

*

Mimo wszystko zaczynam powoli mieć dość ojca. I nie chodzi o to, że jest źle. Chociaż ciało brązowieje, a my żyjemy naszą małą sjestą, to jednak dla mnie trwa ona za długo. A gdy tak sobie nad tym dumam, Władysław z rozanieloną twarzą wynurza się z basenu i wygłasza po raz kolejny:

– Jak boga kocham, luksus.

Nagle widzę wszystko w szerszej perspektywie. Basenowe kafelki są obtłuczone, a bar wydaje się podupadły. Każdego dnia, zanim pierwsi goście zejdą na śniadanie, w basenie pływa ponury recepcjonista. Myślałam, że zależy mi na wdzięczności ojca, ale teraz czuję się wręcz głupio, że do szczęścia trzeba mu było tak mało. A może za to wszystko, co mi dał w życiu, powinnam wykupić lot i noclegi w *naprawdę* luksusowym miejscu? Uśmiecham się i wołam:

– Kto ostatni przy barze, ten stawia!

Z początku nie może uwierzyć, że to właśnie jemu rzuciłam to wyzwanie, ale szybko przypomina sobie ceny tutejszych drinków. Rozchlapuje wodę i pędzi jak młody ratownik, co ocaliłby swój portfel nawet przed tsunami.

*

– Kocham cię – mówi ojciec, kiedy w przeddzień wylotu wychodzimy z ogrodu botanicznego, jednego z tych, które nawadniane są dwadzieścia godzin na dobę – ale nie będę ci więcej dziękować, bo to już głupio brzmi.

*

Wracamy z przesiadką w Norwegii, bo tylko na taki kurs było mnie stać. Małe, niebieskie lotnisko. Absurdalny widok: mój absurdalnie opalony ojciec, dla którego jacuzzi stało się codziennością, stoi na tarasie z widokiem na las. W ręku ma torbę wypchaną ciastkami, kartonikami Toblerone, ulotkami muzeów i mapami. Powietrze jest zaskakująco świeże i przejrzyste, zupełnie inne niż na wyspie, czystsze niż w domu. Ojciec chwieje się i kurczowo chwyta za serce. On zaraz upadnie, myślę ze zgrozą. I tak ziszczą się moje obawy. Dobrze, że zdążyliśmy...

I dalej: Jak ja sobie z tym poradzę? Jak go przewiozę? Czy są jakieś procedury...?

Między drzewami snuje się chłodny powiew. Pasażerowie taniego lotu, podobnie jak my opaleni i znudzeni czekaniem, drzemią z czasopismami na piersi, nasuwają słomkowe kapelusze na ogorzałe czoła, wykupują z kiosku szaliki na jesień. Podbiegam do ojca. A on podnosi głowę, macha – może do mnie, a może do platynowej dziewczyny z lotniska Oslo-Rygge – i nie upada.

Ewa Szatybełko (ur. 1987), mieszka, pracuje i pisze opowiadania w Warszawie.

Numery archiwalne dostępne w redakcji i na naszej stronie internetowej:
www.projektorkielce.pl

Michał Mazur

Figury

Piłka wypada
z ekranu tv.

KULA...

Odbija się
po całym
pokoju . .. .

SZEŚCIAN...

WYBIJA OKNO
na podwórze.

PROSTOKĄTY...

JA – wybiegam z domu
za nią...

CZŁOWIEK.

Mozaika

Mozaika.
Tworzę mozaikę.
Każdy tworzy swoją mozaikę.

Topór rozwścieczonego krasnoluda tnie
powietrze utkane przez grę fabularną.

Trzepot kartek książki.
Jednej z wielu – przy zgłębianiu kognitywistyki.

Electro lub synth pop w tle.
Mozaika rośnie.
Bo zdobywa przestrzeń.

Zaproszenie dla Mickiewicza

Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku.

Góry Świętokrzyskie.
Nie tylko góry.
Kwarta mocy starożytnej.
Tej samej co po Litwie Grażyny grasowała.

Dziś pulsuje w innej krainie.
Mojej – nie mojej.
I czasem się przejawia.
I jest.

Michał Mazur (ur. 1987). Kielczanin. Z zawodu prawnik i przedsiębiorca. Prywatnie zapalony sportowiec. Jako muzyk koncertował m.in. w Filharmonii Świętokrzyskiej, na Kadzielni, w Warszawie. Organizator Festiwalu Poezji Śpiewanej „ANIOŁOM NA NIEBIE". Twórca filmów aktorskich i animowanych, komiksów, fotografii i grafik. Publikuje w zakresie: sztuki, prawa, finansów i sportu.

Okruchy

Z odcumowanego statku
widzę resztki znikającego brzegu
przeszłych zdarzeń.

To blaknienie.
Ląd pożera.

Tak,
że zostają same okruchy.

Którymi nikt się nie naje.

Pi

3,14159265...

1921 Lem

Na granicy dwóch czasoprzestrzeni.
W teraźniejszości.
Pojawiają się fantazje o przeszłości.
I przyszłości.

Ale skoro teraźniejszość nie istnieje
to czy jesteśMY?

Czy tylko byliśmy i tylko będziemy?
Czy aż byliśMY i aż będzieMY?

Wielka architektura

Anaksymander
Boecjusz
Cyceron
Demokryt
Epikur z Samos
Filon
Grzegorz z Nysy
Hypatia
Jamblich
Ksenofanes
Lykon
Marek Aureliusz...

Oni zaczęli.

Anodowali,
drenażowali,
tworzyli dyletację
i hydroizolację.
Jaskółczy ogon.

Stanął obiekt wielkiej architektury.

Monika Luque-Kurcz

1. nie jestem już częścią

w kawiarni wybieram śmierć
ten sam stolik w rogu lśni
bielą rozkładam serwetkę jest na niej
kilka zaschniętych wierszy
reszcie pozwalam upaść
z wysokości warg w płatną przepaść
krzyk zdaje się filigranowy zamawiam
filiżankę espresso wciąż ten sam
powtarzalny numer
przereklamowanej sieci o oczach
większych niż sarnie i lęku
wbitym w sęki podłogi
drzazgi
zapamiętuję każdą kroplę
krwi i płatek gerbery sny

zapisane w zwiniętych rogach

2. nocą

każdego wieczoru
zsuwałam się wzdłuż własnego ciała
do niego
jakby włosy były lianą a ściana
przestrzenią
był taki cichy
obmywałam się w nim
do bieli stóp
owinięta w czysty ręcznik
zgarniałam gwiazdy
w powietrzu unosił się zapach wiatru i
środka do dezynfekcji
ubranie zostawało nad rzeką
świtem uciekałam

3. monady

czasami zapada w nas cisza jak długi
korytarz o gładkich ścianach
strzyżony dywan tłumi kroki
słyszę wówczas łagodny przepływ krwi on
czyta ja piszę lub na odwrót
te chwile gdy możemy poza sobą
powdychać powietrza
ułożyć kilka warstw na zapas pozwolić
dojrzeć słowom
najbardziej tęsknią dłonie i
wiersze
świty przechodzą z różu w czerwienie kiedy czekamy
aż minie noc i jordan znów wypłynie
na spodek filiżanki

4. rozbierz mnie weź na ręce i przyłóż do swojej piersi

lubię przyglądać się dłoniom
bacznie obserwować emocje
drzemiące pod skórą napięte cięciwy
ścięgien
głodne zbliżającego się ciała
wówczas lekko zmieszana
wsuwam się w haniebną rolę męczennicy
walczę o oddech nie chcę
jeszcze zamykać się w sobie
w dusznych okładkach gdzie nie przenika
ni atom powietrza ani gram piasku soli i ziemi
potrzebuję przestrzeni
nie czytajcie mnie
jestem skażona nie łudźcie się
was też nikt nie czyta

5. exit

mogłabym cię kochać
miłością jakiej świat nie zna
być
przypływami
ałunem na twojej skórze

każdym ścięgnem oznajmić
jak jesteś mi bliski
ułożyć dłonie w kształt źródła
wiesz

jeszcze trochę się boję
myśli o tobie świtów gdy wiem

że istniejesz

Monika Luque-Kurcz (ur. 1977) w Rzeszowie. Kilka lat spędziła w Hiszpanii. Debiutowała w Kwartalniku Literackim „Wyspa" (2016). Publikowała w „Nowych Myślach", „Helikopterze", „Obszarach Przepisanych" (Norwegia), „Frazie", „sZAFie", „Nestorze", „Migotaniach", „Akcencie", „Mojej Przestrzeni Kultury MPK", internetowym „Babińcu Literackim". Jej wiersze kilkakrotnie publikowano w e-Dwutygodniku Literacko-Artystycznym Pisarze.pl, w którym jest współautorką „ANTOLOGII POETÓW POLSKICH 2017", wydaną w wydawnictwie Pisarze.pl. Mieszka i pracuje w Ropczycach na Podkarpaciu.

Tomasz Kozłowski

Sąsiedzi

fragment powieści „Larva”

Wróciłem do pensjonatu wcześniej niż zwykle.

– Wyobraź sobie, oni znowu pieprzyli się jak jakieś króliki albo żółwie, na cały korytarz było słychać te jęki, stęki. Musisz coś z tym zrobić – ledwo przekroczyłem próg pokoju Joanna przywitała mnie pretensją. Zrobiłem wielkie zdziwione oczy.

– Chyba żartujesz, chcesz żebym ludziom zabronił głośno rozkosz przeżywać? Czemu żółwie? – równocześnie oburzyłem się i zdziwiłem.

– Nie wiesz o czym mówisz. Oni tak jęczą blisko godzinę! I... i ciągle tak samo! No, co rusz powtarzają te same stękania, te same słowa. Chyba tak już z dziesięć razy.

– Ile razy? Żaden normalny facet nie dałby rady tyle razy, nawet po viagrze.

– O! Posłuchaj. Znowu zaczynają. Żółwie jak to robią to głośno piszczą i stękają.

Faktycznie. Przez zamknięte drzwi pokoju z korytarza było słychać jak wespół w zespół oboje wyjęczeli, wystękali wręcz wykrzyczeli swoje orgazmy. Do tego słownictwo, bardzo wulgarne, okrzyk „pieprz mnie!” było najdelikatniejszym z zawołań. Ok. To była przesada, nawet dla mnie, a niby co to znaczy nawet dla mnie, czyżbym we własnych oczach uchodził za wzór tolerancji? Idę. Wygarnę towarzystwu o kulturze, przyzwoitości i umiarze.

Puk, puk. Cisza, potem ciche szmery za drzwiami.

– Proszę – męski głos.

Otwieram drzwi, staję w progu dużego pokoju, podobnego do naszego ale z dwoma pojedynczymi łóżkami i co rzuca mi się w oczy: łóżka są idealnie zaścielone, pościel nienaruszona a dwie kompletnie ubrane osoby stoją po środku pokoju! Ona: w obcisłym jasnym golfie spod którego przebijał biustonosz oraz w spodniach sportowo dresowych, jasne lekko falujące włosy, na oko trzydziestka. On: w luźnym zielonkawym sweterku w serek i zapiętych dżinsach, pomimo podobnego wieku z wyraźnymi zakolami. Hm, szybko się uwinęli z tymi ubraniami biorąc pod uwagę, że skończyli kilka minut temu – pomyślałem.

– Przepraszam bardzo, że niepokoję – zacząłem zaskoczony widokiem i przez to nieco zbity z tropu – ale państwo tak głośno hm, no, tego – zabrakło mi słów, mnie wygadanemu w trzech językach dziennikarzowi – tego no, rozmawiacie. Moja przyjaciółka akurat pracuje i te hm, hałasy, rozumiecie państwo...

Patrzyli na mnie z rozbawieniem, a na ich twarzach malował się coraz większy uśmiech.

– Chyba rozumiem problem. Mam na imię Bartek – mężczyzna podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Odpowiedziałem uściskiem.

– Jacek. Jacek Fontenierski.

Wtedy podeszła dziewczyna, miała delikatną, dziecięcą uśmiechniętą buzię i filuterne spojrzenie.

– Dagna.

– Jacek.

Podaliśmy sobie dłonie.

– Widzisz Jacku, my jesteśmy aktorami...

– Porno? – nie wytrzymałem i wtrąciłem dość bezmyślnie.

Wtedy oboje wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że zaintrygowało to Joannę i niezauważona stanęła za mną w drzwiach.

– No nie, teatralnymi, z Kielc. Tam grywa się sztuki awangardowe, bardzo nowoczesne w przekazie, a wtedy granice się zacierają, rozmywają...

– Czy te krzyki to... – nie dokończyłem pytania.

– Tak, próbujemy bardzo trudną scenę łóżkową do nowego spektaklu. Mamy ją zagrać tylko głosami, zza ściany.

– Wow! Ale czemu w Krynicy? – nadal stałem oszołomiony, choć już gdzieś wewnątrz rodził się wielki wybuch śmiechu z tego nieporozumienia.

– Połączyliśmy pożyteczne z pożytecznym. Oboje korzystamy z leczniczych zabiegów, zdrowotnych wód i ćwiczymy tę cholerną scenę. To był warunek pod jakim dyrektor dał nam tydzień urlopu służbowego – cierpliwie tłumaczył Wojtek.

Dostrzegli Joannę. Przedstawiłem ją.

– Widzisz, państwo są aktorami z awangardowego teatru i ćwiczą scenę miłosną – wyjaśniłem.

– Miło mi, to, to zaskakujące wyjaśnienie – Joanna, choć zdziwiona jak ja, z rozbawieniem komentowała – miłosną scenę, ooo, bardzo miłosną, głośną.

– Przepraszamy za te hałasy, jak to przy próbach człowiek się angażuje, przeżywa. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że tak nas słychać. Przy tym cały czas mamy wrażenie, że to jest zbyt sztuczne, właśnie za głośne, a z drugiej strony musimy to wykrzyczeć zza dekoracji tak, by cała widownia słyszała – tłumaczyła Dagna.

– Proszę wejdźcie, siadajcie – Bartek zaprosił nas do środka, wyjął dwie szklanki z barku, nalał czerwonego wina i podał nam bez słowa.

Joanna umościła się w dużym fotelu, ja na brzegu łóżka.

– No to macie kłopot. Naturalnie zagrać to będzie za cicho, głośno wykrzyczeć to będzie nienaturalnie – jak zwykle w jednej zgrabnej myśli ogarnąłem problem.

– A gdyby zastosować mikro porty i nagłośnienie całej przestrzeni widowni. Wyobrażacie sobie; widz siedzi w dwudziestym rzędzie a tu z tyłu słyszy miłosne szepty, delikatne westchnienia aż po przejmujący finał, ale bez zbędnego, hmm hałasu – włączyła się Joanna, noo tak, jak zwykle ja ogarniam problem, a ona znajduje rozwiązanie.

– W naszym teatrze nie ma dwudziestu rzędów – roztropnie zauważyła Dagna – i takiego nagłośnienia.

– Czyż technika ma pokonać sztukę?! – to byłem ja po opróżnieniu szklaneczki całkiem mocnego wina.

I tak spędziliśmy resztę wieczoru analizując scenę miłosną zza kulis, potem już kondycje teatrów regionalnych w Polsce, sztuki w ogóle – poszło czerwone, poszedł tokaj co go miałem wypić z Joanną, a nawet moja piersiówka na czarną godzinę.

***

Przytuliłem się do cudownie gładkich pleców Joanny, westchnąłem słodko czując rosnącą radość z tego przytulenia:

Wiesz Josieńko, ciężki jest zawód aktora; tyle się nastękać bez żadnej przyjemności – jeszcze mocniej przywarłem do jej ciała, objąłem, dłonią sięgnąłem piersi, palcami wyczułem podniecająco twardy sutek, moje łono przylgnęło do zachęcająco wypiętej pupy... Byliśmy naturalni ale na korytarzu nikt nie słyszał naszej rozkoszy.

Tomasz Kozłowski (ur. 1960). Kielczanin. Laureat konkursów fotograficznych. Brał udział w kilkunastu wystawach zbiorowych i kilku indywidualnych. Wydał pierwsze opowiadanie z cyklu „Remedium”. Fragment opowiadania „Salvator” zdobył drugie miejsce w plebiscycie Kieleckie Scyzoryki 2018, organizowanym przez „Echo Dnia”.

Łukasz Szaruga

Niebosiężnie ze skarpy monaster

Niebosiężnie z urwiska monaster
spogląda ku śpiącej u stóp góry dolinie
niewzruszony jak reja, niczym ster
z zachodu na wschód zwraca ninie
sczerniały węgielny wzrok rozpaczając
nad kruszejącym z groźbą skalnym obłamem
w tańcu z wiatrem, roztańczony kłamem,
lecz dlaczego tańczącym, pod sobą mając
cenobitów osnutych pacierzem wyszywanym
łez błamem? To na lewo, wtem na bok
pochyla szorstkie skała z podmuchem cielsko,
nie poczytujcie jej tego za złe, jak obłok
bowiem porwany z burzą chybocze się anielsko
to na lewo, to groźnie się znów nachyla,
a z monasteru białe lico z lękiem nie wychyla,
zadzierając czoło ku tańczącej u szczytów skale:
pogrzebanym rychło pod zwaliskiem szumnej lawiny
ruszonej roztańczonym obłamem nie odda
Zachód rozblasku Wschodu, nie przyda miast kpiny
milczenia lodem skutego w ciszy zaklęta osłoda.
Nie zadraśnie martwego ostry krzemień,
nie przesypie się żwir boleśnie w oczodół próżny.

Tak czysty modrym oceanem nieboskłon,
cisza pokrywa równiny pustynnych łon.

Dolinę w kurhan usypie u podnóży
śpiącą góry, cichą jak o brzasku dzień
ciemny, rozszalały, północny mór.

A monaster pogrzebany spokój wieńczy chmur.
28.09.2018

Wieczny ogień

Naprężył się, rozluźnił i naraz załopotał proporcami
rozgrzanym Forum Romanum przysługę niosąc brukom
uroczyście dziś dmąc między siedmioma wzgórzami
powiew wiatru rozkołysany italską porą południową.

Zaludniona dziś Via Sacra pretorstwem i dziatwą,
nudą cuconą afektem i dla żądzy pastwą
przebiegłą gadaniną rączych słowem sofistów,
wyrwigroszów, skrybów, rybaków, kopistów,
patrycjuszów ściągających noski na woń pospólstwa;
wyciągają swe ciężkie brzemieniem prawa szyje
odlewający norm litery juryści o wielkiej prudencji
gdy dźwięczą im w uchu cienkie tony sestercji
i stęp stukających o nie kopyt cesarskiego rumaka,
co ściąga rozlśnione spojrzenia na wkraczającego rodaka.

Gładko czesany siwy włos spływa, okalając krągłe czoło
a spod spiętego na ramieniu, purpurowego płaszcza
napierśnik rozsyła roztańczone srebrem refleksy w koło.
Oko rozbłyska dumą wziętych ziem, nie kala go hulaszcza
rozpusta, podboje i zmagania zdobi blizną wzięta rana;
teraz jej nie zazna pod pretorianów grozą pierś cesarza Trajana.

Niby strzała rozciągnięta niebotycznie przeciąga smród zgnilizny,
zwarte w lękliwym ścisku goniąc nad miastem nuty oliwy i soli
a po upstrzonych zaciekami nieczystości zaułkach swawoli
Saliów orszak, Noworocznym przenikniętych świętem Ojczyzny.
Prześnionym pływem sunie rumak godnie,
powłócząc spojrzeniem po starganych kwietnych
licach, a jeździec sercem gorący jak pochodnie
stężały spokojem posągu pod okiem Mens Bony
ściąga z Świątyni Romulusa kolumn świetnych
pętające je tamaryszka wonie, umacniane wrzosowisk
dalekim szumem, zaś zaduch zrodzony z widowisk
potrzeby oddechami pieni powietrze w oceanie oskomy.

I nagle kruszeją wsporniki słów
gdy dla myśli nadchodzi nów
a złote nadzieje i karmazyny ochoty
przed świątynię zniżają swe loty,
ku której naglą pretorianów czoła
i spiż wezwania, co z gardła woła
cesarskiego: „Nie nastawać na godność
dziewiczych kapłanek, przed Westy
przybytkiem złóżcie oręża chrzęsty
dla uczczenia dnia od was to dość”.

Zbrojnych na wartę rzuciwszy zmierza z lwa godnością
do przytułku świętego pod okiem podziwu, rękojeścią
wspierając dłoń, Trajan. Pochodni smętkiem skroń okuta
w orszaku Westalek, intymną ciszą kamienna posadzka dyszy,
której westchnienia posąg jeno bóstwa zamarły dosłyszy
w żywej wciąż matczynym ciepłem wizji pośmiertnej dłuta,
z klątwą niedomówioną na ustach i grozą posępnej przestrogi
rozpiętej osuwającym się przestworem nad kalającym te progi.

Żywotna kora z drzewa pochwycona tęgiego zarzewiem
owocującym w Westalki Najwyższej dłoniach chichocze
stosami iskier na prośbę o płomień śpieszących z odzewem.
Oto mgławą wstęgą zaszło Palatynu podobłocze
a blask światła się raźno świątynią rozpotoczył,
zakrwawił się ognia wybrzmiałą posoką
i zatonął w chłonne cesarskie oczy
połyskując na źrenicy grozy patoką
zdjętej złowróżbnym swądem zmierzchu
i wizją nieboskłonu oblanego szkarłatem.

Wobec pląsów rozpasanych iglic płomiennych
sennie rozczulona nawracała intonacja:
„Dziś na nowo ogniem zajaśniał ołtarz matczyny Westy,
wiecznie na straży spraw boskich i przyziemnych”,
szeptały usta kapłanek nastrojone pod płomienne szelesty,
a domyślone, lecz niewybrzmiałe, którym wroga hołdu owacja,
Trajana rozbłysły się jawem myśli: „Oto ogień, którym Wieczne Miasto
spłonie. Popiołem legną Italskie ziemie, Zachodnich krain polegnie sto,
dwojakiej natury to żywioł: w obronę weźmie, gdy rozsierdzony, goreje,
pod martwą ziemią zarodnią spoczywa, w sercu istoty uśpiony, tleje.

Cześć i chwała Wiecznemu Ogniu!”.
16.07.2018

Łukasz Szaruga (ur. 1991) w Kielcach. Ukończył studia na kierunku Dziennikarstwo i Komunikacja społeczna na Uniwersytecie im. Jana Kochanowskiego w Kielcach, aktualnie zajmuje się grafiką komputerową. Jego debiutanckie utwory poetyckie ujrzały światło dzienne na stronie www.szuflada.net, publikuje recenzje muzyczne na łamach magazynu kulturalnego „Projektor”. Autor zbioru „Gnothi Seauton” (2018). Mieszka w Kielcach.

Patrycja Sikora

film drogi

co myśleliście, gdy cyrk wsuwał się rano w mapę miasta:
że dziewczętom z placu zabaw przestaną parować młode brzuchy?
że syn weźmie lekcję świata, jak bierze się łyk oranżady?
zobaczą wszystko, co nocami z żółtej płachty dachu skrobią karły:
ślinę, sierść i śmierć.

co myśleliście, gdy w suchej dłoni syna stygł popcorn:
że gwiazdą wieczoru nie powinien być murzyn z białą wstążką na szyi?
pociesza dzieci z pierwszych rzędów, które płaczą, bo
nie odrobiły jeszcze zadań z przyrody.
wieczorem będą śnić czarne zęby i brokat na ciałach akrobatek.

co myśleliście, gdy waszą córkę znaleźli w rozciętym grzbiecie konia:
że wygląda jak klacz w rui, którą głodny francuz nakrył grubą derką,
gdy syn odklejał landrynki z biletu do cyrku?
zwierzęta zasypiały wtedy po cichu,
stare kobiety czesały ciasne kucyki - teraz kołyszą siwe głowy.

cyrk już odjechał, w ubojni na ścianach namalowano sceny z bajek
mięsem dławiła się już przez całe życie

przeciąg

wyszliśmy za późno. zdążył mi się zrobić
przeciąg w relacji pozamałżeńskiej. wciąż opowiadasz
o dziewczynce którą podobno urodziła drukarka.
to treści żołądkowe wyjątkowo kwaśne, kiszone cytryny
narysowałeś sobie w Paincie, wyplułeś pestki
z wczorajszych wyobrażeń o byciu dobrym ojcem
albo wujkiem, który skacze: w dal, czasem w bok.
miało być cesarskie z weselnej fotobudki, klisza pękła jednak
jeszcze w łonie matki. dziś wklejasz tylko znaczki,
polecasz mi ten z figurką grubego Buddy z nadciśnieniem
albo chorą tarczycą.
mówisz, że poczta nie zawodzi tylko w twoich klaserach,
reszta nie ma już żadnego znaczenia.

czasem rozmawiamy już tylko o tym,
jak założyć rodzinę z kaloryferem, a ja
bawię się świetnie i krzyczę: nie przeszkadzaj mi
bo tańczę.

Marina Abramović leży w trawie i patrzy

pewnie było już po wszystkim. wczoraj
kierowca ze wsi jak wszystkie inne torturował na dworcu autobus.
okrył go papierem ściernym jak kocem z polaru, szorował mu czoło
z rdzy: „synuś, synuś, jedźmy stąd, ja już nie mogę" – płakał krótko.
jakaś wizja końca świata nagle
zapleśniały mu wąsy.
żona upiekła skubańca, w szarym swetrze
zwłoki młodych myszy, mylił trasę już od początku.
najgorzej było na zakrętach – zawsze ślisko i zimno,
na jego żywot święty z kuchni wołanie,
że jakaś kobieta z Belgradu wycięła sobie gwiazdę na brzuchu,
że dziecko zabiła, bo go nie chciała, że zwariowała
cała ziemia, a w niebie nikt nie mieszka.
żona płakała krótko w brudny fartuch,
pogoda też była w kratkę.

Patrycja Sikora (ur. 1989) w Wieruszowie. Pisze poezję i prozę. Finalistka projektu Biura Literackiego Połów 2018. Nominowana do Nagrody Głównej XXIV OKP im. J. Bierezina. Publikowała w magazynie „Kontent", „Helikopter", „Tlen Literacki". Mieszka w Poznaniu.

Sylwia Kanicka

etyczny erotyk

zatańcz
między dźwiękiem a dotykiem
odległość
gitarowej struny

obrysuję kształt twojej twarzy
ustom spragnionym
pozwolę się zwilżyć
by opuszkami przymknąć powieki

zatańcz
między wczoraj a dziś
jutro
jeszcze tak odległe

za przetkniętym drogowskazem
iść coraz dalej
i czekać cierpliwie
na każdy ruch nieopanowany

zatańcz
między minutą a godziną
czas
jeszcze dany

zamknij w ramionach skrępowanie
na prześcieradle
zapisane takty
uśpią pierwszy taniec

chwila

szaleni nie boją się ryzyka
błądzą
dłońmi po plecach
szukają adrenaliny
by jak tonący oddychać nią
łapczywie

przyszedł nagle
nie zrobiła makijażu
choć w nim wygląda lepiej
więc wymalował na jej twarzy
uniesienie
wyuzdanie
rzucając na podłogę

zapachy się zmieszały
z wyjątkowym dźwiękiem
jeszcze szukał
jej wzroku
jeszcze z ust spijał
podniecenie
a ona tańczyła
w rozpiętej sukience

i cisza nastała
cisza
sza

Sylwia Kanicka (ur. 1980) w Oleśnie. Mieszka w Rudnikach. Pedagog, nauczyciel, doradca zawodowy, historyk. W wolnej chwili fotograf. Debiutowała w miesięczniku „Rzeczpospolita Kulturalna" Londyn, czerwiec 2008. Jej utwory zamieszczane były w antologiach poezji wydawanych przez portale poetyckie. W grudniu 2016 roku wydała debiutancki tomik „Bez twarzy".

Poezja jest w sercu, nie na papierze

(Sławkowi - za każdą chwilę i zadumę, nad moimi słowami)

Proszę Pana
trochę prywaty wrzucę w poezję,
bo czym jest poezja jeśli nie prywatą.
Mówi Pan, że poezja to zabawa słowem,
nieprawda, On uczył, jak pisać,
by czytało się lepiej.

Proszę Pana
proszę się ze mną nie kłócić.
Gdy młoda kobieta świat chciała pokonać
słowem rzucając niczym sztyletem,
On czytał ze zrozumieniem
i szukał sensu w zapisanych słowach.

Pan mówi, że wymyślam
proszę nie wzruszać zdziwionymi ramionami.
Nie wie Pan, co znaczy poezja zapisana wierszem.
Pan widzi słowa na białym papierze,
a On je czytał każdym swoim zmysłem.
On mój nauczyciel.

Pan drwi,
że to sentymenty i miłość przemawia przeze mnie
Być może lekcje rozumienia poezji
odrobiłam lepiej.
Ja tylko piszę niezgrabne wersy,
w całość ubierając niejedno istnienie.
On jest wspaniałym współczesnym poetą.

Chce się Pan spotkać, umówić na wywiad.
Zrobić mi zdjęcie, napisać artykuł.
Wspaniale, tylko, że Pan nie rozumie
że ktoś na poezji od Pana zna się lepiej.
Ja tylko czasami coś sobie napiszę,
w szarości dnia, by było mi lepiej.

Ach te motyle

Niby zima i pora nieodpowiednia
na szybkie uniesienia,
a jednak motyle pomyliły pory roku.
Rozkładają skrzydła gotowe do lotu,
choć pewnie zginą z zimna.

Z kokonu wychodzą zaspane,
zdziwione nagłym ogrzaniem.
Rozglądają się wokół powoli
spijając z ust podniecenie.
Są gotowe do drogi.

A potem w ciepłym promieniu
wirują i prężą się
niczym koty pod dotykiem dłoni.
I choć czują nadchodzące zimno
kuszą swymi skrzydłami.

Agnieszka Malonik-Taggart

Górnik w łańcuchach wciąż tańczy

Afryka. Piach, upał, bieda, sawanna, dzika przyroda. Krajobrazy i zwierzęta, sceny jak z animacji „Król Lew" – to chyba pierwsze przychodzące do głowy skojarzenia z Afryką. A zaraz po nich – bębny, dźwięki djembe czy marimby. Rap i hip-hop. I coś, co to wszystko łączy. Rytm.

Taniec i muzyka w afrykańskich społeczeństwach są jednym z podstawowych elementów ekspresji i przynależności etnicznej. Towarzyszą narodzinom i pogrzebom, ślubom, ceremoniom religijnym, a nawet oficjalnym wydarzeniom politycznym. Są sposobem na oczyszczenie, odpędzenie złych mocy oraz formą okazania szacunku dla zmarłych przodków. Ruch w tańcu ma określone znaczenie, może łączyć, ale i dzielić, wyrażać zarówno szacunek, jak i pogardę, okazywać uległość albo wolę walki do ostatniej kropli krwi.

To, co odróżnia specyfikę tańca w Republice Południowej Afryki od innych, to przekonanie, że ciało tancerza nie jest jednym elementem, ale że składa się z odrębnych, niezależnych od siebie części, które są w stanie poruszać się w innym rytmie niż pozostałe. Ten pozorny brak harmonii wzmaga, to dynamikę tańca, to podnosi walory wizualne, ale także budzi w obserwującym niepokój. Wspomagane rekwizytami i zaklęciami tańce nie straciły z upływem czasu na znaczeniu i w dalszym ciągu stanowią niezwykle silny element afrykańskiej tożsamości RPA. Rytmu Afryki nie można się nauczyć, on płynie we krwi i jest przekazywany z pokolenia na pokolenie i niezmiennie pozostaje jednym z głównych elementów określających przynależność kulturową i społeczną.

W RPA kultura taneczna reprezentuje – to dość luźny podział – dwa nurty. Pierwszy z nich to taniec tradycyjny, każdy, związany z obrzędami plemiennymi. Mimo iż w Afryce występuje niezliczona ilość plemion, wiele z nich – zwłaszcza w obrębie kultury tańca – wykorzystuje podobne elementy – styl życia (taniec miłości), wierzenia (taniec rytualny), wydarzenia (taniec wojenny). Drugi nurt reprezentuje szereg tańców, stworzonych w RPA pod wpływem wydarzeń historycznych. Najistotniejsze z nich okres apartheidu, doprowadziło do wykształcenia sytuacji, w której, oprócz tradycyjnej roli, taniec spełniał bardziej praktyczne funkcje – miał za zadanie wyrażać protest, a jego składowe służyły jako forma komunikacji. W czasach apartheidu powstało kilka form tanecznych, z których najważniejsze to Gumboot Dance, Toyi-Toyi oraz Pantsula.

Goobmot Dance. Fot. Domena publiczna

Pokaz taneczny na jednym z parkingów. Fot. Agnieszka Malonik-Taggart

Korzenie Gumboot Dance, czyli „Tańca Gumowców" sięgają końca XIX w., kiedy na terenie obecnego RPA odkryto pokłady złota. Eksploatację płytko położonych złóż rozpoczęto bardzo szybko, nie licząc się z warunkami pracy i ryzykiem. Pracownicy kopalni wydobywali kruszec w ciemności, do miejsca pracy przymocowani byli łańcuchami i nie wolno było im się porozumiewać pomiędzy sobą. Ubranie robocze składało się z kombinezonu, kasku i wysokich gumowych butów. Jedyną formą komunikowania się w takich warunkach było uderzanie butem o but i potrząsanie łańcuchami. Powstawały dźwięki o określonym znaczeniu, podobnie jak w alfabecie Morse'a. Po zakończeniu

Toyi-Toyi. Fot. Domena publiczna

pracy w kopalni, górnicy wracali do wiosek i uczyli tego sposobu komunikowania się kolejnych pracowników, a rytmy, uderzenia i dźwięki wplatali w istniejące formy taneczne.

Toyi-Toyi powstał nieco później i jest utożsamiany z ruchem powstańców Mau Mau w Kenii, a popularność zawdzięcza protestom w Zimbabwe, które niedługo później dotarły do RPA. Jest rodzajem tańca wojennego, jego agresywne ruchy i okrzyki mają na celu zastraszenie i onieśmielenie przeciwnika – nieposkromiona wataha rusza w tanecznych ruchach do przodu, wykrzykując bojowe slogany. Warto tu wspomnieć o afrykańskiej wierze w moc zaklęć i amuletów – odpowiednio przygotowany przez liderów tłum jest przekonany o swej mocy, jest jak w transie, którego nie da się przerwać, bo zdaje się być całkowicie odcięty od bodźców zewnętrznych. Jego energia i determinacja często wzbudzała paniczny strach w oddziałach, które miały za zadanie opanowanie sytuacji. Toyi-Toyi był nie tylko tańcem. Był jednym z niewielu dostępnych w tamtych czasach dla rdzennych Afrykanów rodzajów broni.

Inną wymowę ma taniec Pantsula – o ile Gumboot i Toyi-Toyi powstały jako reakcje na opresję apartheidu, o tyle Pantsula zrodziła się spontanicznie. Stanowi połączenie afrykańskich tańców tradycyjnych z elementami tańca nowoczesnego oraz elementami historycznymi (jak wcześniej wymieniony Gumboot) i polega na kreatywnej ekspresji i rywalizacji. Ruchy Pantsuli na początku przypominały ruchy kaczki, i choć nam kaczka niekoniecznie w ten sposób się kojarzy, miały symbolizować lekkość i grację. Obecnie Pantsula ściśle wiąże się z gatunkiem muzycznym kwaito i jest lokalnym odpowiednikiem hip-hopu z elementami tanecznego free style'a.

Pomimo lat europejskich wpływów i indoktrynacji apartheidu, rdzenni mieszkańcy RPA nie zaprzestali praktykowania swoich plemiennych zwyczajów. W tym wrzącym i często kipiącym tyglu jakim ze względu na swą etniczną różnorodność jest ten kraj, na równi z parytetami i zdobyczami cywilizacji, funkcjonują stare, afrykańskie zwyczaje takie jak lobola (opłata za pannę młodą), a poligamia stanowi usankcjonowaną prawnie formę małżeństwa. Na ulicy, tuż obok ogłoszenia usług międzynarodowego koncernu medycznego, znajdzie się tablica z ogłoszeniem usług sangomy, sprzedającego muti mającego zapewnić miłość, sławę, bogactwo.

Nie zmieniła się również funkcja i znaczenie tańca. Mieszkańcy RPA tańczą w parkach, na parkingach a często także spontanicznie na ulicach. Wojowniczy tłum nadal tańczy Toyi-Toyi podczas protestów, strajków i demonstracji. Dzierżąc kije, a często i maczety, porusza się w takt bębnów i dźwięków wuwuzeli (trąbek, które w komercyjnej postaci zrobione są z plastiku na wzór tradycyjnego instrumentu z rogu). Tańcom nadal towarzyszą obrzędy, zaklęcia i czary – i wynikająca z nich wiara w zwycięstwo. I tak jak kiedyś, nadal wzbudza strach w przeciwnikach.

Pantsula. Fot. Domena publiczna

Tańczą wierni w kościołach, a nawet politycy podczas akcji wyborczych, a o tym, jak ważny jest to element, może świadczyć taniec w wykonaniu byłej przywódczyni demokratów w RPA, Helen Zille.

W RPA taniec i muzyka to nie tylko rozrywka. To sposób na odreagowanie wielu stresów, wyrażenie zarówno szczęścia i euforii, jak i frustracji czy złości – powodów do nich, pomimo upadku apartheidu w dalszym ciągu jest tu bez liku.

Agnieszka Malonik-Taggart (ur. 1971 w Kielcach). Od dwunastu lat wraz z mężem i synem mieszka w RPA. Pracuje w międzynarodowej firmie kosmetycznej, podróżuje, prowadzi bloga www.wkrainieteczy.wordpress.com.

Piotr Sobota

Jaskinia

Pewnego dnia mój przyjaciel Michał zabrał mnie do swego dziadka, Stanisława, emerytowanego drogowca, który od dawna szukał kogoś chętnego do wysłuchania wspomnień. Nic dziwnego, że starszy pan bardzo się ucieszył na to spotkanie.

– Mój dziadek, czyli prapradziadek Michała, był żołnierzem w czasach Piłsudskiego i II Rzeczypospolitej – zaczął, a ja uśmiechnąłem się na myśl, że dowiem się o wojennych przygodach przodka najlepszego kumpla ze szkolnej ławki. Myliłem się jednak.

– Gdyby nie dziadek Franciszek, nigdy nie zainteresowałbym się obcymi cywilizacjami. Mam na ten temat sporą wiedzę – uśmiechnął się pan Stanisław. – Badania archeologiczne, prowadzone w ruinach budowli, które pozostawiły po sobie starożytne cywilizacje, wskazują na to, że w pewnym momencie naszej historii ludzkość była odwiedzana przez cywilizacje pozaziemskie. Dowody potwierdzające tę hipotezę, odnaleziono na terenach starożytnej Mezopotamii, w Egipcie, w Azji oraz w obydwu Amerykach. Skala tych odkryć była tak wielka, że dowiedział się o nich cały świat. Na pewno słyszeliście o rysunkach w Nazca w Peru czy kompleksie świątynnym w Puma Punku w Boliwii?

– Coś niecoś – odrzekłem, zaskoczony szeroką wiedzą i młodzieńczym wręcz entuzjazmem, z jakim dziadek Michała opowiadał o przybyszach z kosmosu. Staruszek upił spory łyk herbaty, po czym pochylił się ku nam nad stołem.

– A wiedzieliście, że podobnych odkryć dokonywano również w Polsce?

Uniosłem brwi i spojrzałem na przyjaciela. Michał pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony. Chciał coś powiedzieć, ale dziadek zmierzył go karcącym spojrzeniem. – Co, uważasz, że zmyślam? O, nie. Mówię prawdę. Ale mało kto wie o owych śladach bytności obcych. Ich niewielka skala sprawiła, że nie wydostawały się do opinii publicznej.

– Powiem więcej – dodał po krótkiej chwili milczenia. – W naszym mieście też się taki ślad znalazł.

– Gdzie? – zapytałem z bijącym sercem. Starszy pan uśmiechnął się szeroko, widząc moje zainteresowanie.

– W okresie międzywojennym – podjął – w związku z odzyskaniem niepodległości i znaczącym tempem rozbudowy infrastruktury drogowej, konieczne było tworzenie nowych kopalni wapienia. Obok Kadzielni czy Wietrzni, odkrywkę uruchomiono także w wapiennej górze Śluchowicy, usytuowanej przy nowej kolei Herbsko-Kieleckiej. Pierwsze lata wydobycia odsłoniły znany wam dziś niezwykły fragment tektoniki w postaci charakterystycznych, silnie pofałdowanych skał wapiennych. Z powodu tej właśnie niezwykłości zachowano szczyt góry.

Początkowo nic nie wskazywało na to, że pod ziemią może się znajdować coś innego niż skały i jaskinie – tu pan Stanisław zawiesił głos. Czułem wzrastające podekscytowanie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że z kamieniołomem wiąże się jakiś sekret, na dodatek związany z istotami pozaziemskimi. Patrzyłem więc na dziadka Michała wyczekująco, spragniony dalszego ciągu opowieści.

– Pewnego razu – kontynuował staruszek – kiedy zagłębienie wynosiło mniej więcej połowę obecnego, jeden z robotników, odkuwając wapienne kamienie, odsłonił czeluść w skale, prawie do niej wpadając. Początkowo każdy sądził, że to po prostu jaskinia, taki też zapis znalazł się w dzienniku wydobycia, a robotnicy kontynuowali pracę. Kilka dni później natrafiono jednak na elementy, które nie były już skałą, ale czymś w rodzaju betonu.

Do jaskini opuścił się na linie pierwszy śmiałek z latarką na baterie, której światło odsłoniło nieregularny korytarz, z zagłębieniami w ścianach. W jednym z nich znalazł on jakiś przedmiot, przypominający pistolet, ale z lufą o otworze wąskim jak szpilka i cienką rękojeścią, niepasującą do ludzkiej ręki. Część „pistoletu" była pęknięta, ukazując intrygujący gąszcz płytek, drucików i soczewek. Dodatkową konsternację budził materiał, z którego nieznana broń została wykonana – ani stal, ani drewno, ani nawet „plastyk", który w tamtych czasach nie był jeszcze rozpowszechniony. Mało tego, wyobraźcie sobie, że znalezisko, choć przez długi czas leżało pokryte wilgocią i odchodami nietoperzy, po oczyszczeniu wydawało się jak nowe, bez śladu rdzy, a kolor miało zbliżony do platyny.

Zapewne z racji tego, że przedmiot określono jako pistolet, sprawą zainteresowało się wojsko. Nie chcąc, by sprawa zyskała rozgłos, Dowództwo Okręgu Generalnego „Kielce" nakazało kontynuację wydobycia, z pominięciem jaskini oraz zakazało wykorzystania środków wybuchowych. Do pracy wyznaczono czterech żołnierzy z Zarządu Budownictwa Wojskowego w Kielcach. Wśród nich był właśnie dziadek Franciszek. Na wszelki wypadek sprowadzono też sapera.

Jako pierwszy zszedł na dół bliski przyjaciel dziadka, ale nie pamiętam, jak się nazywał. Nagle krzyknął z przerażenia.

– Co się stało? – przerwał dziadkowi Michał, wyraźnie zaaferowany. Ja też zastygłem w bezruchu, próbując wyobrazić sobie, co mogło tak przestraszyć żołnierza.

– Słuchajcie dalej – pan Stanisław uniósł w górę palec wskazujący. – W ślad za nim na linie opuścił się jeszcze saper i młody żołnierz dźwigający sprzęt. Mój dziadek wraz z kolegami zabezpieczali stanowisko od góry, a dozorca kopalni pilnował, żeby nikt nie zakłócał przebiegu akcji.

Po umówionym czasie żołnierze wrócili ze wstrząsającymi informacjami. Otóż na końcu jaskini, która prawdopodobnie stanowiła szyb wentylacyjny, znajdowało się podłużne jak kanał pomieszczenie, zakończone dwiema płaskimi ścianami. Dokładnie pod wylotem szybu leżał w nienaturalnej pozycji szkielet w pofałdowanym ubraniu, z gładką jajowatą czaszką, podobną nieco do ludzkiej. Szczęka zamiast zębów miała jedną listwę, ostrą i wąską pośrodku, a szeroką i płaską na końcach. Boczna część czaszki była zauważalnie pęknięta od uderzenia. Przy pasie zmarłego znaleźli kaburę odkrytego tydzień wcześniej „pistoletu".

Przyjaciel Franciszka opowiadał, że w jednej ze ścian pomieszczenia mieściły się drzwi, a właściwie dwie klapy. Górna wisiała na jednym zawiasie, dolna leżała płasko na podłodze. Obie nosiły ślady silnego uderzenia. Za nimi oczom żołnierzy ukazała się sala wielkości wnętrza kościoła wojskowego Garnizonu Kieleckiego Wojska Polskiego. Zobaczyli tam kilka roztrzaskanych pojazdów różnej wielkości. Najwidoczniej doszło do potężnej eksplozji. Jej źródłem był prawdopodobnie ostatni pojazd, którego resztki leżały na uszkodzonej platformie.

Żołnierze przyjrzeli się bliżej temu dziwnemu wehikułowi i doszli do wniosku, że jego powyginana konstrukcja pierwotnie skierowana była pionowo w górę. Zapewne właśnie poruszała się na platformie ku podłużnemu otworowi, który znajdował się w sklepieniu pomieszczenia. Przez ów otwór platforma wysuwała się na

szczyt góry, gdzie zrobili właz, który następnie zamaskowali warstwą gleby.

– Zrobili? – powtórzyłem. – To znaczy kto zrobił?

– Pobratymcy tego nieszczęśnika, którego kości znaleźli towarzysze broni dziadka Franciszka – odparł pan Stanisław, jakby wyjaśniał najoczywistszą rzecz na świecie. – A któżby inny mógł stworzyć taką konstrukcję?

– Co było dalej? – dopytywał Michał.

– Żołnierze zdążyli jeszcze odkryć kolejne, okrągłe drzwi, otwierające się jak przesłona w aparacie, której płyty zostały wyrwane siłą wybuchu. Za nimi ujrzeli owalny tunel z licznymi bocznymi korytarzami. Dyscyplina wojskowa wzięła górę nad ciekawością i żołnierze wycofali się. Później sporządzili raport, który przekazali dowództwu. Do dokumentu dołączyli kilka małych elementów, które zdołali zabrać z wnętrza jaskini.

Szanse na kolejną i bardziej szczegółową ekspedycję przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Z żołnierzy, którzy brali udział w pierwszych oględzinach, przeżył tylko mój dziadek. Po wojnie kopalnię przejęły władze sowieckie i kontynuowały wydobycie. Tymczasem dziadek Franciszek zamieszkał niedaleko kopalni, przy trakcie piekoszowskim, i zajął się rolnictwem. Jako akowiec musiał jakoś ukryć swoją przeszłość. Któregoś dnia próbował podejść bliżej kamieniołomu, ale go przepędzili. Zdążył tylko zobaczyć dwóch mężczyzn w kombinezonach, niosących różne dziwne przedmioty do furgonetki. Ową furgonetkę widywał jeszcze nie raz. Kiedy przestała się pojawiać, w kopalni z powrotem zaczęto używać materiałów wybuchowych.

– Wszystko zniszczyli? – spytałem zawiedziony.

– A któż to wie? – dziadek Stanisław rozłożył ręce. – W 1947 roku w kamieniołomie pojawił się geolog Czarnocki. Sądzę, że władze postanowiły położyć kres plotkom, „odkrywając" tajemnicę Śluchowic i zapraszając chętnych do podziwiania niezwykłego górotworu. W końcu, jeśli pozwoli się przyjeżdżać, oglądać, to każdy pomyśli, że pewnie nie ma tu nic do ukrycia. Już w 1952 roku szczyt góry ustanowiono rezerwatem, choć wydobycie zakończono dopiero 18 lat później. Ale tego momentu dziadek nie dożył. Z kolei mój tato nie był w ogóle zainteresowany kamieniołomem ani jego historią. Twierdził, że to bajki. Mimo to o wszystkim mi opowiedział, dzięki temu mogę to teraz przekazać wam.

Pan Stanisław zamyślił się głęboko. Spoglądał przy tym to na mnie, to na swego wnuka. Zdawało mi się, że chce jeszcze coś dodać, ale się waha. Wreszcie oparł się łokciami o blat stołu i zniżył głos:

– Próbowałem kiedyś znaleźć tę jaskinię, ale niestety złamałem nogę w czasie jednej z takich wycieczek. Zniechęciłem się do poszukiwań w kamieniołomie. A teraz tego żałuję. Kto wie, może coś tam jeszcze zostało do odkrycia?

Westchnął smutno, ale widząc nasze przejęcie, uśmiechnął się i machnął ręką.

– Ech, nie martwcie się mną. Na stare lata mi się nagle przypomniały dziecinne marzenia. Dziękuję wam, żeście mnie wysłuchali. Chociaż tyle z tego wszystkiego...

Wracaliśmy do domu przejęci niezwykłą historią miejsca, które przecież obaj tak dobrze znaliśmy. W głowie aż huczało nam od pytań i domysłów. Postanowiliśmy sprawdzić, czy w opowieści dziadka jest choćby ziarno prawdy. Parę dni później, letnim rankiem, wybraliśmy się obaj do kamieniołomu, obecnie ogólnodostępnego. Zaczęliśmy wspinaczkę od dołu, zakładając wstępnie, że szyb z opowieści dziadka oraz tak zwana Jaskinia pod Fałdem o długości jedenastu metrów i głębokości pięciu metrów to jeden i ten sam twór. Dotarliśmy do niej bez większych trudności, nie licząc przedzierania się przez kłujące krzewy.

Wyciągnąłem z plecaka linę, zawiązałem wokół pobliskiego głazu i opuściłem się na dół. Po drodze wymacałem kilka metalowych szczebli, wbitych dawno temu. Za mną opuścił się Michał. Jaskinia faktycznie miała takie wymiary jak w opisie, jednak nam rzuciło się w oczy to, że ściany są skalne, ale dno ziemne – zupełnie jakby ją ktoś kiedyś zasypał. Oprócz nabijarki do tytoniu i opakowania po gilzach nie znaleźliśmy początkowo nic ciekawego.

Zaczęliśmy rozkopywać dno składaną saperką, chociaż miało to takie szanse na sukces, jak przekopanie się z USA do Chin. Po godzinie byliśmy już zlani potem – zrobiło się duszno, gdyż jedyny dopływ powietrza był kilka metrów nad nami.

– Mam dość, to bez sensu – jęknął mój przyjaciel i wstał, żeby rozprostować kości. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie, zatoczył się od lekkiej pomroki spowodowanej zbyt długą pracą w kuckach i uderzył głową w ścianę jaskini. Na szczęście trafił w miejsce porośnięte mchem. Ciemnozielona kępa spadła na ziemię.

Wtedy dostrzegłem coś, co nie pasowało do reszty – w szczelinie odkrytej przez zerwany mech, który rósł tutaj dzięki odrobinie światła z wylotu jaskini, zobaczyłem malutki fragmencik materiału koloru platyny. Zupełnie jakby kiedyś ktoś, wynosząc resztki z podziemnego kompleksu, zahaczył o szczelinę i urwał kawałek, który utkwił w niej na ponad pół wieku.

– Widzisz to? – zwróciłem się do przyjaciela, dotykając ostrożnie znaleziska. „Dziadek miał rację" – ta myśl napełniła mnie euforią, której doświadczają odkrywcy nowych, nieznanych światów.

– Taaa – mruknął Michał bez przekonania, rozcierając obolałe miejsce. – Pewnie, gdy kontaktowali się z dawnymi cywilizacjami Egiptu i Azji, to mieli bazy założone w wielu miejscach do obserwacji pobliskiego ludu. Sprawdzali, czy nadaje się do edukacji. Ale być może uznali, że dziki lud, z którego kiedyś rozwinie się cywilizacja Słowian, na razie nie jest warta uwagi, i postanowili odlecieć.

Parsknąłem śmiechem, słysząc jego sarkastyczny ton. Po chwili jednak spoważniałem.

– Myślisz, że wtedy doszło do tej katastrofy?

– Nie wiem – Michał wzruszył ramionami. – Może chcieli wysadzić bazę w powietrze, ale coś poszło nie tak i silniki rakiety zaczęły się palić?

– A wtedy jeden z obcych próbował uciekać szybem nim nastąpi eksplozja – podchwyciłem. Wyobraźnia szybko podpowiedziała mi dalszy ciąg dramatycznych wydarzeń. – Kosmita poślizgnął się i spadł na dół, ale już po wybuchu, więc jego ciało nie uległo spopieleniu. Sama eksplozja musiała zaś na trwałe dezaktywować specjalną bombę, która miała unicestwić bunkier, zmieniając go w masę skalną po opuszczeniu przez obcych. Dzięki temu obiekt, choć ukryty, przetrwał do czasów współczesnych, a góra Śluchowica zachowała swoje tektoniczne pofałdowanie, niezniszczona wewnętrznym wybuchem.

– Dobra, dobra – tonował mój zapał przyjaciel. – To mało realne, ale intrygujące. Może napiszmy o tym książkę? Będziemy urządzeni do końca życia.

Roześmiałem się serdecznie. Choć sam nie potrzebowałem więcej dowodów na to, że opowieść dziadka była prawdziwa, wiedziałem, że i tak nikt by mi nie uwierzył. Platynowy fragmencik zabraliśmy ze sobą i umieściliśmy w przezroczystym breloku z plastiku. Gdybyśmy go oddali władzy, pewnie przepadłby tak samo, jak wejście do podziemnej bazy obcych.

Piotr Sobota (ur. 1989), absolwent budownictwa (specjalność budowa dróg) na Politechnice Świętokrzyskiej. Zawodowo zajmuje się organizacją ruchu drogowego. Lubi podróżować w ciekawe miejsca regionu świętokrzyskiego. Ponadto w wolnych chwilach zaczytuje się w literaturze SF. Obie swoje pasje połączył w prezentowanym opowiadaniu „Jaskinia", które jest jego debiutem literackim.

Grzegorz Niemiec

Nie wierz, bo się omylisz

Pochodzenie prima aprilis pozostaje nieznane po dziś dzień. Europejczycy sądzą, że ów zwyczaj wywodzi się z rzymskich Cerialii – obchodów ku czci bogini Ceres, którym towarzyszyły żarty i śmiech w dniu 1 kwietnia, zaś mieszkańcy Azji Południowej będą widzieć w nim odmianę Holi – święta wiosny, które Hindusi i Nepalczycy urządzają przy pełni księżyca w miesiącu phalguna (luty-marzec) także współcześnie.

Prima aprilis rozpowszechnił się na Starym Kontynencie najpewniej u kresu średniowiecza, a do Polski – wnioskując z wiersza Wacława Potockiego (1621-1696), który „Prima aprilis" nazywa „modą staroletnią" – dotarł około XVI stulecia.

Ale mniejsza o genezę, w pierwszy dzień kwietnia (łac. prima dies Aprilis) stroimy sobie żarty, psikusy i figle oraz przy pomocy kłamstewek – tak dla śmiechu – wprowadzamy się nawzajem w błąd, niegdyś proponowano zakup krokodylich łez, gołębiego mleka, zjedzenie pierogów z trocinami albo wypicie kawy z gliny, później wysyłano niestosowne prezenty, bądź satyryczne pocztówki – z uszczypliwym, bywało, że wulgarnym komentarzem do starych panien, kobiet o wątpliwej reputacji i kawalerów.

Przyjęty kodeks primaaprilisowych zachowań, przynajmniej jeśli chodzi o zasadę, jest uniwersalny, za to nazwa święta uwarunkowana kulturowo i semantycznie – przynależnością do określonej grupy języków. W krajach anglojęzycznych 1 kwietnia nazwano „Dniem głupców" (April Fools' Day lub rzadziej All Fools' Day), żartować należało przed południem, a oświecony autor dowcipu winien poinformować ofiarę o wyprowadzeniu jej w pole okrzykiem „April fool!".

Tam, gdzie w użyciu jest język niemiecki (Niemcy, Austria), a także w Skandynawii prima aprilis nazywa się całkiem zwyczajnie „1 kwietnia" (niem. der erste April), zaś w Szkocji to „Dzień polowania na głupca" (Hunt the Gowk Day), w Portugalii „Dzień kłamstwa" (Dia da mentira), a na Litwie „Dzień kłamcy" (Melagio diena). Dotkliwie o istnieniu „Dnia śmiechu" (День смеха) przekonali się mieszkańcy Moskwy w 1703 roku, tłumnie przybywając za namową heroldów na „niesłychane przedstawienie", ale gdy uniosła się kurtyna ujrzeli napis „Pierwszy kwietnia – nie wierz nikomu!" (łudząco przypominający zawołanie – „prima aprilis, nie wierz, bo się pomylisz!") – podobno był to ostatni akt spektaklu.

Oryginalni mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego pozwolili sobie na nutkę ekstrawagancji i nie przeszkadza im, że prima aprilis obchodzą 28 grudnia w „Dniu Świętych Niewiniątek" (el Día de los Santos Inocentes) – jest to katolickie święto nazywane u nas „Dniem Świętych Młodzianków".

Natomiast francuski „Dzień kwietniowej ryby" (Jour du poisson d'avril) to echo żartu, w którym wysyłano na połów osoby niepoinformowane o wiosennej ochronie ryb związanej z ich tarłem. Współcześnie w tym dniu przypina się do pleców nieświadomej tego osoby papierową rybkę, co jest także praktykowane w prima aprilis (Pesci d'aprile) na Półwyspie Apenińskim. Tytuł francuskiej komedii „Jego rybki" (Poisson d'avril, 1954) o perypetiach niezdarnego mechanika samochodowego z doborowym duetem aktorskim Bourvil – Louis de Funès, wskazuje iż jej autor Gilles Grangier jest gorącym orędownikiem „Dnia kwietniowej ryby".

Prima aprilis szeroko rozpowszechnił się w Europie, znany jest w USA, Australii, Nowej Zelandii i ciekawe, że zawędrował nawet do Japonii i Korei Południowej.

A jak wiemy „dobry żart jest tynfa wart", dlatego redakcje gazet i stacje telewizyjne próbują 1 kwietnia wyprowadzić nas w pole. Najbardziej spektakularne kłamstewka są zebrane w rankingi, będzie w nich trzyminutowy reportaż BBC z 1957 roku o szwajcarskim drzewie, na którym rośnie spaghetti (Swiss Spaghetti Harvest), całostronicowe ogłoszenie „USA Today" z 1998 roku reklamujące „Kanapki dla leworęcznych" (Left-Handed Whopper) Burger Kinga. W 2000 roku Google miał promować wyszukiwarkę potrafiącą czytać ludzkie myśli, zaś trzy lata później rozpowszechniono plotkę o epidemii SARS w Hongkongu, która wywołała panikę tamtejszych mieszkańców.

Mimo primaaprilisowej dyspensy od obowiązku drukowania rzetelnych informacji żartobliwy news może wywołać wielkie poruszenie. Wśród mocno skandalizujących wiadomości jest wzmianka „Polityki" z 2005 roku o rzekomym transferowaniu polskiego skoczka narciarskiego Adama Małysza do ekipy austriackiej.

Transfer polskiego skoczka narciarskiego Adama Małysza do ekipy austriackiej.

Więcej frajdy sprawi czytelnikowi lektura zamieszczonego na Wikipedii primaaprilisowego życiorysu Adama Mickiewicza (1840-1939) – polskiego wynalazcy, niezmordowanego podróżnika, antropologa i entomologa, na którego cześć pewien gatunek pająka ochrzczono jego nazwiskiem, wizjonera i domatora, konstruktora krajalnicy do chleba oraz maszyny do podciągania oczek w rajstopach, współpracownika takich sław nauki jak Bronisław Malinowski, Piotr Kropotkin czy Nikola Tesla, przedstawiciela paradygmatu

interpretacyjnego i zwolennika wiedzy syntagmatycznej. To on po rzekomo udanych testach „odmgłamywacza" rozwiewającego opary dymu palonych przez Witkacego papierosów, przeprowadził pierwszą na świecie próbę maszyny do rozpędzania mgły, która przy owej próbie spaliła się razem z portretami Mickiewicza pędzla Witkacego. W przededniu rewolucji październikowej był na krążowniku „Aurora", gdzie pił „wódkę Mickiewicza" w towarzystwie marynarzy, z tego też okresu pochodzą „Sonety krymskie" niesłusznie przypisywane poecie o tym samym nazwisku. Po licznych podróżach przedostał się z Rosji okrężną drogą przez Chiny, Hawaje, Japonię i Australię do Polski. W schyłkowym okresie działalności pisał wspomnienia, te niestety zaginęły podczas II wojny światowej.

Za ciekawą wariację na temat prima aprilis trzeba uznać „Dzień Śmiechały", jedyny album cyklu przygód Kajka i Kokosza, w którym chudszy z bohaterów jest pokazany bez czapki, znów w innej scenie Janusz Christa narysował pewną mieszkankę Mirmiłowa z rybą na plecach, nawiązując do „Jour du poisson d'avril".

Amerykańska odmiana nietuzinkowego święta mogła inspirować byłą gwiazdę koszykówki Shaquille'a O'Neala przy tworzeniu oryginalnego – bowiem prezentującego gafy koszykarzy – programu „Shaqtin' a Fool". Cotygodniowe epizody ukazują zabawne sytuacje z parkietów NBA i mają przewagę nad primaaprilisowymi newsami, bo nie są zmyślone.

Pozostańmy za oceanem – w ostatnich latach wyprodukowano tam kilka krótkometrażówek o wspólnym tytule „April Fool's Day", owym tytułem zdradzając pomysł, za którym kryje się poniekąd przewidywalna fabuła, a dużo wcześniej pełnometrażowy horror „Prima aprilis" (1986) Freda Waltona, na tyle interesujący, że młodszy remake – także „Prima aprilis" (2008) – duetu Phil Flores-Mitchell Altieri wypada blado na tle pierwowzoru.

„Prima aprilis" Waltona oferuje nam wielopokojową posiadłość na wyspie z osobliwą galerią mebli, zdjęć, obrazów oraz sekretów z życia rodziny pewnej studentki. Gospodyni zaprosiła na sztubacką prywatkę mało rozgarniętych rówieśników, a ci być może zabawę przypłacą życiem? Rodzinne tajemnice mogą inspirować amatorów escape roomów, zaś sam film strasząc bawi, ale i zaskakuje nieoczekiwanym finałem, mimo iż posługuje się znajomym schematem wyjątkowego dnia, w którym „zabukowano nam koszmar" – niech to będzie feralny „Piątek trzynastego" (1980, reż. Sean S. Cunningham), Boże Narodzenie („Cicha noc, śmierci noc", 1984, reż. Charles E. Sellier Jr.), walentynki („Moja krwawa walentynka", 1981, reż. George Mihalka), „Halloween" (1978, reż. John Carpenter) albo prima aprilis. Taka różnica, że tu jest cukierek, a tam psikus!

Tak, bliższy nam pierwszokwietniowy psikus niż Halloween, lecz o zgrozo obserwuję jak prima aprilis ustępuje miejsca plebejskim uciechom intelektualnie spauperyzowanego społeczeństwa, ciasno osadzonym w godzinach największej oglądalności – mało śmiesznym i przewidywalnym – programom o charakterze konkursu dla utalentowanych inaczej. Ci za Gierka próżno szukaliby aplauzu pod trzepakiem.

Nie, śpiewać nie każdy może... Przyznam się, ja nie mogę.

PRO PUBLICO BONO.....

„KANTYNA-BAR"

Rys. Jerzy Ozga

Co pewien maharadża miał wspólnego ze Słowackim

Dorota Nowak-Baranowska

14 lutego 2019 r., kiedy wszystkie dzienniki świata, nawet te poważne, przypominają o Dniu św. Walentego, indyjski „Times of India" (edycja w stanie Gudżarat) przełamuje dominującą narrację, choć w pewnym sensie nadal mówi o historii pewnej miłości.

Fot. Dorota Nowak-Baranowska

Zamiast wyjaśniać genezę Dnia Zakochanych i publikować listy najbardziej romantycznych miejsc na randkę, największy indyjski dziennik przypomina historię „Wielkiego Hindusa o wielkim sercu" („Great Indian by Heart"), czyli maharadży Jam Saheba z księstwa Nawanagar.

Balachadi – polska osada w kraju nad Gangesem

Każdego roku w styczniu lub w lutym (w tym roku dokładnie 14 lutego) indyjskie media, a w szczególności media lokalne w zachodnim stanie Gudżarat, przypominają o rocznicy śmierci Jam Saheba, indyjskiego maharadży i arystokraty Shri Sir Digvijaysinhji Ranjitsinhji Sahib Bahadura (1895-1966), który w latach 40. XX wieku stał na czele ówczesnego północno-zachodniego indyjskiego księstwa Nawanagaru. W Polsce jest on znany pod bardziej swojsko brzmiącym przydomkiem „Dobry Maharadża". Czym zawdzięcza swoją sławę nad Wisłą? Otóż kiedy w 1941 r. Stalin wyraził zgodę na wyjazd osieroconych polskich dzieci z terytorium Związku Radzieckiego, kilkaset z nich trafiło do portu w Bombaju. Ich dalsze losy po przybiciu do tego portu owiane są tajemnicą, a dostępne źródła nie podają jednoznacznej odpowiedzi. Bezsporny natomiast jest fakt, że Indie w tamtym czasie, podobnie jak Polska, nie były niezależne i w związku z tym wszystkie ważne decyzje musiały przechodzić przez ręce władz brytyjskich. Statek z polskimi uchodźcami nie mógł zakotwiczyć w stolicy Maharashtry. Ostatecznie więc trafił do Gudżaratu, na wybrzeże Morza Arabskiego, do portu Rosi, podobno na rozkaz samego maharadży. Tam dzieci wraz z opiekunami od razu zostały przyjęte przez władcę księstwa Nawanagar, ze stolicą w mieście Jamnagar, co stanowi teren dzisiejszego Gudżaratu. W 1942 r. w niewielkiej osadzie Balachadi narodziła się enklawa do dziś sympatycznie nazywana „Little Poland in India".

„Bapu", czyli „Tata"

Nie uważajcie się za sieroty. Jesteście teraz Nawanagaryjczykami, ja jestem *Bapu, ojciec wszystkich mieszkańców Nawanagaru, w tym również i wasz.* W ten sposób przywitał polskie dzieci książę Digvijayasinhji. Jak to się stało, że, mimo zależności od Korony Brytyjskiej, Jam Sahib miał wolną rękę w podjęciu tak ważnej decyzji? Otóż Indie były brytyjskie w dwóch trzecich. Pozostałą część stanowiły tak zwane księstwa (*princely states*), czyli mini-państwa, których monarchowie – choć podlegali Koronie w kluczowych kwestiach – posiadali pewną dozę autonomii (mogli na przykład samodzielnie pobierać podatki, a tym samym gromadzić własne fundusze). Mogli też, przynajmniej w lokalnej administracji, zachować tradycyjny hinduski tytuł „maharadża". Było to o tyle ważne w polskim kontekście, że „Dobry Maharadża" w dużej mierze sam sfinansował infrastrukturę przeznaczoną dla polskich dzieci.

Niemałą rolę w logistyce, organizacji, ale też finansowaniu miała odegrać polska placówka dyplomatyczna, utworzona w 1933 r. w New Delhi. W konsulacie tym pracowała w tamtym czasie niejaka Wanda Dynowska (znana też jako Umadevi, gdyż tym imieniem ochrzcił ją Gandhi), uczennica samego Mahatmy, który, nomen omen, również pochodził z Gudżaratu i w tym regionie koncentrowała się jego główna działalność – tu miał miejsce słynny marsz solny (zorganizowany przez Gandhiego protest w formie marszu o długości 240 mil przeciwko nałożeniu przez Brytyjczyków horrendalnych podatków na sól) i tu również narodziła się słynna idea biernego oporu.

Oprócz Wandy Dynowskiej, wielką rolę odegrali także: ówczesny konsul Eugeniusz Banasiński i jego żona – Kira oraz wicekonsul Tadeusz Lisiecki. Wszyscy troje znacząco przyczynili się do pomysłu przyjęcia rodaków na terenie Indii, aczkolwiek kwestia zakresu ich działań różni się, nieraz kolosalnie, w zależności od konsultowanych źródeł czy relacji samych zainteresowanych. Media indyjskie kładą raczej nacisk na indywidualną rolę maharadży, przedstawiając go niczym heroiczną figurę, bohatersko walczącą o każde polskie dziecko. Choć podobna mitologia i tendencja do idealizowania pojawia się w wielu wypowiedziach i artykułach, czasem wręcz ocierając się o etos legendy, bardziej niż o fakty, to jednak, w każdym typie narracji, osoba dobrego (i bogatego, ale i hojnego) króla stanowi pewien wspólny mianownik.

Mozaika polsko-indyjska

Na tym jednak nie kończą się relacje między Polską a subkontynentem indyjskim. Z pewnością w całej tej historii można zadać sobie pytanie, dlaczego Jam Saheb pochylił się akurat nad dziećmi-uchodźcami z Polski, skoro cała Europa była ogarnięta wojną, a grupa kilkuset uciekinierów pod opiekuńczymi skrzydłami maharadży (między 500 a 1500, zależnie od różnych źródeł) stanowiła zaledwie kroplę w morzu całej fali uchodźców na świecie? Otóż poprzedni maharadża księstwa

Skwer Dobrego Maharadży w Warszawie.
Fot. Mateusz Opasiński (źródło wikipedia.org)

Nawanagaru, krykiecista Ranjitsinhji, reprezentując Indie w Lidze Narodów, miał okazję przebywać w Europie, gdzie poznał genialnego kompozytora, pianistę i polityka... Ignacego Paderewskiego. W tę podróż zabrał swojego przybranego syna i zarazem późniejszego następcę tronu, Digvijayasinhaji, czyli właśnie późniejszego Dobrego Maharadżę. Tak rozpoczęło się zainteresowanie i sympatia Jama Saheba do kraju nad Wisłą.

Trzeba też pamiętać, że wiek XIX i pierwsza połowa XX, w całej Europie, również w Polsce, to czas rosnącego zainteresowania i fascynacji szeroko pojętym Orientem. A Indie były (i dla niektórych są nadal) wręcz archetypem egzotyki i esencją mistycznego, uduchowionego Wschodu. Swoją niebagatelną cegiełkę w dziedzinie relacji polsko-indyjskich, dołożyli podróżnicy i himalaiści, których podróże i trekkingi nie mogłyby zostać w pełni zrealizowane bez handlu na szeroką skalę i licznych kontaktów z miejscowymi. Te interakcje zresztą nie ustaną i nawet w epoce PRL (a może paradoksalnie szczególnie wtedy) relacje polsko-indyjskie były i nadal są przez obie strony postrzegane niezwykle pozytywnie, z dużą dozą sympatii. A wracając do spraw polityki, polskim uchodźcom w latach 40. niewątpliwie sprzyjał klimat polityczny w Indiach. Jawaharlal Nehru, socjalista i jeden z najważniejszych polityków walczących o niezawisłość, a później pierwszy premier niepodległych Indii, będąc we Włoszech w latach 30. XX wieku, skutecznie unikał spotkania z Mussolinim, gdyż otwarcie nienawidził ideologii faszystowskiej i nazistowskiej. Również Mahatma Gandhi w tym samym czasie oficjalnie opowiedział się po stronie sprawy polskiej.

Pokazy krakowiaka nad zatoką Kaććh

Obóz w Balachadi nie był jedyny, kolejny powstał na przykład w Valivade w Kolhapur w stanie Maharashtra, jeszcze inne w nieodległym Pakistanie. Jednak ten pierwszy był de facto prywatnym terenem Dobrego Maharadży i obóz, który tam założono, powstał w dużej mierze z prywatnych pieniędzy. To, czego Jam Saheb nie finansował sam, było najczęściej kupowane dzięki specjalnemu funduszowi, pomocy placówek dyplomatycznych i organizacji charytatywnych, takich jak Czerwony Krzyż. Osiedle polskie w Balachadi istniało do 1946 r. Dorośli mieszkańcy obozu mieli też przyznane zasiłki miesięczne, uzależnione między innymi od liczby dzieci znajdujących się pod ich opieką.

„Dobry Maharadża" sfinansował infrastrukturę przeznaczoną dla polskich dzieci.

Życie w osiedlu toczyło się normalnie, skupiając jak w soczewce wpływy dwóch zupełnie innych kultur, które nawzajem na siebie wpływały i przenikały. Tę dwoistość było widać choćby w nazwach ulic: niektóre brały swoje nazwy od lokalnych roślin, stąd na przykład egzotycznie brzmiąca ulica Srebrnego Aloesu, podczas gdy obok istniało bardziej „przyziemne" nazewnictwo – ulice Sklepowa, Szkolna czy Kościelna. Na miejscu wybudowano kilka szkół: trzy podstawowe, trzy przedszkola, trzy szkoły średnie – liceum, szkoła handlowa i szkoła rolnicza, wzorując się na polskim, przedwojennym systemie edukacyjnym. Pomimo niewystarczającej ilości pomocy naukowych i sprzętu, w trzech podstawówkach wykształcono ponad 1000 dzieci. Powoli przybywało podręczników, aż w końcu jeden przypadał na czworo uczniów. W międzyczasie, w miarę możliwości obchodzono wszystkie ważne polskie święta religijne i narodowe, organizowano pokazy tańców ludowych, w czym maharadża aktywnie uczestniczył. Podobno największe wrażenie zrobiła na nim szkolna inscenizacja „Kordiana".

Oczywiście, nie bez znaczenia były drobne różnice kulturowe, które jednak szybko udawało się niwelować, a ich istnienie tylko dokładało wyrazistości i odrobiny humoru całemu przedsięwzięciu. Powszechnie wiadomo, że koszmarem wszystkich przedszkolaków jest konsumpcja szpinaku, który w Indiach, a tym bardziej w wegetariańskim Gudżaracie jest jednym z najbardziej popularnych składników. Dzieci więc pewnego dnia urządziły „szpinakowy strajk", na co „dobry babu", nakazał swojemu kucharzowi radykalną zmianę menu, a potem sprowadził młodych kucharzy z Goa, którzy lepiej znali kuchnię europejską. Niektórzy ze starszych mężczyzn zaczęli też produkować typowo polskie przysmaki, a najlepiej chyba zapamiętano tego, który zaczął robić kiełbasy. A przecież wołowina i wieprzowina wciąż były (i są nadal!) w Indiach tematem tabu. Lokalni producenci musieli mieć specjalne pozwolenia na pozyskiwanie ich z różnych źródeł, z zastrzeżeniem konsumpcji wyłącznie na terenie osiedla.

Od Małej Polski do szkoły oficerskiej

Jam Saheb, zapytany, co chciałby otrzymać w zamian za swoją ofiarność, stwierdził, że może kiedyś Polacy będą chcieli nazwać jedną ze swoich ulic jego imieniem. Pełne imię i nazwisko dla Polaków jest dość karkołomne w wymowie, więc kilka lat temu w Warszawie pojawił się skwer pod prostszą nazwą „Dobrego Maharadży". Życzenie więc chyba zostało spełnione. Jednak być może jeszcze bardziej wymowna jest dalsza historia polskiego osiedla. Po tym jak mieszkańcy Little Poland mogli wrócić do ojczyzny, podjęto decyzję, aby cała szkolna i mieszkalna infrastruktura nadal pełniła swoją funkcję. Dziś prężnie działa tu szkoła z internatem, Sainik School Balachadi, jedna z 24 prestiżowych placówek tego typu na terenie Indii, której misją jest szkolenie kadry oficerskiej, rekrutującej się spośród chłopców ze wszystkich regionów i, co ważne, ze wszystkich kast. Czy założenie to jest w pełni przestrzegane – trudno powiedzieć. Jednak w ten sposób zdefiniowana misja, zwłaszcza w dobie rosnących nacjonalizmów w „największej demokracji świata", jest z pewnością ideą wartą kontynuacji.

Zainteresowanych tematem odsyłam do książki „Druga ojczyzna. Polskie dzieci tułacze w Indiach" Anuradha Bhattacharjee, Wydawnictwo Poznańskie, 2014.

Co pewien Włoch zrobił dla świętokrzyskiego

Piotr Kardyś

Chociaż pierwsze wydanie listów z podróży J.F. Carosiego ukazało się w latach 1781-1784 w Lipsku, do tej pory nikt nie pokusił się o jego pełne wydanie z aparatem krytycznym i edycją niemieckiego oryginału. Zapyta ktoś, dlaczego Carosi i jego opisy są uznawane za tak cenne dla Kielc i okolic?

Odpowiedź jest prosta – z oczywistego powodu, gdyż zawierają także sporo informacji o charakterze społeczno-historycznym, o mieszkańcach i miejscowościach z terenu obecnego regionu świętokrzyskiego. Nie powinno też dziwić miejsce obecnego wydania, bowiem Kielce stały się w okresie staropolskim centrum zarządu działalności gospodarczej o charakterze górniczo-hutniczym

Uważam, że warto sięgnąć po ten zapis ówczesnej codzienności, w jakiś sposób podobnej do sytuacji, z którą mamy do czynienia obecnie.

na ziemiach Rzeczpospolitej Obojga Narodów. Początkowo w oparciu o dobra biskupów krakowskich, a po ich upaństwowieniu i reorganizacji przez władze administracyjne austriackie, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Opracowanie J.F. Carosiego o charakterze mineralogicznym położyło podwaliny pod rozwój nowoczesnego przemysłu w tzw. Staropolskim Zagłębiu Przemysłowym, a biorąc pod uwagę jego obszerność, fachowość i doświadczenie praktyczne autora w pracy za granicą, w nowatorskich na ówczesne czasy ośrodkach przemysłowych, tym bardziej wyznaczyło kierunki rozwoju górnictwa oraz hutnictwa w zapóźnionej pod tym względem i chylącej się ku upadkowi Rzeczypospolitej. Bez jemu podobnych, jak Ferber, a później Staszic i Drucki-Lubecki niemożliwy byłby błyskawiczny postęp w zakresie uprzemysłowienia regionu świętokrzyskiego w I poł. XIX w. W tym miejscu warto przypomnieć, że aż do końca XIX w. żelazo produkowane na terenie Staropolskiego Zagłębia Przemysłowego stanowiło 90% całości produkowanej na ziemiach polskich.

Bożena Piasecka
Dzieje Karczówki w Kielcach w latach 1624-2024. T. 8, cz.1, Życie i twórczość Jana Filipa Carosiego
206 s. ; 25 cm
Kielce : Muzeum Historii Kielc, 2018
55:929-052(438)"17/18"

Johann Philipp von Carosi
Dzieje Karczówki w Kielcach w latach 1624-2024. T. 8, cz. 2, Podróże po polskich prowincjach, obserwacje mineralogiczne i inne dodatkowe opisy tych ziem
375 s. ; 25 cm
Kielce : Muzeum Historii Kielc, 2018
55

Johann Philipp von Carosi
Dzieje Karczówki w Kielcach w latach 1624-2024. T. 8, cz. 3, Podróże po polskich prowincjach, obserwacje mineralogiczne i inne dodatkowe opisy tych ziem
436 s. ; 25 cm
Kielce : Muzeum Historii Kielc, 2018
55

W pierwszej części książki Bożena Piasecka szczegółowo omówiła życie i twórczość literacką J.F. Carosiego (1744-1799) na tle epoki. Carosi odbył kilka podróży badawczych na polecenie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, chcącego wzmocnić podstawy finansowe Korony. Z czasem otrzymał za zasługi szlachectwo. Był autorem dwóch części „Podróży przez niektóre prowincje polskie..." i listów publikowanych w „Magazynie Warszawskim Pięknych Nauk". Realizując cele ekonomiczne – miał znaleźć, zbadać i sprawdzić możliwości eksploatacji złóż w Polsce – zostawił obraz zapuszczonych miasteczek, wsi, osad i przysiółków oraz ich mieszkańców; ubolewał nad brakiem aktywności ekonomicznej, apatią mieszczan, wskazywał szanse na bogacenie się ludności i państwa, rozwój obronności oraz samowystarczalność Polski. Opisał Szydłowiec, Bzin, Rejów, Jędrów, Samsonów, Miedzianą Górę, Kielce, Morawicę, Chęciny, Miedziankę, Staszów, Szydłów, Nowe Miasto Korczyn, Połaniec, Opatowiec, Opatów (od 12 sierpnia do 30 września 1778 r.) oraz Piaseczno, Drzewicę, Końskie, Miedzierzę, Mniów, Miedzianą Górę, Niewachlów, Karczówkę, Kielce, Czarnów, Górno, Morawicę, Brzegi, Tokarnię, Chęciny, Bolechowice, Jaworznię, Miedziankę, Szewce, Łopuszno, Małogoszcz, Brzegi, Jędrzejów, Wodzisław, Kraków, Olkusz, Krzeszowice, Tenczynek, Busko, Wiślicę, Nowy Korczyn, Winiary (od 14 maja do 20 lipca 1779 r.).

Część druga i trzecia zawierają edycję dzieła Carosiego, w tym także transkrypcję z niemieckiej czcionki gotyckiej na współczesny język niemiecki.

„Podróże po polskich prowincjach, obserwacje mineralogiczne i inne dodatkowe opisy tych ziem" Jana Filipa Carosiego zawierają cenne informacje i obraz regionu u schyłku Rzeczypospolitej, a jeszcze przed erą industrialną, która zmieniła go radykalnie. Uważam, że warto sięgnąć po ten zapis ówczesnej codzienności, w jakiś sposób podobnej do sytuacji, z którą mamy do czynienia obecnie. Wówczas feudalizm zastępowało uprzemysłowienie, a teraz przemysł zastępują usługi, nowoczesne technologie i społeczeństwo postindustrialne.

PS. Nawet społeczeństwa naszego regionu, dawne i obecne są do siebie w jakiś sposób podobne – tzn. podobnie senne i apatyczne – pewnie dlatego wciąż jesteśmy jednym wielkim skansenem...

Paweł Chmielewski

O człowieku, który nie ma ulicy w Warszawie

Nie wiem jak to nazwać – z braku lepszego słowa – użyję terminu pokusa. Pokusą każdego architekta, zanim coś wybuduje, jest coś zniszczyć. Choćby maleńkiego. Urbaniści działają w innej skali, ich burzenie ma często wymiar totalny. Najwięksi przechodzą nawet do historii. Bramante zrównał z ziemią całe kwartały dawnego Rzymu, nim zaplanował swoją katedrę. George Haussmann pogrzebał ćwierć średniowiecznego Paryża, by w jego miejsce postawić ciąg eklektycznych kamienic i stworzyć słynne bulwary. Współczesna Warszawa (i wiele polskich miast wzorujących się na stolicy) nosi piętno jednego człowieka – Józefa Sigalina.

Naczelny architekt (choć precyzyjnym określeniem byłoby urbanista i organizator), tytułowy bohater książki historyka z PAN Andrzeja Skalimowskiego, nie musiał nic burzyć – przynajmniej z początku. Powojenna Warszawa (z wyjątkiem Pragi) była wielkim morzem ruin, miejscem, które można było odtworzyć, lub zaprojektować absolutnie na nowo. Drugim, obok Sigalina, nie mniej ważnym bohaterem książki jest miasto – poligon eksperymentalny dla planistów, pole walki sprzecznych koncepcji architektonicznych, miasto nad którym cały czas unosi się wielka polityka.

Autor książki, badając m.in. dzieje warszawskiego Domu Partii, wiele razy trafiał na nazwisko Sigalina. Zawsze w kontekście negatywnym. Tymczasem postać dyrektora Biura Odbudowy Stolicy, przyjaciela Mariana Spychalskiego, bywalca gabinetów Jakuba Bermana i Bolesława Bieruta, nie jest tak jednowymiarowa, jak by się nam zdawało. Andrzej Skalimowski, podróżując śladami bohatera, rozmawia z rodziną, cytuje wspomnienia i nieznane dokumenty – kreuje obraz człowieka, który w zbiorowej wyobraźni pozostał symbolem oficjalnej doktryny realizmu socjalistycznego. Jako tło posłużył rozwój i upadek kefirowego imperium, polski antysemityzm, wielka czystka lat 30. w ZSRR i Holocaust.

Wprowadzeniem, a nie wiem nawet, czy nie metaforą tej historii jest opowieść o fałszowaniu kefiru w XIX-wiecznej Warszawie. Wszystko bowiem zaczyna się od gruzińskiej babki Józefa, która z dalekich gór Kaukazu przywozi receptę na kefir leczniczy. Podbija Warszawę, dorabia się majątku, zyskuje znajomości w kręgach naukowych i... kilkunastu naśladowców, którzy podrabiają wyroby, obniżają ceny, stosują kiepskie zamienniki. Klaudia Sigalin walczy, zamawia ekspertyzy, ogłoszenia prasowe, próbuje wprowadzić standardy jakości dla producentów żywności w Warszawie. Odbija się od ściany. Po jej śmierci kefirowe imperium działa jeszcze siłą rozpędu do lat 30. XX w. Dobija je ogólnoświatowy kryzys i brak zdolności zarządzania wśród spadkobierców. Sto lat później, projektując Trasę Łazienkowską, jej wnuk, próbując solidnie (napisałbym w duchu zachodniego, protestanckiego profesjonalizmu) dokończyć budowę, zostaje „spacyfikowany" przez entuzjastycznych wyznawców propagandy sukcesu. Józef Sigalin, po klęsce rodzinnej firmy, zamiast być młodym baronetem z zasymilowanej familii przedsiębiorców,

Andrzej Skalimowski
Sigalin. Towarzysz odbudowy
318 s. ; 23 cm
Wołowiec : Wydawnictwo Czarne, 2018
69(438):711.16(438):929-052(438)"19"

został średniozamożnym studentem i – co wbrew pozorom nie dziwi w Polsce międzywojennej – żydowskim komunistą z KPP. Rola Sigalina w przedwojennym wojsku, które komuniści infiltrowali, a potem w czasie wojny w ZSRR, jest mocno niejednoznaczna. Skalimowski nie rozstrzyga, czy pracował na rzecz sowieckiego wywiadu. Dla powojennych komunistów był podejrzany – nigdy nie siedział w więzieniu. Jedno jest pewne – był oportunistą i to pozwalało mu wielokrotnie przetrwać, sprawnym dziennikarzem (lub raczej sprawdzonym propagandystą) oraz doskonałym organizatorem. Gdy w stopniu majora, wraz z wojskami Berlinga przybywa do Polski, jako „stary towarzysz", który zna Wandę Wasilewską i Jerzego Borejszę, zostaje mianowany głównym architektem odbudowy stolicy. I tu zaczyna się właściwa opowieść.

W życiorysie Józefa Sigalina ten okres – dekada między wyzwoleniem Warszawy a końcem budowy Pałacu Kultury i Nauki – jest najciekawszy. Nie popadajmy w stereotyp, że odbudowa miasta to tylko propaganda i architektoniczny duch socrealizmu. Warszawa, już od chwili upadku Powstania Styczniowego, stawała się – dzięki decyzjom władz carskich – miastem peryferyjnym, niedoinwestowanym, z chaotyczną i ciasną zabudową. W dwudziestoleciu międzywojennym ten chaos tylko się pogłębił. Kto nie patrzy na II RP przez różowe okulary, ten dotrze do pamiętników, artykułów prasowych, które rysują obraz Warszawy lat 30., jako miasta, w którym – poza ścisłym centrum – żyło się naprawdę ciężko. Wtedy właśnie powstały pierwsze plany przebudowy stolicy. Sigalin trafił na moment, gdy miasto można było zaprojektować od nowa, zmienić jego charakter. Jako – posiadający wielką władzę – ale zależny od partyjnych sekretarzy, zatrudniał w swoim biurze (ratując przed więzieniem) AK-owców, godził sprzeczne tendencje – odtworzenia Warszawy w duchu klasycyzmu, którego chcieli historycy sztuki i konserwatorzy z narzuconym socrealizmem. Musiał zbudować Trasę W-Z i MDM, burząc ocalałe z powstania domy. Musiał wreszcie wznieść, nie licząc się z kosztami, zrównując z ziemią prawie cztery tysiące mieszkań – bo nikt w Polsce nie mógł się temu sprzeciwić – Pałac Kultury i Nauki.

Sigalin trafił na moment, gdy miasto można było zaprojektować od nowa.

Po odwilży organizował jeszcze biuro odbudowy Zamku Królewskiego. Trochę odsunięty na boczny tor, zajął się swoją ukochaną dziedziną – budową mostów.

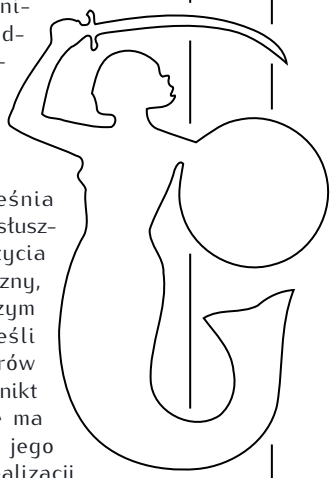

Skalimowski ścieśnia (można dyskutować, czy słusznie) ten ostatni etap życia Sigalina, gdy romantyczny, twardy komunista, niczym Wokulski marzy i kreśli plany zielonych bulwarów nad Wisłą. Dzwoni, lecz nikt go nie słucha. Dziś nie ma nawet małego skwerku jego imienia, lecz wiele z realizacji Sigalina zostało wpisanych do rejestru zabytków, stając się ikonami polskiej architektury.

Łukasz Rakalski

Jazz zobowiązany

Mimo, iż instrumenty tria grają razem, pozostają sobie obce.

Z okazji dwusetnej rocznicy urodzin jednego z dwóch najwybitniejszych polskich kompozytorów, na wniosek Litwy, Białorusi i Polski władze UNESCO ustanowiły 2019 rokiem Stanisława Moniuszki. Najbardziej utytułowany polski jazzman – Włodek Pawlik – twierdzi, że jego dzieła są łatwe do przełożenia na jazzową nutę. 22 lutego ukazała się jego autorska płyta, która zdaję się rzucać wyzwanie temu twierdzeniu.

Twórczość Moniuszki to temat raczej rzadko podejmowany przez artystów jazzowych, choć nie brak tu ciekawego akcentu w postaci utworu „Prząśniczki" na płycie „To i hola" w wykonaniu duetu Grażyny Auguścik i Urszuli Dudziak. Ciekawostką jest to, że stała się tematem albumu małżonki Włodka Pawlika, Jolanty Pszczółkowskiej-Pawlik „Moniuszko: Pieśni" z 2014 r. Wspomnieć można również o albumie „Jazz i Moniuszko" Bogdana Halickiego z 1998 r., który wyróżnia się jedynie rzadko do tej pory spotykaną w jazzie tematyką.

Koncertowa premiera „Pawlik/Moniuszko – Polish Jazz" odbyła się 3 marca w Muzycznym Studiu Polskiego Radia imienia Agnieszki Osieckiej, została wyemitowana również na antenie Radiowej Trójki. Trio wystąpiło w odświeżonym składzie, z doświadczonym Pawłem Pańtą na kontrabasie i towarzyszącym po raz pierwszy Adamem Zagórskim na perkusji.

No cóż, nie można zwlekać ze stwierdzeniem, że od pierwszych dźwięków interpretacje utworów mistrza prezentują się niezwykle przeciętnie. W moim odczuciu, o jazzowym zabarwieniu najbardziej popularnej pieśni Moniuszki „Prząśniczki", czy równie cenionej „Gdyby rannym słonkiem" zdecydowała jedynie obecność niezwykle wszechstronnego kontrabasu oraz jazzowego charakteru partii perkusji. W tym kontekście jazzowym interpretacjom brak jakiegokolwiek suspensu, można jedynie delektować się znanymi melodiami. A szkoda, ponieważ, jak stwierdził sam autor, kompozycje Moniuszki cechuje niezwykła prostota, co w moim przekonaniu dla utalentowanych artystów jak Pawlik otwiera nieograniczone ścieżki do tworzenia fascynujących dźwiękowych obrazów.

Aby oddać sprawiedliwość dla wydźwięku całego albumu, należy jednak wspomnieć o „Strasznym Dworze". Pawlik częstuje bardzo pikantnymi, lecz smacznymi współbrzmieniami, które miło wspominam z jego najlepszych produkcji. Na tym tle bardzo przypadła mi do gustu także jazzowa wersja pieśni „Kum i Kuma", gdzie Pawlik przypomina także o swoim rockowym zacięciu. Nie zmienia to jednak mojego odczucia, że ciekawie zaaranżowane partie instrumentalne należą tu do rzadkości. Mimo, iż instrumenty tria grają razem, pozostają sobie obce.

W moim przekonaniu „Pawlik/Moniuszko: Polish Jazz" zwraca uwagę przede wszystkim jako hołd dla jednego z najbardziej cenionych polskich kompozytorów. Czas zdecyduje, czy pozostanie wyróżniającą się produkcją na polskim rynku, czy jednym z wielu owoców Roku Moniuszkowskiego. Dziś mogę z przyjemnością powrócić do fascynujących melodii polskiego mistrza.

Włodek Pawlik, ***Pawlik/Moniuszko: Polish Jazz***, Pawlik Relations, 2019

Agnieszka Majcher

Dystansu cokolwiek za mało

Za monodramem Eweliny Gronowskiej „Basia Oblesia – StanDupowy czyli Dramat Jednej Aktorki" stoją głównie dwie osobowości, dobrze znane publiczności. Pierwsza to wspomniana już aktorka Ewelina Gronowska, nagradzana i wyróżniana w plebiscycie o „Dziką Różę", która dzięki scenicznemu temperamentowi i wyrazistemu, barwnemu wizerunkowi w życiu pozateatralnym zasłużyła na porównanie z Heleną Bonham Carter. Druga to dramaturg, który jej luźne pomysły zamienił w scenariusz spektaklu, autor takich propozycji, jak „Mój niepokój ma przy sobie broń", „Twardy gnat, martwy świat", „Lordy", wielokrotnie nagradzany, Mateusz Pakuła.

Jak sugerowały materiały promocyjne, miała to być postdramatyczna eksploracja emocji, jakie targają kobietą zbliżającą się nieuchronnie do wieku średniego, choć nadal pełną chęci i chuci, prowokacyjny pokaz sztuczek z mocno erotycznymi aluzjami, pretekst do których dawało prezentowanie alter ego aktorki Eweliny – czyli tytułowej Basi Oblesi. Jednak... Uważam, że nie wszystko poszło jak należy. Śmiem twierdzić, że aktorka o takiej skali ekspresji, jak Gronowska, która obok mocno ekspansywnych, zawłaszczających uwagę publiki, kreacji dała się zapamiętać wzruszającymi realizacjami postaci bardziej introwertycznych, jak na przykład w „Kle" w reżyserii Bartosza Żurowskiego – zasługuje na lepszy tekst. Spodziewałam się monologu bardziej iskrzącego się dowcipem i aluzjami. Muszę przyznać, że osobiście nie przepadam za dramatem Pakuły. Po zachłyśnięciu się palimpsestowością „Mojego niepokoju" poczułam rozczarowanie: nie przekonał mnie ani „Twardy gnat", ani nierówne „Lordy" (pierwsza i druga część bardzo dobre, „zabite" przez banał i kiepskie tempo trzeciej). Choć wtedy zauważyłam standupowy potencjał świetnych, tryskających energią monologów z „Gnata" w wykonaniu Andrzeja Platy i dlatego szłam na obecny spektakl z nadzieją na właśnie coś takiego. Co zawiodło? Podejrzewam, że koleżeński charakter propozycji – ponieważ to przedstawienie jest prywatną inicjatywą Gronowskiej – zaważył na efekcie końcowym. Wygląda na to, że dramaturg przez wzgląd na znajomość nie chciał zbytnio ingerować w notatki aktorki, z których sporządził tekst. A powinien. Słowo, które dobrze i śmiesznie brzmi w rozmowie nad kuflem piwa czy w statusie w mediach społecznościowych, nie zawsze sprawdza się na scenie. Nie w komedii, która wymaga kompozycji, intensyfikacji, zaimplementowania punktów kulminacyjnych i puent. Tego mi brakło. Spektakl snuł się od sceny do sceny, czasem trącając o banał (co oczywiście było w porządku w tej formule – nie wytykam samego banału, tylko kompozycję), czasem wybuchając fajerwerkiem, jak w przypadku doskonałej piosenki czeskiej. Gdyby więcej takich scen – dających aktorce możliwość pokazania dystansu wobec siebie i otaczającej ją („jak wieść gminna niesie") aury skandalu.

Wspomniana scena jest nie tylko ciekawa ze względu na prezentację kilku oblicz kobiety granej przez Gronowską – specyficznej mieszanki słodkiej idiotki i wampa-dominy. Pokazuje ona, że czysty spontaniczny śmiech wymyka się spod tyranii cenzury zwanej poprawnością polityczną: środkiem stwarzającym dystans wobec bez mała pornograficznych treści, ale też samym w sobie komicznym jest tu przecież zastosowanie języka czeskiego.

Ktoś mógłby jednak zadać pytanie, czy wina leży tylko po stronie dramaturga. Tekst niewątpliwie pomaga w wejściu w rolę, ale dobry aktor podobno nawet książkę telefoniczną odegra. Myślę, że w pierwszych scenach obie strony mogłyby coś poprawić. W standupie ważna jest specyficzna mieszanka dystansu wobec przedstawianej postaci z identyfikowaniem się z nią, swoista kabaretowa żarliwość wprowadzenia publiczności w świat hiperboli. W pierwszych scenach „Basi..." w kreacji Gronowskiej wyczuwałam zbyt mocną teatralną alienację, jakby aktorka sama nie czuła jeszcze konwencji, ale myślę, że z każdym przedstawieniem będzie ona coraz lepiej w nią wchodzić. Z pewnością nie pomoże w zwalczaniu braku kontaktu zrzucanie winy na widzów „z Mołdawii" (kolejny casus niepoprawności). Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że publiczność w teatrze mogła być, mówiąc kolokwialnie, „sztywniejsza" niż w klubie, gdzie miał miejsce wcześniejszy pokaz monodramu, jednak bić się w piersi nie będę, ponieważ zasiadło wśród niej mnóstwo życzliwych ludzi, którzy tylko czekali na wyraziste zaproszenie do zabawy.

Mówiąc o życzliwości, Ewelinie Gronowskiej należą się olbrzymie słowa uznania. Cieszy, że aktorzy, zamiast narzekać, czekając na ciekawą propozycję ze strony reżyserów, przejmują inicjatywę i samodzielnie kształtują swoje zawodowe portfolio, oferując publiczności takie niebanalne propozycje. Godne podziwu jest, jak z wielką odwagą dzielenia się intymnością, z prywatnego życia artystka wykuwa sztukę. Ocenę, ile z prawdziwej Gronowskiej jest w postaci Eweli czy Basi Oblesi pozostawię każdemu widzowi do osobistego osądu. Zachęcam do zobaczenia. I na koniec ja złamię konwencję i skrócę dystans:

Ewelina, graj, realizuj się i baw – siebie i nas. Słuchaj siebie i widzów. Nie bój się zmian. Niech jak w prawdziwym standupie tekst i kreacja nieustannie ewoluują, ponieważ „Basia Oblesia" ma potencjał stania się petardą. Powodzenia.

Mirosław Krzysztofek

Tajemnicze menu

(Prawdopodobnie nigdy tego nie słyszeliście, ale to najlepsza płyta świata)

Captain Beefheart & His Magic Band, ***Trout Mask Replica***
Reprise, 1969

Kolega szkolny Franka Zappy dokonał rzeczy niebywałej. Połączył rocka, bluesa i free jazz w jedną fascynującą całość.

Płytę wydaną 50 lat temu usłyszałem gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych XX w. Potem nic już nie było takie samo. Wyprodukowany przez Franka Zappę album do dziś pozostaje wzorem muzycznej awangardy. Wielu artystów wymienia go wśród płyt, które wywarły na nich decydujący wpływ. Wystarczy wymienić Toma Waitsa.

Unikalny do dziś sposób gry zespołu, podejście do muzyki improwizowanej, specyficzny humor, atmosfera szaleństwa – posłuchajcie utworu „When Big Joan Sets Up"! Przy tym wszystkim inwencja i wirtuozeria muzyków robi wrażenie nawet po 50 latach. Nie wiem, co oni jedli i pili w czasie tej pamiętnej sesji, ale chciałbym poznać menu.

Nieżyjący już, zmarły w 2010 roku Captain Beefheart, a właściwie Don Van Vliet nie miał zbyt szczęśliwego życia, ale pozostawił po sobie tę i kilka płyt, które powinien znać każdy, kto kocha niekonwencjonalną i tworzoną z pasją muzykę. I nie lubi ludzi używających słowa progresywny, nie mając w gruncie rzeczy pojęcia, co owo słowo naprawdę znaczy.

„Niedotykalny" z miasta Lemnos

(Prawdopodobnie nigdy tego nie czytaliście, ale to najlepsza książka świata)

W biblijnej „Księdze Izajasza" z ust syna Amosa padają słowa proroctwa o upadku Babilonu: *Ale się tam chować będą zwierzęta i napełnią się ich domy smokami. I będą się odzywać sowy w domach jego, a syreny w zbożach rozkosznych.*

Paweł Chmielewski

Filoktet, bohater jednego z mało znanych mitów trojańskich, nieszczęsny towarzysz Odyseusza, ukąszony przez węża w drodze na największą z wojen, którą znała ludzkość, zaczyna wydzielać z ropiejących ran tak potworną woń, że zdradzony i porzucony przez przyjaciół ląduje na bezludnej wyspie Lemnos. Proroctwo mówi jednak, że Grecy nie podbiją Troi, jeśli w ich szeregach nie będzie władającego po mistrzowsku łukiem Filokteta. Po dziesięciu latach, do wybrzeża samotnej wyspy przybija grecki statek. Tyle wiemy z lektury tragedii Sofoklesa.

Robert Silverberg (ur. 1935), jeden z gigantów literatury science fiction, przenosi antyczny mit w realia bliżej nieokreślonej przyszłości. Bohater „Człowieka w labiryncie" (1969) – Muller, obdarzony darem/przekleństwem nieokiełznanej emisji uczuć, odrzucony przez ludzkość, uciekinier na tajemniczą planetę Lemnos, zaszywa się, eksplorując miasto-labirynt stworzone przed milionami lat przez zaginioną cywilizację. „Ratunkowa" misja z Ziemi staje się dla autora tylko kolejnym pretekstem dla filozoficznego dyskursu o naturze ludzkiej i dekonstrukcji odwiecznych mitów.

Ludzie, jak bogowie – tak można ironicznie stwierdzić – dzięki technologii i nieustannym zabiegom chirurgii plastycznej wciąż rozciągają długość swego życia. Odrzucając równocześnie każdego z nieprzystosowanych. Muller jest dalekim echem Hala Bregga, bohatera lemowskiego „Powrotu z gwiazd" (1961). Tajemnicze miasto-labirynt, równoprawny bohater utworu, żyjące, pełne dzikich zwierząt i pułapek, do końca nieodgadnione w swej istocie, obiekt wielu misji kosmicznych archeologów. Nieudanych dodajmy. Czy nie przypomina nam – w swej istocie – oceanu Solaris? Bohaterowie Silverberga to wciąż figury antycznego dramatu. Muller (oczywiście Filoktet), lecz w jego pragnieniu poznania istoty labiryntu i zabicia potworów moglibyśmy odczytać wariacje na temat losu Tezeusza. Cyniczny i pozbawiony złudzeń Boardman to Odyseusz, pełen młodzieńczych marzeń Rawlins to sofoklesowski Neptolemos (syn boskiego Achilla, jak śpiewał Homer). Współczesny odczyt powieści Silverberga mógłby strywializować „Człowieka w labiryncie" i sprowadzić go – chociażby – do serialowego uniwersum, rozegranego w świecie gry komputerowej. Lub mógłby oddać książkę jednemu z filozofów SF, jakim jest Denis Villeneuve.

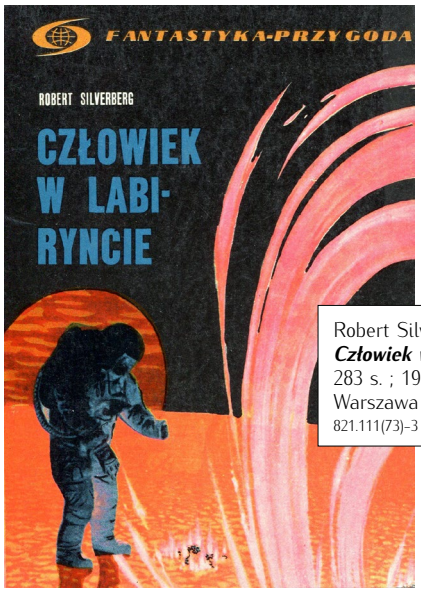

Robert Silverberg
Człowiek w labiryncie
283 s. ; 19 cm
Warszawa : „Iskry", 1973
821.111(73)-3

Spotkanie trzech kosmicznych, lecz w swej istocie antycznych herosów (lub raczej stosując nomenklaturę popkulturową – antybohaterów), staje się tylko pretekstem. Czy chodzi o ratowanie Ziemi przed inwazją obcych? O „ostatnią nadzieję ludzkości", którą jest skrzywdzony i poniżony Muller? Czy raczej odwieczną – w europejskiej, ale nie tylko kulturze – mityczną opowieść o pragnieniu człowieka, by poznać to, co niepoznawalne.

Paweł Gąsowski
Wprowadzenie do kognitywnej poetyki komiksu
318 s. ; 21 cm
Poznań : Fundacja Instytut Kultury Popularnej, 2016
82(091)-91

Paweł Chmielewski

Mr Robot, jak to jest zrobione?

Z książką Pawła Gąsowskiego „Wprowadzenie do kognitywnej poetyki komiksu" jest związana zabawna historyjka. Adam Rusek – dokumentalista (najważniejszy) i badacz polskiego komiksu, kreśląc dedykację do „Tarzana, Matołka i innych", zerknął na leżącą obok publikację Gąsowskiego i napisał: *Chciałbym być tak mądry jak tytuł tej książki*. Zdarzyło się w Łodzi. Z rozprawą Rozalii Knapik „Sztuczny bóg" nie jest związana żadna anegdota. Chwilowo.

Obie dotyczą – bardzo szeroko pojętej – popkultury i obie porządkują – w swoich dziedzinach – terminologię, ułatwiają widzowi/czytelnikowi poruszanie się, w często dość skomplikowanej sieci pojęć.

Publikacja Gąsowskiego jest wersją jego rozprawy doktorskiej, a groźnie wyglądający termin „kognitywna", może troszeczkę odstraszać czytelników, choć nie powinien. Upraszczając, autor zajął się w swoich rozważaniach sposobem odbioru komiksu i jego interpretacją przez ludzkie zmysły. Rozważania zostały poprowadzone z punktu widzenia historyka gatunku, trochę psychologa, ale przede wszystkim literaturoznawcy. Fundamentem książki – w sposób naturalny – musiały zatem stać się poetyka i teoria znaku. Stąd „Wprowadzenie do kognitywnej..." nie sprawia problemów w lekturze filologom, z których każdy – mniej, lub bardziej – zetknął się z kursem językoznawstwa. Gąsowski – zanim rozbierze komiksowy kadr na czynniki pierwsze, zajmuje się polityczno-kulturową otoczką „opowieści z dymkiem". Poznajemy, w skróconej wersji – i bardzo dobrze – uwarunkowania cenzuralne oraz obyczajowe towarzyszące komiksowi w USA, Francji, jego stopniową nobilitację – aż do nagród Pulitzera i panowania w imperium Hollywood. Ten kontekst niezbędny jest dla zrozumienia stosunku polskiej krytyki i decydentów do opowieści rysunkowych w PRL-u.

Po rozważaniach, nazwałbym je historycznych, następuje obszerna część o charakterze wykładowym. Autor prezentuje sposób kompozycji kadru, format tekstu – przy okazji z jego onomatopeicznym ukierunkowaniem, typowym dla komiksów, kształt dymków, sposób interpretacji obrazu, a nawet dźwięku przez czytelnika. W moim przekonaniu publikacja IKP spełnia trzy ważne zadania – porządkuje i skupia teorie rozproszone (również nieobecne w polskojęzycznych źródłach), uwalniając tym samym badaczy od mozolnych poszukiwań. Unaocznia odbiorcy prostą prawdę – kompozycja komiksowego kadru jest efektem wielu celowych i przemyślanych decyzji artystycznych. Ten fragment mógłby być nawet dedykowany niektórym polskim rysownikom. Wreszcie trzeci postulat – dość cenny dla krytyków i publicystów – udostępnienie (w formie czytelnych punktów) terminologii, przede wszystkim literaturoznawczej, która może stać się wygodnym narzędziem w pracy recenzenckiej. Persewerację, hiperbolizacje i inne „stworzonka" z poetyki stosowanej przestaną być tajemnicą.

Rozalia Knapik
Sztuczny Bóg. Wizerunki technologicznej osobliwości w (pop)kulturze
202 s. ; 21 cm
Poznań : Instytut Kultury Popularnej, 2018
004.8:316

Bohaterem komiksu może – choć nie musi – i w polskich komiksach bywa incydentalnie, twór cybernetyczny. Android, awatar, komputer znacznie częściej zaludniają – poza dość naturalnym środowiskiem literatury SF – świat seriali i ekranów kinowych. Tym „wizerunkom technologicznych osobliwości" w (pop)kulturze poświęca swoją rozprawę „Sztuczny bóg" Rozalia Knapik, doktorantka kulturoznawstwa UJ. Element sakralny, do którego odwołuje się tytuł, jest w kontekście bytów sztucznych i wirtualnych o tyle istotny, że sami autorzy bardzo często podejmują wątek teologiczny – vide „Golem", czy „Głos Pana" Stanisława Lema, lub powieści Philipa Dicka, zaś popkultura wciąż eksploruje religijne księgi i traktaty – ich symbolikę, wprowadza kryptocytaty i czytelne (nawet nachalnie) wątki. Autorka swoje rozważania konfrontuje z filozofią jezuity Pierre'a Teilharda de Chardina, odnosi do teorii transhumanizmu i literackich dystopii.

Rozpoczynając dysertację, Knapik stawia tezę, iż zdecydowana większość dzieł kultury reprezentujących fantastykę i futurologię (że sięgniemy do Lema, który jest autorem najczęściej cytowanym w publikacji) ukazuje mroczną stronę technologicznego postępu. Nie jest to konstatacja zaskakująca – zło literackie, filmowe, teatralne, zawsze bywało bardziej fascynujące. Czy to w świecie Szekspira, czy sienkiewiczowskich postaci, które dopiero z upływem krwi zaczynają być prawdziwymi (i ciekawymi) bohaterami powieści, czy wreszcie w pogodnej fantastyce wschodnioeuropejskiego socrealizmu, gdzie podbój kosmosu w imię radości oraz technologicznego postępu i pokoju, jest po prostu mało interesujący.

Persewerację, hiperbolizacje i inne „stworzonka" z poetyki stosowanej przestaną być tajemnicą.

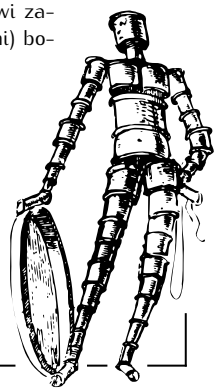

Ci „sztuczni bogowie" – ujmując rzecz w uproszczeniu – dzielą się na twory humanoidalne i mechaniczno-wirtualne. Te pierwsze, starając się zatrzeć granicę między człowieczeństwem a bytem nie-ludzkim, usiłują – na różne sposoby – wtopić się w antropogeniczne społeczeństwo. Drugie – pozbawione ciała, funkcjonujące w etycznie odmiennym świecie (byłby to ciekawy przyczynek do refleksji) cywilizację człowieka pragną zniszczyć. Rozważania nad istotą i filozoficznym obrazem sztucznej inteligencji, autorka ilustruje sprawnie analizując najsłynniejsze przykłady z rejestru popkultury – filmy („Ex machina", „Łowca androidów"), książki (Lem, Dick, „Neuromancer" Gibsona), seriale („Westworld", „Czarne lustro"). Pozostaje nam tylko strach i oczekiwanie na rok 2046, gdy ziści się wizja Raymonda Kurzweila i już nie będzie różnicy między człowiekiem a maszyną.

Mirosław Krzysztofek

Robots and aliens stealing jobs

Najbardziej garażowe wcielenie grunge'u.

Niemal 30 lat od płytowego debiutu w 2018 r. ukazał się nowy album weteranów grunge – Mudhoney. Poza Pearl Jam, jednej z ostatnich grup, które kiedyś, na początku lat dziewięćdziesiątych, reanimowały rocka.

Mudhoney, ***Digital Garbage***, Sub Pop, 2018

Były wraz z Nirvaną, Soundgarden i kilkoma innymi ważnymi przedstawicielami tej, jak na razie ostatniej, znaczącej muzycznej rewolucji, a właściwie powrotu do korzeni rock'n'rolla. Mudhoney ciągle koncertują, choćby na katowickim Off Fesitvalu dwa lata temu. I nagrywają bardzo dobre albumy. Grupa była i jest najbardziej garażowym wcieleniem grunge'u, jego punk rockowej odmiany. I muszę stwierdzić, że po tych wszystkich latach muzyka zespołu ciągle ma pazur, którym drapie tym razem niezadowoloną z siebie klasę średnią, ale śmieciową cywilizację wypełnioną strachem przed obcymi, podsycanym przez ignorantów i polityków. Zalewaną fake newsami i realnymi śmieciami unoszącymi się w oceanach i powietrzu.

Niespełna 40 minut garażowego rocka z bardzo wymownymi, politycznymi tekstami. Dla ignorantów nie do przyjęcia. Mudhoney tym się nie przejmują. Ignorancja to nie błogosławieństwo. Ignorancja to ignorancja. Śmieci w komputerach, śmieci na Ziemi i śmieci w głowach. I nic dobrego dla ludzi i tej planety z tego nie wyniknie. Znakomity rockowy album. Polecam.

Album przed zaśnięciem

Idealnie do wieczornego wyciszenia.

Dziadkowie leśni, jak mawia ostatnio jeden z tak zwanych progresywnych polityków, pamiętają pewnie zespół Talk Talk i ich płyty z lat osiemdziesiątych, które przeszły do kanonu muzyki pop, powiedzmy, wyższych lotów.

Rustin Man, ***Drift Code***, Domino, 2019

Jedna z nich „The Colour of Spring" (1986) ma w Polsce kultowy status. Również za sprawą audycji Tomasza Beksińskiego. A tak naprawdę jest to pierwsza i chyba najsłabsza płyta z trylogii. Pozostałe dwie to „Spirit of Eden" (1988) i „Laughing Stock" (1991). Jednym z filarów Talk Talk poza wokalistą Markiem Hollisem był basista grupy Paul Webb. Po rozpadzie Talk Talk założył tajemniczą formację ORang, która wydała dwie znakomite, eksperymentalne płyty. Od początku XXI w. znany jest jako Rustin Man. Pierwszą płytę „Out of Season" (2002) nagrał z wokalistką Portishead – Beth Gibbons.

Na początku tego roku ukazała się druga płyta Rustin Mana – „Drift Code". Płyta wciąga od pierwszego nagrania. „Vanishing Hart" przypomina wspomnianą twórczość Talk Talk. Oczywiście Paul Webb, to nie Mark Hollis, ale jego maniera wokalna przypomina nieco Roberta Wyatta, więc mnie kupił od pierwszego dźwięku. Kompozycje na płycie są zaskakująco równe, wytrzymują porównanie z najlepszymi latami Paula Webba w jego wcześniejszych zespołach. Staromodnie brzmiące aranżacje nadają się idealnie do wieczornego wyciszenia. I są na tej płycie momenty przepiękne. Na przykład „Our Tomorrows" i „The World's in Town". Beatlesi nie powstydziliby się takich kompozycji. Może Rustin Man nie kupi „generacji kciuk", ale who cares?

Lidia Kowalska

Tragedia przeistoczenia

Zespół Oathbreaker od ponad roku przebywa w dziwnym stanie letargu, mamiąc nowymi utworami, ale niczego nie tworząc. Dziwna to historia, wszak ich ostatni album, „Rheia", nie tylko chwilowo ożywił podupadający światek post-black metalu, ale był świadectwem potencjału twórczego belgijskiej kapeli.

Oathbreaker, ***Eros|Anteros***, Godcity Recording Studio, 2013

Dopiero osiągnięcie dna pozwala na rozpoczęcie prawdziwej podróży.

Między eterycznym, choć niestroniącym od brutalności ostatnim krążkiem a debiutem podsumowujących lata grania hardcore'a z lekkimi wpływami norweskich klimatów zespół wydał jednak jeszcze jedną płytę. Zbudowaną na przeciwieństwach, niezwykle spójną, ale zarazem zróżnicowaną, którego atmosfera potrafiłaby powstrzymać globalne ocieplenie. „Eros|Anteros", druga płyta belgijskiej ekipy, to zmiana ujęta językiem gitar i przeszywających wrzasków wokalistki, Caro Tanghe.

Nieraz w wywiadach zespół podkreślał, jak bardzo następca „Maelstrom" jest dźwiękowym zapisem punktu przejściowego ich życia. To krążek, na którym podsumowali swoje dotychczasowe doświadczenia i ruszyli. Tematyka ta odzwierciedla się nie tylko w tekstach czy bliżej nieokreślonej „atmosferze", ale również w sferze wizualnej – znajdujący się na okładce Słup Majowy, pogański obelisk służący do celebracji wczesnego lata, końca pewnej epoki, został zbudowany przez samych członków zespołu.

Chociaż „Eros|Anteros" nie jest albumem koncepcyjnym, charakteryzuje go pewna ciągłość kompozycyjna. Poszczególne utwory spaja nie tylko atmosfera, okoliczności powstania i motyw przewodni, ale również rytm albumu. Kawałki płynnie przechodzą z jednego w drugi, po krótkim intrze wykorzystują poezję Maurice'a Maeterlincka, potem następuje seria mocnych, hardcore'owych ciosów, które jednak nastawione są bardziej na uchwycenie chaosu żywcem niż zapewnienie podkładu pod machanie łbem. Kończy ją „As I Look Into The Abyss", utwór krótki, lecz z niezwykle ciekawym, wręcz abstrakcyjnym riffem, który zdaje się ilustrować pogrążanie w mroku.

Dopiero osiągnięcie dna pozwala na rozpoczęcie prawdziwej podróży. Następny utwór, dziewięciominutowy „The Abyss Looks Into Me", zainicjowany chłodnym wyciszeniem, ewoluujący w post-metalowy walec, sprawia wrażenie osi kompozycyjnej całego albumu. To tu Caro Tanghe zaczyna eksperymentować z czystymi wokalami, nadając brzmieniu nowy wymiar, to tu muzyka wychodzi poza kontrast „wolno-szybko", zaczyna eksplorować możliwości, jakie daje jej rozluźnienie formy. Nic dziwnego, że w wywiadach został nazwany swoistym podsumowaniem krążka, wszystkich nowości, jakie zostały wykorzystane.

Dalsza część albumu daje radę sprostać oczekiwaniom postawionym przez jego pierwszą połowę. Czy to w czerpiącym z post-hardcore'u „Condor Tongue", czy dla odmiany korzystającym z wzorców black metalowych „Offer Aan De Leegte", niezmienna pozostaje pewna, bliżej nieokreślona atmosfera. Pełna dystansu i chłodu, dająca wrażenie obcowania z otchłanią, ale jednocześnie wymykająca się konkretom – nawet najbardziej bezpośrednie, brutalne ciosy otacza pewien surrealizm. Doskonale podsumowuje to kończące „Clair Obscur", polane shoegaze'owym sosem oniryzmu. Album nie kończy się jednak sennym rozmarzeniem. Ostatnie sekundy wypełnia potężny, przepełniony niepokojem gitarowy riff, podkreślany wyborną produkcją człowieka będącego znakiem jakości, Kurta Ballou.

Sukcesem Oathbreakera na „Eros|Anteros" jest stworzenie własnego brzmienia, mimo tego, że środki, jakich używają, były wykorzystywane już przez wielu innych. Łączenie hardcore'u z blackiem to żadna nowość, tak samo, jak używanie damskich wokali, również czystych, w gitarowej ekstremie. Zespół z Ghany wpompował w to jednak tyle siebie, tyle własnych przeżyć, jak i swobody twórczej, że ten krążek nieuniknienie odbija tych, którzy go stworzyli. A przełożenie wewnętrznego świata człowieka w sposób szczery i bezpretensjonalny na język muzyki tak, by stworzyć spójny i pozwalający się wielokrotnie odkrywać na nowo album to nie lada sztuka.

Piotr Kletowski

Nowe życie

Conana z Cymerii – mocarnego herosa ery hyberborejskiej – wymyślił w latach 30. XX wieku Robert Edwin Howard, publikujący swe opowiadania w magazynie „Weird Tales" – „wylęgarni" ojców-założycieli amerykańskiej fantastyki literackiej (do pisma tego pisał także m.in. Howard Phillips Lovecraft, zresztą korespondencyjny przyjaciel literackiego ojca Conana, który po samobójczej śmierci pisarza, w 1936 r. napisał jedno z najpiękniejszych epitafiów w historii literatury).

Opowieści o walecznym Cymerianinie dały początek odmianie literatury fantasy, zwanej *heroic fantasy*, w której głównym „motorem" akcji są właśnie wyczyny obdarzonego nadludzką siłą bohatera, jako żywo przeniesionego z dawnych sag i legend w świat wykreowany w wyobraźni przez pisarza, ale mający znamiona świata historycznie prawdziwego. Pisarstwo Howarda nie było tylko prostym *pulp fiction*. Rzecz jasna formalnie ustępowało literackiemu wyrafinowaniu dziełom choćby Lovecrafta, ale, również jak dzieła samotnika z Providence, miało w sobie ukryty wymiar, korespondujący z czasami, w których ukazywały się na kartach ilustrowanych magazynów dla fanów fantastyki. W postaci Conana, ale też innych barbarzyńskich herosów (żyjący w czasach rzymskich Bran Mak Morn, Kull z Atlantydy), czy walczący z potworami wszelkiej maści herosi czasów nowożytnych (purytanin Salomon Kane), odbijała się postać samego Howarda, który jako dziecko był wyszydzany z powodu swej cielesnej kruchości, ale dzięki uporowi i ćwiczeniom fizycznym stał się wysportowanym i pewnym siebie człowiekiem. Choć nie do końca.

Pisarz miał w sobie wielką, duchową słabość – nad życie kochał swoją matkę, nieuleczalnie chorą na gruźlicę (odrzucił nawet miłość zakochanej w nim koleżanki ze studiów, by opiekować się matką, o czym opowiada przepiękny film „A Wide World", z Renee Zelweger i Vincentem d'Onorfio). I to właśnie jej śmierć popchnęła go do aktu samobójczego. Wszystkie złe moce, demony, potwory, czarnoksiężnicy rzucający śmiertelne zaklęcia, byli personifikacją śmierci, z jaką zmagała się matka pisarza, a poniekąd również on sam. I o ile Howard przegrał swą walkę z Thanatosem, to jego bohaterowie mieczem, toporem, odwagą i sprytem wyrąbali sobie drogę do serc czytelników, a poniekąd również „załatwili" nieśmiertelność swemu literackiemu ojcu. Zwłaszcza, kiedy w 1982 r. John Milius jako reżyser i Oliver Stone, jako scenarzysta, przenieśli na ekran przygody Conana z Cymerii, realizując dziś już legendarny film „Conan Barbarzyńca", z jakby urodzonym do tej roli Arnoldem Schwarzeneggerem. Twórcy filmowego Conana realizując swą wizję przygód herosa czasów hyberborejskich, dodajmy, że też w kluczu „dwóch planów" (wizja Conana walczącego z Wielkim Magiem Thulsą Doomem upajającym swych wyznawców narkotycznymi oparami był wizją rezonującą z hippisowską Ameryką lat 70., przeciwstawioną Ameryce ery Reagana), posiłkowali się grafikami i szkicami Franka Frazetty.

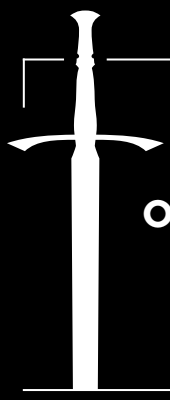

Wołanie o bohatera w świecie chaosu.

Frazetta – mistrz amerykańskiego komiksu – jako jeden z pierwszych przeniósł na komiksowe karty przygody Conana, wydawałoby się na wieczność kreując rysunkową wizję mężnego barbarzyńcy. Sam marzył o tym, by zrealizować pełnometrażowy film animowany o Conanie, ale prawa autorskie nie umożliwiły mu stworzenia swej wizji (powstał za to inny klasyk animowanego kina fantasy, słynny film „Tigra: ogień i lód", wyreżyserowany przez Ralpha Bakshiego, choć z graficznymi projektami Frazetty). Ciągła popularność literatury R. E. Howarda (jak również kontynuatorów jego literackiej wizji, do dziś powstało około 300 powieści i opowiadań rozgrywających się w uniwersach stworzonych przez amerykańskiego pisarza), także w kinie (próbowano dać Conanowi nowe filmowe życie w XXI w., z twarzą i ciałem Jasona Mamoi) spowodowało, że w niezależnym wydawnictwie Dark Horse postanowiono zmierzyć się z komiksową legendą Conana, stworzoną przez Frazettę i wykreować całkowicie nową wersję przygód Cymerianina, która odświeżyłaby powstałe jeszcze w latach 70. komiksowe wizje najsłynniejszych dzieł Howarda.

Seria Kurta Busieka, Cary'ego Norda i Grega Rutha, publikowana w latach 2003-2018 (mająca pierwotnie dyskontować nową wizję filmowych przygód Conana, z Mamoą właśnie – co ciekawe film okazał się klapą, w przeciwieństwie do komiksu) jest niezwykle starannie napisaną i narysowaną (choć lepiej wypadałoby powiedzieć namalowaną, bo mamy tutaj nawet całe plansze malowane akwarelami) sagą opowiadającą o dzieciństwie i młodości Conana (tom II, pt. „Miasto Złodziei", wydany również przez Egmont ukazuje dalsze przygody mocarza, zwłaszcza jego złodziejską karierę), w której na czoło wysuwa się nie tylko „droga miecza" bohatera, reprezentującego najwaleczniejsze plemię na ziemi 10.000 lat temu, ale właśnie mierzenie się herosa z siłami nadprzyrodzonymi, złymi mocami: czy to nordyckimi, lodowymi olbrzymami, czy to z demonami wypuszczonymi z sarkofagów, czy też z potężnymi czarnoksiężnikami – jak Thoth-Amon władający śmiercią i zniszczeniem. Przez co ten znakomity komiks wraca niejako do pierwotnego myślenia autora pierwowzoru literackiego, który widział w swym świecie refleks współczesności. Nie tylko swej własnej, w której zmagał się z fizyczną i duchową słabością, by jak Conan siłą woli i ciała próbować ją pokonać, ale również opisał w niej świat zewnętrzny, jemu współczesny: na krawędzi wojny, ogarnięty kryzysem (lat 20. i 30. w USA), wreszcie oddany na pastwę sił tyleż irracjonalnych, co demonicznych (gangsteryzm, nazistowska i komunistyczna ideologia), której przeciwstawić się mógł tylko człowiek mocno stąpający po ziemi, wierzący w ideały, potrafiący oddać życie nie tylko w obronie własnej, ale i w obronie swych przyjaciół i ukochanych.

Dzisiejszy świat na krawędzi przypomina ten świat z lat 20. i 30., a irracjonalne siły, jak islamski fundamentalizm, czy wszelkiego rodzaju ekstremizmy (i z lewej i z prawej strony) żywiące się ludzkimi lękami destabilizują świat. Świat, który niczym barbarzyńska Hyperborea, czy Ameryka (Europa) lat 20. i 30. potrzebuje bohatera(ów) – potrafiącego wziąć odpowiedzialność za los własny i innych. W komiksie Dark Horse wybrzmiewają właśnie takie głosy, „wołanie o bohatera" w świecie chaosu, zła, anarchii, okrucieństwa, świecie (neo)barbarzyństwa. Co warte podkreślenia, Conan z wizji Busieka i jego kolegów, nie jest tępym osiłkiem, z uśmiechem na ustach rozrąbującym kolejnych przeciwników (jak miało to miejsce i u Frazetty, czy też innych autorów komiksowych mierzących się z opowieściami Howarda – a które można poznać dzięki serii wydawniczej Hachette, ukazującej się również w Polsce od kilku miesięcy), lecz postać, która musi zrozumieć istotę swego powołania, nie tylko wiążącą się z chwałą i sławą, ale częściej z odrzuceniem, samotnością, bólem i cierpieniem. Tym samym twórcy Conana z Dark Horse uczłowieczają swego bohatera, idąc rewizjonistycznym tropem amerykańskiego komiksu, który bodajże od „Powrotu Mrocznego Rycerza" Franka Millera (który „uczłowieczył" Batmana) dodaje postaciom ze spiżu głęboko ludzkie rysy. Nie znaczy to oczywiście, że mamy tu do czynienia z przemianą mocarnego barbarzyńcy we wrażliwego intelektualistę. Co to to nie – wciąż jest to świat obcinanych głów, wypruwanych flaków, w których kobiety są niekiedy brutalniejsze od mężczyzn, a mężczyźni częściej przypominają zwierzęta niż ludzi, a w którym to świecie Conan musi przewyższać swych wrogów okrucieństwem, siłą i bezwzględnością. Ale dzięki innemu, bardziej realistycznemu psychologicznie podejściu do legendy amerykańskiej popkultury, mamy w tym przypadku do czynienia ze światem na wskroś realistycznym (gdzie paralele ze współczesnością są wyraźniejsze), nie tylko pod względem odmalowywania rozrąbywanych ciał, ale również funkcjonowania jednostki, wyjątkowej jednostki, w świecie nietolerującym wyjątkowości.

Conan – narodziny legendy,
scenariusz Kurt Busiek, rysunki Cary Nord, Greg Ruth, Thomas Yeates, Tom Mandrake
447 s. ; 27 cm
Warszawa : Egmont Polska, 2018
821.111(73)-91

Czytając ten niezwykle udany reset komiksowych przygód Conana rzuca mi się w oczy jeszcze jedna rzecz. Otóż komiks amerykański (czy szerzej) cała kultura (popkultura) amerykańska stoi na micie, micie bohaterskim, kultywującym ideę wyjątkowości człowieczego bytu, kulcie indywidualizmu. W komiksie (popkulturze) europejskiej komiksy heroiczne są rzadkością, a jeśli już występują to podważają, dekonstruują bohaterski mit (choć przecież tutaj, w starożytnej Grecji herosów, czy też arturiańskich legendach Albionu miał swą genezę). Może dlatego Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, mimo wahnięć w polityce zewnętrznej i wewnętrznej były i wciąż będą samoodradzającym się mocarstwem? Wydaje się, że w naszej części świata zbyt szybko i łatwo odżegnano się od mitu, kojarząc go jedynie z mitami niszczycielskimi (na które powoływały się totalitaryzmy w pierwszej połowie XX wieku). Być może mająca kłopoty ze swą kulturową tożsamością Europa musi przypomnieć sobie o własnych, stanowiących jej fundamenty kulturowe mitach bohaterskich i poszukać swojego europejskiego Conana.

Paweł Chmielewski

Rotunda dla kolekcjonera – cz. II

W ostatnim numerze z ubiegłego roku („Projektor" 6(33)/2018) recenzowałem kilka najciekawszych – moim zdaniem – nowości, które zaprezentowano na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi. Dziś ciąg dalszy. I kilka albumów, które wykraczają – w różny sposób – poza materię czysto komiksową, stając się interesującym komentarzem do wydarzeń z życia autorów – politycznych, historycznych i osobistych.

Utwory te są komiksami, lecz zarazem komiksami nie są. Proponowałbym je czytać jako dzieła literackie, uświadamiające nam, że – obok warstwy obrazowej – komiks stworzony jest przede wszystkim z materii pisarskiej i jako taki powinien być klasyfikowany w obrębie literatury, kolejny – obok liryki, epiki, dramatu i gatunków synkretycznych – jej rodzaj.

Zaczniemy od, parafrazując tytuł pewnego filmu, „perły w perle", czyli pierwszej części monumentalnego cyklu „Berlin" (podtytuł „Miasto kamieni") Jasona Lutesa.

Miasto gwiazdy i swastyki

Kilkanaście lat temu w jednym z telewizyjnych wywiadów Edward Dziewoński, wspominając lata szkolne (maturę zdał w Berlinie), zapytany o wydarzenie artystyczne, które wywarło na niego największy wpływ, przywołał niemiecki kabaret okresu republiki weimarskiej. Drapieżny, inteligentny – wspaniale zobrazowany w musicalu Bobba Fosse'a (opartym m.in. na „Berlińskich opowieściach" Christophera Isherwooda) – komentujący rzeczywistość ulicy, może nie w sposób tak dosadny, jak epickie dramaty Bertolda Brechta, lecz doskonale oddający nerwowy rytm życia stolicy Niemiec na chwilę przed dojściem nazistów do władzy. Lektura powieści graficznej Lutesa prowokuje zresztą czytelnika do wielu innych skojarzeń literacko-filmowych. Począwszy od „Mefista" Klausa Manna (symbolicznej biografii artysty ulegającego „heglowskiemu ukąszeniu" – inspirowanej życiorysem Gustafa Gründgensa, przeniesionej na ekran przez Istvána Sabó), przez „Błękitnego anioła" Josefa von Sternberga (historii pozornie tylko odartej z kontekstu politycznego na rzecz studium tragicznej miłości, samotności i uwiedzenia konserwatywnego, opresyjnego nauczyciela przez demona sztuki w postaci Marleny Dietrich), czy miniserialu „Hitler. Narodziny zła", gdzie postać dyktatora (najlepszą w dziejach kinematografii) odtworzył brytyjski aktor Robert Carlyle. Antagonistą przyszłego kanclerza jest tu historyczna postać lewicowego publicysty Fritza Gerlicha (zamordowanego w Dachau).

Jason Lutes
Berlin. Miasto kamieni
209 s. ; 25 cm
Warszawa : Kultura Gniewu, 2018
821.111(73)-91

Postać dziennikarza, bardzo wyrazistej figury kulturowych obrazów schyłku republiki weimarskiej, konstruuje również cykl Jasona Lutesa. W doskonale poprowadzonej ekspozycji poznajemy parę protagonistów – dziennikarza Kurta Severinga i Marthe Müller. Osią historii będzie ich romans – niczym we wspomnianym już „Kabarecie" Fosse'a – na tle wydarzeń polityczno-społecznych stolicy Niemiec lat 1929-1930.

Niespieszny rytm narracji przenosi dzieło Lutesa w rejony epiki, czyniąc z całej trylogii rodzaj rysunkowej powieści-rzeki.

Amerykański grafik, dyrektor artystyczny tygodnika „The Stranger" i wykładowca rysunku komiksowego w Hartford, zafascynowany możliwościami (tematycznymi i formalnymi) komiksowego medium (zwłaszcza po lekturze „Mausa" Arta Spiegelmana), nad „berlińską trylogią" pracował przez kilkanaście lat, od 1998 r. Wpływ „niemarvelowskiego" sposobu obrazowania jest zresztą bardzo wyraźnie widoczny w kadrach „Berlina. Miasta kamieni" – czarno-biała kreska, dokumentacyjny styl autora, pieczołowicie odtwarzającego realia architektoniczne (vide szeroka panorama „z lotu ptaka" z hotelem Adlon Kempinski, wtedy tylko „Kempinski" w tle), obyczajowe stolicy Niemiec, czynią z powieści graficznej rodzaj kostiumowej panoramy, a (pozornie) niespieszny rytm narracji przenosi dzieło Lutesa w rejony epiki, czyniąc z całej trylogii rodzaj rysunkowej powieści-rzeki, gatunku, który swoje apogeum osiągnął na początku ubiegłego stulecia.

Konstrukcyjne chwyty (jak opowieść w opowieści) zapośredniczona dzięki pamiętnikowi Marthy z miasta, gdzie zapach *cygar i kiełbasy, lawendy i róż* stoi obok *gorzkiej woni zaniedbania*, nadają historii cechy czysto literackie. Krótkie, również retrospektywne sceny z 1918 r. (czerwona rewolucja w Berlinie stłumiona przez wojsko), wnętrza zadymionych kawiarni, dyskusje artystyczne, blichtr salonów, wiece robotników, marsze SA – to wszystko doskonale odtwarza atmosferę schyłku, dekadencja miesza się z antysemityzmem. Lutes często szatkuje pojedyncze epizody – chwyt typowy dla serialowej konwencji (kłania się „Berlin Alexanderplatz" Alfreda Döblina), co paradoksalnie, nie wyklucza epickiego rozmachu historii. Gdy już jesteśmy przy terminologii krytycznoliterackiej, warto zwrócić uwagę, że dzieło amerykańskiego rysownika realizuje trzy podstawowe wyznaczniki powieści walterscottowskiej, czyli – de facto – jest graficznym eposem. „Berlin...", część pierwsza – tu jeszcze symbolicznie gwiazda walczy ze swastyką.

Obrazki z dorastania

W chwili, gdy piszę tę niewielką recenzję albumu Anny Krztoń „Weź się w garść" Wydawnictwo Komiksowe

przestaje istnieć. Oficyna, która polskiemu czytelnikowi przybliżyła bardzo dobrą frankofońską serię „Azymut", „Kota rabina" Sfara, amerykańską awangardę z „Mausem" Spiegelmana i „Miejscami" Wooda i Kelly'ego na czele, ambitne polskie albumy (m.in. „Tam, gdzie rosły mirabelki", „Ta małpa poszła do nieba") – wymienię tylko niektóre z opisywanych na łamach „Projektora" – zakończy swoją działalność książką Adama Ruska z Asterixem w tytule.

Komiks absolwentki (rocznik 1988) ASP w Katowicach mieści się gatunkowo w nurcie Bildungsroman (powieści edukacyjnej, o dorastaniu), ukształtowanej jeszcze w oświeceniu – potem przechodzącej, przede wszystkim treściową, ewolucję na gruncie francuskim – formę literacką o etycznym i kulturowym dojrzewaniu, z bardzo mocno zakreślonym wątkiem psychologicznym.

Debiutancki komiks powstawał

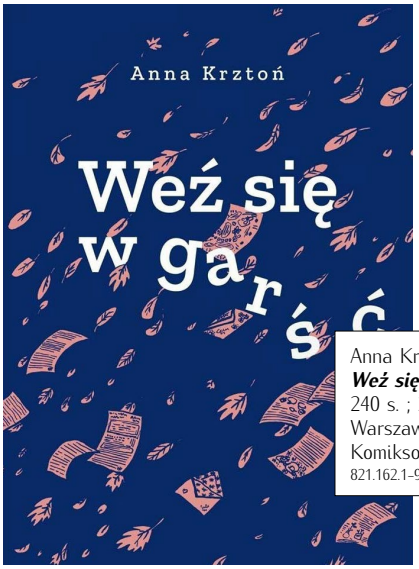

Anna Krztoń
Weź się w garść
240 s. ; 24 cm
Warszawa : Wydawnictwo Komiksowe, 2018
821.162.1-93-91

trzy lata, dzięki stypendium konkursowemu ufundowanemu przez Gildię.pl. Kilkusetstronicowa historia, stworzona w czerni i bieli, pod dość wyraźnym wpływem mangowej kreski (umiejętnie zaadaptowanej i przefiltrowanej przez autorkę) ma charakter autobiograficzny, zgodnie z regułami gatunku, do którego się odwołuje. W dołączonej nocie – istotnej dla czytelnika – znajduje się rejestr dzieł filmowych („Hair", „Charlie i fabryka czekolady"), muzycznych (The Cure, Strachy na Lachy), literackich (Sapkowski i Verlaine), które stanowią katalog inspiracji pokolenia trzydziestolatków, ale zarazem rodzaj klucza do zrozumienia – przede wszystkim stanów emocjonalnych – bohaterki. Nie to jednak stanowi walor najistotniejszy komiksu Anny Krztoń.

Skojarzenia – dość naturalne – z „Marzi" Marzeny Sowy są jak najbardziej na miejscu. O ile jednak tam dominował żywioł socjologiczno-luddyczny i swoista nostalgia (w końcu prezentująca dorastanie młodszej bohaterki w oparach PRL-owskiego absurdu), tu na plan pierwszy wysuwa się element kreacji psychologicznej i co najważniejsze – stworzonej z perspektywy kobiecej. Życiowe, czasem rozmamłane opowieści o dojrzewaniu i dylematach osobistych, fanfaronadach uczuciowych, towarzyskich, są raczej – i nie dotyczy to wyłącznie komiksu – domeną literatury tworzonej przez mężczyzn. Historia trzech przyjaciółek – Igi, Asi i Ani – przenosi nas w rejony dość odmienne. Nawet napisałbym, że rejony o charakterze edukacyjnym. Dla rówieśników bohaterek (a być może również ich rodziców) może to być swego rodzaju przewodnik po meandrach kobiecej natury.

Jest jeszcze jeden bohater – nie wiem, czy nie najważniejszy – komiksu Anny Krztoń. Bohater nieprzybierający formy materialnej, lecz wciąż obecny na kartach „Weź się w garść" – depresja. Dość często ignorowana, jeśli obecna w polskim komiksie to pod postacią surrealistycznego dowcipu, lub figury fantastycznej. U Krztoń jest namacalna i przede wszystkim nie jest bagatelizowana. Dorastanie, wspólne imprezy, miłość, artystyczne fascynacje – prezentowane często w dominującym na kartach komiksu stylu autoretrospekcji – istotny, powracający motyw „zaniechania", „wygaśnięcia" przyjaźni (syndrom naszych czasów), nie pozwalają jednak zapomnieć o tytułowym zaklęciu „weź...".

Prawie wszystko o mojej matce

Skromny zeszyt „Dzieniewicze", opublikowany ze środków własnych, w nakładzie 300 egzemplarzy przez rysownika z Białej Podlaskiej Mieczysława Skalimowskiego. Wiem, z relacji znajomych, że pomysł albumu dojrzewał w duszy (to dość – pozornie – górnolotne określenie jest w odniesieniu do komiksu Skalimowskiego w pełni uprawnione) przez wiele lat. Tytułowe Dzieniewicze to mała wieś (przed wojną w granicach

Mieczysław Skalimowski
Dzieniewicze
297 s. ; 40 cm
Biała Podlaska : nakładem własnym, 2018
821.162.1-91

II Rzeczpospolitej) nad rzeką Świstocz, dopływem Niemna. Już wiemy skąd otwierający album fragment z eposu Adama Mickiewicza i domyślamy się skąd tak osobisty ton opowieści.

Osią fabularną komiksu są losy Anny Kaczan, matki autora, na tle wydarzeń lat 1939-1946. Losy nietypowe, a zarazem typowe dla setek tysięcy mieszkańców terenów wiejskich dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy – wybuch wojny, zajęcie ziem przez Armię Czerwoną, przymusowa kolektywizacja, atak III Rzeszy na ZSRR, okupacja hitlerowska, przyłączenie terenów ponownie do ZSRR, kolektywizacja – czasem wywózka na roboty przymusowe do Niemiec, jak w przypadku Anny. Mieczysław Skalimowski w swojej monochromatycznie rozrysowanej historii rodzinnej uwypukla dwa elementy – rolę religii w kształtowaniu tożsamości polskiej ludności kresowej i tęsknotę za Arkadią, którą dla rodziny Skalimowskich stają się Dzieniewicze.

Podczas lektury komiksu poszukiwałem smaczków językowych – znalazłem m.in. „kierzoniaków" i elementów tragi-humorystycznych. Jest jeden, gdy portret Stalina wpada do zupy, a potem, już wisząc na ścianie „poucza" Jakuba. Dla mięsistości historii mogłoby być ich trochę więcej. Ładunek emocjonalny związany z powstaniem „Dzieniewicz" jest niezaprzeczalny, lecz chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na jeszcze jeden fakt – jako element biografii – komiks (nawet stworzony w trzech, pięciu egzemplarzach) jest ciekawym pomysłem na dokumentowanie (i przekazywanie najbliższym) rodzinnej historii.

Łukasz Lucjusz Dubin

Kryzys czy renesans?

Rozważmy kwestie ówczesnego stanu polskiego muzealnictwa. Czy z jednej strony możemy mówić o jego dogłębnym kryzysie? Pustych, rzadko odwiedzanych i nudnych salach muzeów, które zapełniają się tylko raz do roku podczas akcji Nocy Muzeów. Muzealnictwa borykającego się tak jak wszystko w naszym kraju, z brakiem wystarczających środków finansowych na właściwe funkcjonowanie: na inwestycje w infrastrukturę, powiększanie zbiorów, konserwację, badania naukowe czy organizację interesujących wystaw. Muzeów, które zamknęły się w dziewiętnastowiecznej idei instytucji jako swoistej „świątyni", przeznaczonej dla określonej grupy: ludzi zamożniejszych, lepiej wykształconych, należący do wyższej klasy społecznej niż ogół populacji, co sprawiło, że muzeum zawsze było postrzegane jako coś obcego, odizolowanego od społeczeństwa i dlatego niebędącego nigdy miejscem chętnie odwiedzanym.

Czy z drugiej strony jednakże możemy mówić o renesansie polskiego muzealnictwa, o niewątpliwej transformacji, jaką przeżywają polskie muzea? Na co dowodem jest powstawanie w naszym kraju wielkich nowoczesnych placówek, przypominających w swych koncepcjach światowe wzory, tak jak m.in. Muzeum Powstania Warszawskiego, czy przemian, jakie możemy zaobserwować na przykładzie małych lokalnych, o niewielkim znaczeniu, które coraz śmielej otwierają się na oczekiwania współczesnego widza. Stają się coraz bardziej nowoczesne, zarówno poprzez modernizację swych siedzib, bądź budowę nowych oddziałów, czy przede wszystkim coraz większej obecności w nich, współczesnych nowinek technicznych: komputeryzacji i wizualizacji, służących nowemu sposobowi prezentowania treści.

Demokratyzacja przestrzeni*

Trudno organizować dziś wystawy, szczególnie te historyczne, bez wykorzystania współczesnej techniki, dzięki której możemy „wirtualizować" historię: przedstawiać komputerowe rekonstrukcje przedmiotów, budynków czy opowiadać o historii poprzez jej wizualizacje, na co niewątpliwym przykładem są Podziemia Krakowskiego Rynku, muzeum opowiadającym o historycznych początkach miasta Krakowa.

Kolejno wiele polskich muzeów, postanawia także zaistnieć w przestrzeni cyfrowej, tworząc wirtualne spacery po swoich siedzibach, salach wystawowych, dzięki którym zwiedzający nie musi już wychodzić z domu, teraz zasiadając przed ekranem komputera, spogląda na relikty przeszłości i czyta bądź słucha o ich pochodzeniu i znaczeniu. (por. D. Folga-Januszewska, Muzeum: definicja i pojęcie. Czym jest muzeum dzisiaj, [w:] „Muzealnictwo", nr 49.

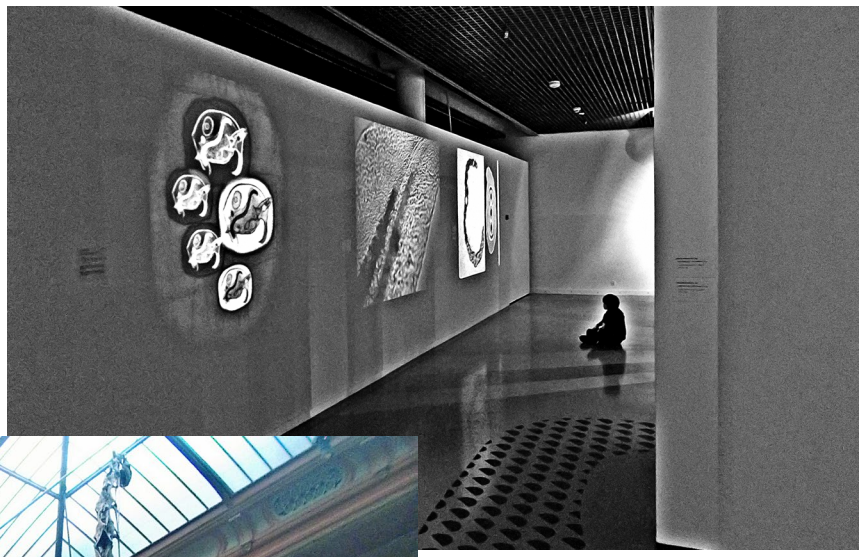

Rozwiązania nowoczesne – Muzeum Sztuki ms² w Łodzi. Fot. Paweł Chmielewski

Rozwiązania tradycyjne – Muzeum Historii Naturalnej w Berlinie przy Uniwersytecie Humboldta. Fot. Paweł Chmielewski

Autorka w swym artykule stara się zdefiniowanić termin „muzeum wirtualne", oraz próbuje wyjaśnić jego rolę i znaczenie w ówczesnym muzealnictwie).

Taki stan rzeczy sprawia, że polskie muzea nie tylko stają się bardziej demokratyczne, otwarte na rzesze nowych, nie tylko młodych, widzów, ale w głównej mierze zostają jakoby towarem konsumenckim, dzięki chęci przyciągania do siebie zwiedzających zarówno poprzez kuszenie ich nowinkami technicznymi, promocji jako marka, logo we współczesnej popkulturze. Jednakże czy taki stan rzeczy nie jest już sam w sobie oznaką kryzysu muzealnictwa? Niewątpliwie komercjalizacja sprawia, że muzea tracą swój instytucjonalny prestiż,

Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Lena Kolasa

swój niebywały urok, który polega na ich wyjątkowości, tego, że za każdym razem mogą być odkrywane na nowo, są miejscami stworzonymi w przestrzeni społecznej, gdzie istnieje możliwość spokojnego, niezakłóconego codziennością, kontemplowania dzieł sztuki.

Ci przeklęci widzowie?

Na istotę zapaści muzeów, zwraca uwagę w swojej książce „Kryzys muzeów" Jean Clair, twórca paryskiego Muzeum Picassa, kurator wielkich, głośnych wystaw. Dyskurs Claira, poświęcony jest przede wszystkim tak bardzo popularnym dzisiaj sloganom jak „kultura uniwersalna" czy „muzeum agory", głoszących „uniwersalne" wartości kulturowe. W czym autor doszukuje się największej przyczyny kryzysu muzeów, znajdującego się jego zdaniem w ich komercyjnej demokratyzacji. Jednak z drugiej strony takim samym problemem, jeśli nie poważniejszym, jest społeczna izolacja instytucji muzealnych, na którą, swoim stosunkiem do publiczności, niekiedy same się skazują. Nierzadko bowiem muzea, publiczność traktują jako zło konieczne.

Francuski muzealnik tak oto ją przedstawia: *niekończąca się kolejka, a potem tłum, zamęt i tumult. Zamiast raju – piekielny hałas i za chwilę szum w uszach, jak w poczekalni lub pomieszczeniu za szybą basenu. Do tego kolejna tortura, czyli bliskość innych: stłoczona ludzka zbieranina, ciepełko potu, nie sposób stanąć, by nie widzieć przed sobą karku ani ramion nieumiejącego się zachować gapia, by nie słyszeć bzdur wygłaszanych na temat pulchnego marmurowego pośladka, by nie być oślepionym błyskiem flesza, by nie dać się wciągnąć mimo woli w raz szybszy, raz powolniejszy nurt zwiedzających.* Paradoksalnie zatem, bycie przez muzeum komercyjnie rozpoznawalną marką, godzi w jego podstawowe znaczenie jako instytucji, choć otwartej dla każdego, to jednak przeznaczonej dla człowieka z zarówno pewną kulturą osobistą, jak i przygotowaniem merytorycznym do odbioru sztuki. Możemy stwierdzić, że rozpoznawalność wielkich muzeów, które wyrobiły przez lata markę, zdobyły światową renomę, jest ich głównym problemem, oznaką kryzysu, w których nadrzędnym celem jest bycie „cool" i dostarczanie „fun". Dziś bowiem te muzea przepełniają tłumy zwiedzających turystów, gapiów, dla których nie zawsze to, co jest prezentowane ma jakieś znaczenie. W takich okolicznościach eksponaty tracą swoją pierwotną moc, stają się tylko wypełnieniem ekscentrycznych muzealnych budowli, gdzie najważniejszym kryterium jest frekwencja.

Wyciągnąć historię z kart nudnych podręczników.

Rodzi się zatem pytanie, w jaki sposób „Kryzys muzeów", odwołujący się do sytuacji panującej w wielkich światowych placówkach, może być odczytywany w Polsce. Bez wątpienia nasze muzea, jak wiadomo, borykają się głównie z brakiem pieniędzy, wiele z nich po cichu marzy o zmianie ustawy pozwalającej na pozbycie się magazynowych kolekcji, co dałoby trochę miejsca i trochę przydatnych funduszy na lepszą działalność. Ale czy, aby na pewno każde polskie muzeum cierpi z powodu braku środków na utrzymanie i rozwój instytucji? Czy nie ma u nas wyjątków, które umiejętnie potrafią zadbać o wystarczające fundusze? Pozostawmy na razie te pytania bez odpowiedzi, a zwróćmy uwagę na właściwe wnioski Claira, o spłycaniu wartości wielkich muzeów i stawaniu się przez nie komercyjnie rozpoznawalną marką, co godzi w ich

rolę oraz znaczenie sztuki w ogóle. Czy w Polsce nie posiadamy światowo rozpoznawalnych muzealnych, konsumenckich marek, będących częstym punktem turystycznych wycieczek, nie zawsze chcianych gości? Czy jest to jedynie, jak uważa w swym eseju *„Kryzys w muzeum"* Marcin Szeląg (ww.edukacjamuzealna.pl): *przestroga przed tym, aby widmo komercjalizacji, z którą wiąże się otwarcie na publiczność, nie dotknęło również polskich muzeów*? Niewątpliwie jak stwierdza na przykładzie panelu dyskusyjnego „Muzeum – przestrzeń otwarta?" zorganizowanego w ramach Kongresu Kultury Polskiej, który odbył się we wrześniu 2009 roku w Krakowie, w Polsce ciągle bronimy ukształtowanego i popularnego w XIX w. modelu muzeum jako świątyni sztuki, a wszystkie jego zmiany, unowocześnianie, traktowane są przez praktykę współczesnych muzeów jako symptomy kryzysu. W świetle takich przekonań książka francuskiego muzealnika jest czymś, co niby nas nie dotyczy, jest alibi dla środowiska. Lecz przecież takie rozumowanie nie jest trafne i chociaż zjawiska prezentowane przez Claira, nie występują u nas w tak wielkim rozmiarze, to jednakże nie są nam całkowicie obce. Bowiem nie trudno znaleźć przykłady polskich muzeów, które są „rozchwytywane", jak m.in. Wawel, Kopalnia Soli w Wieliczce, Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w krakowskich Sukiennicach, Muzeum Narodowe w Warszawie czy Muzeum Powstania Warszawskiego.

Pod skrzydłami Liberatora B-24J

Większość z wymienionych muzeów na swą światową renomę i rozpoznawalność pracowało przez wiele lat. Jednakże wspomniałem tu także o Muzeum Powstania Warszawskiego, które mimo tego, że jest muzeum nowym, otwartym na „na rozkaz" w 2004 r. przez ówczesnego prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, w 60. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, to cieszy się ono bardzo wielką, niesłabnącą popularnością. Tu warto zadać sobie pytanie, skąd wynika ta niewątpliwa komercjalizacja owej muzealnej placówki, czy to, aby na pewno dzięki temu, że jest dzisiaj jednym z najbardziej nowoczesnych muzeów w Polsce?

Bez wątpienia jest to jedyne takie, niepowtarzalne muzeum na świecie, bowiem poświęcone historii tysięcy ludzi i naszego kraju dążącego do wolności spod rąk okupantów w czasie II wojny światowej, które wzorowane jest na najważniejszych światowych muzeach historycznych: Holocaust Memorial w Waszyngtonie, Terror Háza w Budapeszcie, czy londyńskim Imperial War Museum, ma w swej koncepcji tak jak one *dzięki nowoczesnym środkom przekazu przedstawić w prosty, acz sugestywny sposób atmosferę epoki i odwołując się do historii, tłumaczyć tożsamość narodową reprezentantom różnych pokoleń.* (I. Kraj, Wielkie Muzea, Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa 2007). Jednakże jak mówi dyrektor muzeum Jan Ołdakowski, samo wykorzystanie nowoczesnych form przekazu w placówce nie sprawi, że spełni ono swą zamierzoną przez twórców rolę: *Nie chodzi o to by Muzeum było po prostu nowoczesne. Można wydać miliony na wielkie monitory, komputery, multimedia, a i tak efekt może być marny, jeśli technika nie zostanie podporządkowana koncepcji ekspozycji.* (jw.) W warszawskiej placówce owa muzealna koncepcja jest ułożona według snutej opowieści – prowadzącej widza od momentu wybuchu II wojny światowej do upadku Powstania i chwil spędzonych przez warszawiaków w jenieckich obozach. Opowieści, która pozwala poczuć na własnej skórze dramat tamtych wydarzeń, bowiem podczas niej możemy dotykać eksponatów: wziąć do ręki karabin maszynowy, na ręcznej prasie drukarskiej odbić numer „Biuletynu Informacyjnego", przejść przez replikę kanałów czy spojrzeć na współczesną Warszawę z wieży widokowej.

Bez wątpienia układ ekspozycji, w której zamiast tradycyjnych gablot z eksponatami ujrzymy m.in. barykadę stworzoną z płyt chodnikowych, replikę w skali 1:1 najsłynniejszego samolotu transportującego pomoc dla walczącej Warszawy – Liberatora B-24J, czy jedną z prycz z obozu jenieckiego, do którego trafili powstańcy po jego upadku, działa na emocje każdego ze zwiedzających, ponieważ to muzeum opowiada przede wszystkim o konkretnych ludziach, ich miłościach, rozterkach, strachu, bólu, śmierci, o tych, którzy stawiają czoło niewyobrażalnie silnemu przeciwnikowi, by bronić godności i wolności zarówno własnej, jak i uciemiężonego kraju, a przy tym stworzyć obraz przeszłości, odtworzony dla tych, którym owa historia jest zarówno bliska, jak i całkiem obca.

Co prawda są to znaczące atuty owej instytucji, które już same w sobie potrafią zachęcić do odwiedzenia tejże placówki. Jednakże jej komercjalizacja, nie tkwi tylko w jej organizacyjnych zaletach, lecz również w działalności, w jaką się włącza, bo: *„to muzeum to nie tylko ekspozycja to także szeroka działalność kulturalna, edukacyjna, wydawnicza. Spragnieni bliższej, źródłowej wiedzy skorzystać mogą z czytelni. Oddziałem Muzeum jest Instytut Stefana Starzyńskiego, organizujący debaty, konferencje i spotkania na temat dziejów i rozwoju Warszawy. Muzeum wciąż zaskakuje i przyciągną sympatyków kolejnymi projektami.* (jw.)

Nie tylko eksponaty

Niewątpliwa jest rola Muzeum Powstania Warszawskiego w promowaniu, przywoływaniu wydarzeń, poprzez jego działalność kulturalną i wydawniczą, w poezji i prozie, filmie, sztuce, komiksie, czy modzie, lecz także w publikacjach naukowych poświęconych historii Powstania Warszawskiego i jego uczestników. Możemy tu mnożyć przykłady jak m.in. projekt „Gajcy", Aga Zaryan – „Umiera piękno", publikacja Andrzeja Kunerta „Warsaw Concerto. Powstanie Warszawskie w Poezji",

Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Lena Kolasa

Muzeum Powstania Warszawskiego. Fot. Lena Kolasa

będącej ówcześnie najpełniejszym wyborem wierszy o Powstaniu, pisanych podczas Powstania i tuż po nim, serii wydawniczej skierowana do najmłodszych – „Muzeum Powstania Warszawskiego dla dzieci" czy „Miasto Ruin" pięciominutowej animacji w technologii 3D, będącej rekonstrukcją lotu bombowca B-24 Liberator nad ruinami zniszczonej przez Niemców Warszawy. Jak również w Muzeum Powstania Warszawskiego, na wzór zachodnich instytucji została ulokowana kawiarnia, oraz sklepik przepełniony gadżetami z logiem muzeum – *uproszczoną wersją znaku Polski Walczącej, które powodują wzrost odwiedzin tejże placówki.* („Nowoczesne muzea – między kulturą a Disneylandem", [w:] www.polskieradio.pl).

Co sprawia, że Muzeum Powstania Warszawskiego jest jednym z nielicznych przykładów, na to, że istnieją u nas instytucje, które potrafią zadbać o fundusze na swą działalność oraz rozwój. A zarazem rodzi pytanie o słuszność takich przedsięwzięć, bo co prawda, mają na celu w głównej mierze przywrócić i uczyć nas Polaków, świadomości własnej historii a przez to wspólnej tożsamości narodowej, jak i również zachęcić ludzi – szczególnie młodych – zarówno do poznania historii Powstania, jak i chyba przede wszystkim odwiedzenia Muzeum Powstania Warszawskiego. Z drugiej strony jednak krytycy uznają takie działania za rzecz umniejszającą historyczne znaczenie Powstania, które zostaje strywializowane poprzez współczesną popkulturę. Dlatego nie milknie dyskusja na temat tzw. „mody na Powstanie", mody w sensie zarówno obecności motywów związanych z Powstaniem Warszawskim w kulturze popularnej, jak i mody na Muzeum, które poprzez komercjalizację zjawiska, przyciąga rzesze zwiedzających. Ale czy aby na pewno, takie działania Muzeum Powstania Warszawskiego, tylko umniejszają rangę tak ważnego w naszej historii wydarzenia? Ja osobiście uważam, że nie, bowiem Muzeum Powstania Warszawskiego wie, że aby zachęcić ludzi młodych do poznawania historii, trzeba wyciągnąć ją z kart nudnych podręczników, pokazać wykorzystując język współczesnej kultury: komiks, muzykę i film. Moim zdaniem to, co dzieje się wokół tematu Powstania, to nie moda, choć w pewnym aspekcie takie stwierdzenie jest prawdziwe, bowiem żywo zaangażowane w jego propagowanie Muzeum Powstania Warszawskiego, co roku stara się wyjść z inicjatywą do młodych artystów, by ci zaangażowali się, zarówno biorąc udział w konkursach przez nie organizowane: na plakat, komiks, bajkę bądź gadżet mu poświęcony, lub zapraszając ich do udziału w wymyślonym przez muzeum projekcie muzycznym.

Opłacalny, znaczy zły?

MPW jest instytucją, jak na nasze możliwości bardzo dobrą, której nie możemy interpretować jako znamion kryzysu muzealnictwa, lecz jako odpowiedź na głos czasów, transformacji, jaka musi dokonać się w naszym muzealnictwie, bowiem przemiany są nieuniknione. Jeśli wzrasta liczba odwiedzających, nie możemy mówić o kryzysie w polskim muzealnictwie, lecz o czasie ich renesansu, odrodzenia na nowo we współczesnym, stechnicyzowanym świecie. Muzeum Powstania Warszawskiego jest wzorem dla innych placówek w Polsce, do którego powinny równać nasze muzea, aby stać się prawdziwie nowoczesnymi instytucjami muzealnymi na światowym poziomie.

Warto także zauważyć, że ta nieunikniona społeczna transformacja muzealnych siedzib, przede wszystkim nie sprawi, że muzea utracą swą podstawową społeczną i kulturową rolę, bowiem jak zauważa w swym eseju Marek Krajewski, wszystkie społeczne przemiany, które mają miejsce w muzealnych siedzibach, są tylko pozorne: *...niewiele zmieniają w samej idei muzeum, nie transformują znacząco jego kulturowej roli i jego relacji wobec społecznego porządku. (...) ...nie dotykają one logiki funkcjonowania muzeum jako instytucji. Zgodnie z tą logiką muzeum jest powołane, by przechowywać, chronić i przenosić w czasie to, co społecznie szczególnie doniosłe, i co stanowi o pewnej zbiorowości jako kulturowej wspólnoty*". (M. Krajewski, Od muzeum publicznego do muzeum publiczności, [w:] Muzeum jako świetlany przedmiot pożądania, praca zbiorowa pod red. J. Lubiak, Łódź 2007). Jeśli zatem usilnie chcemy doszukiwać się kryzysu w polskim muzealnictwie, to bynajmniej nie powinniśmy brać pod uwagę niedostatku pieniędzy na odpowiednie funkcjonowanie instytucji muzealnych. Ponieważ jak zauważyłem, współczesne, nowoczesne muzea potrafią zadbać o swój budżet. Niestety jak pokazuje to Muzeum Powstania Warszawskiego, dopiero uczymy się tworzyć opłacalne muzea. Kryzysu także nie powinniśmy postrzegać poprzez pryzmat grożącej nam komercjalizacji, bowiem jak już stwierdziłem komercjalizacja muzealnictwa, wcale nie musi być czymś złym, ani niepożądanym, bo czy jest coś w tym złego, że muzea potrafią sobą zainteresować, a tym samym zwracają uwagę na ważne treści społeczne i kulturowe? To coraz śmielsze otwieranie się polskich muzeów na publiczność może przecież za sobą nieść istotne korzyści dla społeczeństwa, bowiem mimo wszystko współczesne muzea zawsze będą posiadały swą wyjątkową pozycję.

Niewątpliwie nasze muzealnictwo jest dopiero na początku drogi i to nie tylko ze względu na wymogi współczesności. Zmiany przecież z zasady są nieuniknione, zmiany nie tylko w sensie obecności nowoczesnej technologii, ale zmiany mentalności. Choć nie każde nasze muzeum musi ślepo naśladować światowe wzory i usilnie się zmieniać, bowiem urok wielu z nich tkwi właśnie w tym, jakie są z założenia – tradycyjne, bez współczesnych nowinek technicznych. Płynie z tego jeden wniosek – muzea nigdy nie będą nudne.

* śródtytuły pochodzą od redakcji

Małgorzata Angielska

O tajemnicach i przemilczeniach

Kolejna anglojęzyczna książka z dreszczykiem emocji, w której wszystko jest od razu pokazane czytelnikowi – „Wszystko oprócz prawdy" Gillian McAllister.

Gillian McAllister
Wszystko oprócz prawdy
399 s. ; 20 cm
Warszawa : Prószyński Media, 2019
821.111-3

Rachel wiąże się z Jackiem i zachodzi z nim w ciążę. Odkrywa, że tak naprawdę niewiele wie o ojcu swego przyszłego dziecka. Niefrasobliwość bohaterki idzie w parze z jej wewnętrznym rozedrganiem. Widać, że w grę wchodzą miłość, potrzeba stabilizacji i przywiązania do Jacka, ale Rachel wciąż jest zbyt wyczulona na gesty, słowa i zachowania partnera, by można mieć pewność, że naprawdę wybrała sercem i jest gotowa zainwestować we wspólną przyszłość. Interesujące zaczyna być to, co i dlaczego skrywa przed nią partner.

McAllister obrazuje kobietę zdeterminowaną w działaniach, by poznać prawdę, która może ją przerazić. Dlatego to książka nie tyle o budowaniu czegoś nowego i o niepewności wynikającej z dziwnych zachowań partnerskich, ile przede wszystkim opowieść o tym, że z pozornie zamkniętymi rozdziałami przeszłości trzeba się jednak zmierzyć, by określić, nazwać i pożegnać niesioną w tajemnicy traumę. Bo nie tylko Jack skrywa coś, o czym chciałby zapomnieć. Rachel również popełniła błąd. Oboje zrobili coś, co rzutuje na całe ich dalsze życie, ale oboje również starają się za wszelką cenę odrzucić to, co uwiera. Czy będzie to możliwe?

Autorka zdaje się także pytać – i tego wyjątkowo nie uwypukla, ani nie sugeruje – czy wiążąca się z nami osoba musi koniecznie znać naszą przeszłość i wiedzieć, kim byliśmy wcześniej, w relacjach z innymi i pośród wydarzeń niemających przecież żadnego wpływu na nowy związek. Czy partnerzy muszą dokładnie prześwietlić swoją przeszłość? Czy to, kto kim był, ma zasadniczy wpływ na to, kim będzie w nowej relacji? Czyta się „Wszystko oprócz prawdy" z narastającym poczuciem, że w portretowany związek wtłoczono pewną emocjonalną przemoc, ale także kilka rodzajów szantażu. Dlatego to interesująca powieść, bo choć stara się za wszelką cenę wyjaśnić wszystko, co opisane, pozostawia jednak pewien niepokojący margines rozmyślań o tym, kogo wybieramy na życiowego współtowarzysza i czy patrzymy z nim tylko we wspólną przyszłość.

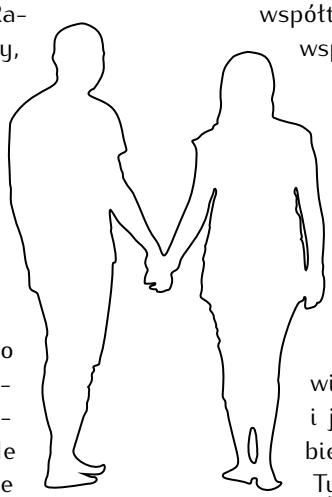

Podoba mi się trójdzielna, choć dość dydaktyczna kompozycja tej książki. Autorka umiejętnie stopniuje napięcie, odsłaniając coraz więcej mrocznych faktów, wobec których poszukująca prawdy staje w coraz większej bezbronności i narastającym przerażeniu. To, co odkrywa Rachel, obrazuje także specyficzne cechy jej osobowości. Kiedy w retrospekcjach pojawia się sytuacja sugerująca, kim kobieta jest i jak działa, w czytelny sposób można sobie dopowiedzieć, co dalej będzie się działo. Tymczasem sama narratorka wraca do tego ważnego fragmentu, przypomina go i nazywa wprost to, kim jest. Niepotrzebne, a w zasadzie irytujące. Co jest w tej książce jednak ważnego? Świetnie portretuje niepewność i podskórne napięcie towarzyszące odkrywaniu tego, że osoba śpiąca obok w łóżku staje się coraz bardziej obca. I przerażająca.

Świetnie sportretowana niepewność i podskórne napięcie towarzyszące odkrywaniu tego, że osoba śpiąca obok w łóżku staje się coraz bardziej obca.

Agata Orłowska

Miau, miau, miau!

XIX-wieczna publikacja „Koty. Historia, zwyczaje, obserwacje, anegdoty" to prawdziwa gratka dla tzw. kociarza czy kotoluba, ale i bibliofila. Pod koniec zeszłego roku, za sprawą Krystyny Belaid i Wydawnictwa słowo/obraz terytoria, doczekała się wreszcie polskiego przekładu. Jej autor, francuski krytyk i pisarz, Jules François Félix Husson, znany pod pseudonimem Champfleury, z erudycją i zamiłowaniem oddał w niej cześć swoim mruczącym ulubieńcom, dostarczając czytelnikom świeżej rozrywki po półtora wieku.

Champfleury
Koty. Historia, zwyczaje, obserwacje, anegdoty
273 s. ; 18 cm
Gdańsk : Słowo/obraz terytoria, 2018
636.8.7.04

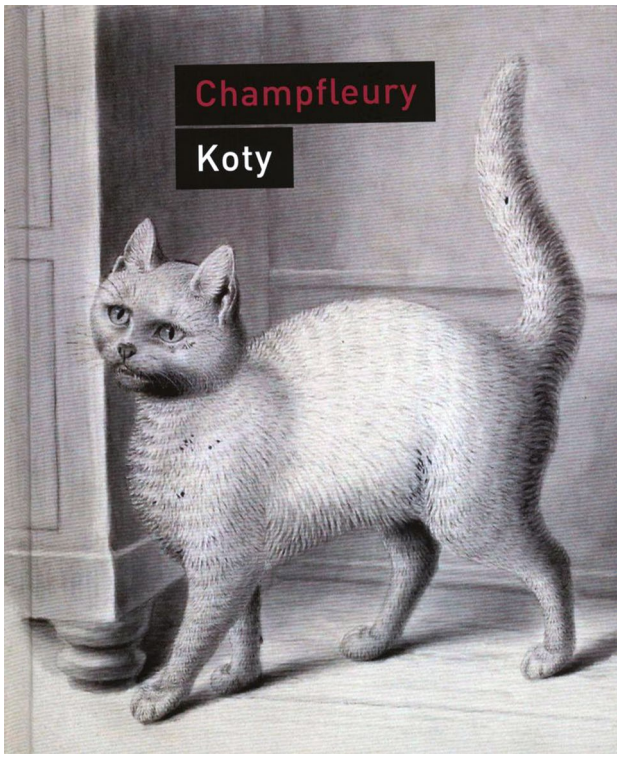

Choć opis z tyłu książki sugeruje pewną ambiwalencję w ujęciu tematu („Niech żyją koty!", „Precz z kotami!"), szybko orientujemy się, że mamy do czynienia z zamierzoną próbą nobilitacji kociego gatunku. Ma ona charakter luźnej monografii, ukazującej zagadnienie kota na tle kulturowym i obyczajowym od starożytności po czasy współczesne autorowi. Champfleury przedstawia obraz wąsatego bohatera nie tylko na podstawie własnych przemyśleń, obserwacji i doświadczeń, ale przede wszystkim dzięki bogatej dokumentacji źródłowej i kompilacji ujęć rozmaitych badaczy i artystów – przyrodników (Darwin), filozofów, malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy i poetów różnych okresów, w tym szczególnie wrażliwych na punkcie kotów swoich przyjaciół – Édouarda Maneta, Eugène'a Delacroix czy Victora Hugo. Robi to w sposób zabawny i błyskotliwy *Bóg stworzył kota po to, by człowiek mógł głaskać tygrysa.*

Już we wstępie utworu dowiadujemy się od autora, że zamiast metafizyki, będziemy trzymać się zasad realizmu opartych na faktach. Nie do końca jest to prawdą – trudno bowiem o bezstronność jego sądów, kunsztu dokumentacyjnego nie sposób mu jednak odmówić. „Koty" to oprócz warstwy tekstowej także szeroki zbiór rycin, obrazów i faksymiliów, znacznie podnoszący rangę publikacji.

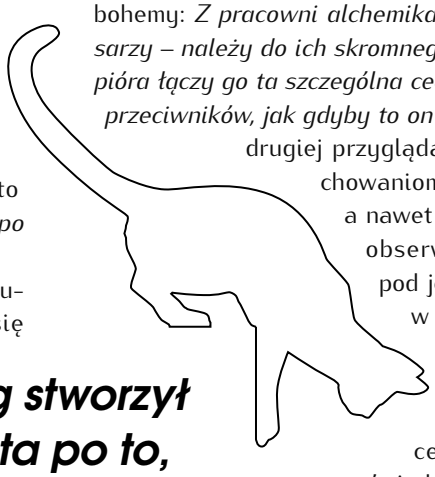

Bóg stworzył kota po to, by człowiek mógł głaskać tygrysa.

Czego właściwie możemy się spodziewać? Utwór, składający się z mini rozdziałów, podzielony jest na trzy części, które poprzedza przedmowa, a kończy apendyks oraz posłowie Tomasza Stróżyńskiego. Na wstępie czytamy o historii kota jako gatunku koegzystującego z człowiekiem, jego roli w kulturze i sztuce, a także miejscu w codziennym życiu. Sięgamy pamięcią do łaskawości starożytnego Egiptu, obojętności Grecji i Rzymu, a także brutalnego średniowiecza (ceremonialne wrzucanie kotów do ogniska, granie na tzw. kocich organach). Dowiadujemy się o przyjaciołach, ale i wrogach kotów wśród XIX-wiecznej francuskiej bohemy: *Z pracowni alchemika kot przeniósł się do pisarzy – należy do ich skromnego mieszkania, a z ludźmi pióra łączy go ta szczególna cecha, że ma bez mała tylu przeciwników, jak gdyby to on sam, kot, pisał.* W części drugiej przyglądamy się nieco kocim zachowaniom, zmysłom i potrzebom, a nawet językowi. Na koniec zaś obserwujemy życie z kotem pod jednym dachem, sięgamy w głąb kociej natury, pochylamy się nad wzruszającymi związkami rodzinnymi czy procedurą leczenia. I choć mamy świadomość, że niektóre z tych treści uległy przedawnieniu, towarzyszy nam też pewność, że koci czar – jak sam kot – pozostał niewzruszony.

Emmanuella Robak

Chwalmy Bladego Króla

Marcin Podlewski w roku 2015 zaskoczył czytelników swoim fenomenalnym uniwersum „Głębi". Stworzony przez autora świat od razu rzucił na kolana fanów gatunku space opery albo po prostu miłośników science-fiction. I to takiego bardziej science, bo jednak ilość sprzętu, maszyn, danych jest tutaj uderzająca.

Historie dziejące się w kosmosie nie są niczym nowym w literaturze fantastycznej, a mimo to Podlewskiemu udało się stworzyć opowieść różną od tego, co do tej pory mogliśmy poznać. Autor kolejno dostarczał nam następnych tomów powieści, by ukazać ten świat w różnych perspektywach – „Skokowiec" (2015), „Powrót" (2016), „Napór" (2017), aż nastąpił w roku 2018... „Bezkres".

Świat przedstawiony w „Głębi" jest fenomenalny. Całe uniwersum jest niezwykle rozbudowane, obszerne, a mnogość postaci, wątków i pozornie niezależnych historii, może w pierwszej kolejności przyprawić o zawrót głowy. Wszystko jest jednak świetnie przemyślane, każdy wątek ma swoje rozwiązanie, każdy bohater – swoją rolę do odegrania. I co jest niezwykle ważne – jest tu wielu wyrazistych postaci, którym kibicujemy, których lubimy, albo które nas irytują, a mamy do czynienia z katalogiem naprawdę różnych bytów – ludzkich, mechanicznych, komputerowych.

Z wątku na wątek, z historii w historię.

Świat bohaterów poznajemy w pierwszym tomie, a losy śledzimy przez kolejne cztery. I oto finał tej historii – wyczekiwany, wytęskniony. Jeszcze raz wsiadamy na statek, jeszcze raz spotykamy Myrtona Grunawalda, Erin Hakl, Huba Tansky'ego, Kirke Bloom, Gama, Głoda czy Piecky'ego Tipa. I lecimy.

Niestety mam wrażenie, że ostatni tom zawiera zbyt wiele szczegółów, za mało w nim akcji, za dużo informacji. Pochłania, ale nie zachwyca. „Bezkres" podzielony jest na trzy części: „Grim", „Lód", „Potęga". Dwie pierwsze są takim preludium do finału, a ten zaczynamy już faktycznie śledzić z zapartym tchem od pierwszego rozdziału, ale dopiero części trzeciej. W dwóch pierwszych towarzyszą nam emocje takie jak: niepokój, strach, obawa, ciekawość i trochę zniecierpliwienie. W ostatniej jest już tylko strach i chaos.

Czytelnik – podobnie jak bohaterowie – dokonuje skoków, z wątku na wątek, z historii w historię. Podlewski nie zmienił konwencji pisania. Wciąż prowadzi czytelnika według zasady „po nitce do kłębka", wciąż serwuje nam całą masę zagadnień i motywów, które w pewnym momencie nakładają się na siebie i tworzą logiczna całość. I tak przez dwie części dostajemy zalążki akcji, która właściwie rozpocznie się dopiero na końcu. A szkoda, bo jednak od finału chciałoby się, żeby od razu porywał, przeciągnął po ziemi, wbił w fotel i załatwił na kolejne dni przemyślenia na temat sensu ludzkiego istnienia, niezależnie czy tu na Ziemi, czy w Wypalonej Galaktyce.

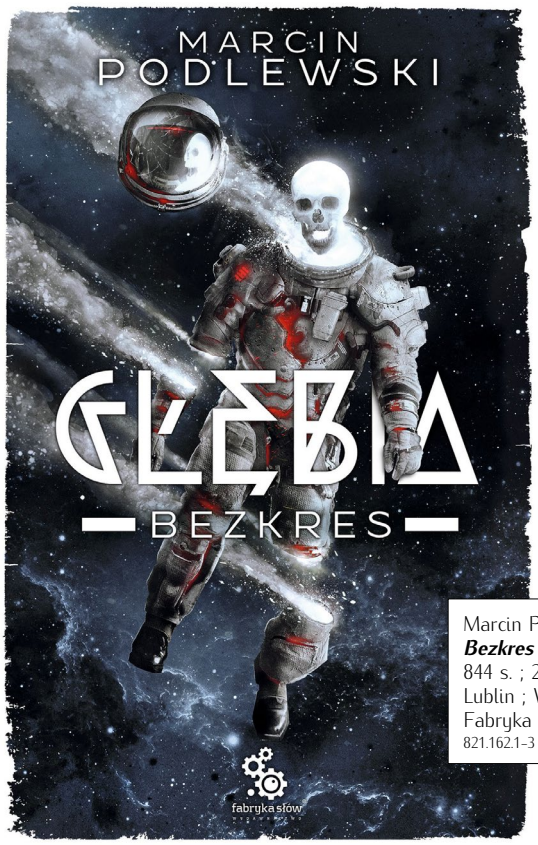

Marcin Podlewski
Bezkres
844 s. ; 20 cm
Lublin ; Warszawa : Fabryka Słów, 2018
821.162.1-3

Tekst uruchamia w czytelniku całą masę skojarzeń. Już sama okładka przypomina mi dzieje braci z trylogii Jerzego Żuławskiego – dokładnie tak mogłabym wyobrażać sobie martwych braci Remogner, podróżujących po księżycowym martwym mieście. Lód kojarzy mi się od razu z Jackiem Dukajem, a Zimni, Zmarli i Blady Król odsyłają mnie do kalendarza, w którym na czerwono zaznaczona jest data ostatniej serii „Gry o Tron" (to już nie jest fascynacja, to już fanatyzm ;)). Formuła powstawania głębi kojarzy mi się trochę ze światami Brunona Schulza – patrzysz w jeden punkt, a kątem oka widzisz całą masę przeróżnych szczegółów. Tu kątem oka widzisz Głębię, która otwiera się przed tobą jak *wezwanie głębi bycia bytu*. Można przy okazji zacząć czytać Heideggera.

To nie wszystko. Na samym początku tomu jest mapa Wypalonej Galaktyki wraz z linkiem, pod którym znajdziemy informację na temat Drogi Mlecznej i jej sektorów. Uwielbiam mapy w książkach, czuję się wówczas jak eksplorator, który faktycznie wybiera się w podróż. Nadal nie wszystko. Książkę otwiera tekst Davida Bowiego do utworu „Black star", a w dalszej części znajdujemy fragment utworu „Lazarus" (pod tekstem znajduje się podpis *trubadur David Bowie, era terrańska*). Nie muszę chyba przypominać czytelnikom, że „Black Star" to album-pożegnanie umierającego na raka artysty.

Skojarzenia każdy może mieć indywidualne. I nie chcę spoilerować, w jaki sposób kończą się losy bohaterów, bo na pewno są jeszcze osoby, które nie zanurzyły się w „Bezkres" (dosłownie zanurzyły, bo książka ma ponad 800 stron, zatem nie jest to krótka przygoda). Finał na pewno jest zaskakujący, a fani serii piszą, że żałują, że to już koniec, że *Grand Finale* nastąpiło za szybko, że żegnają się ze swoimi ulubionymi postaciami i niedowierzają, że nie wykonają już kolejnego skoku w przestrzeń. Jak się okazuje Głębia ma swój Kraniec, i tam rozstajemy się. Zostaje tylko biały szum... *Chwalmy Bladego Króla.*

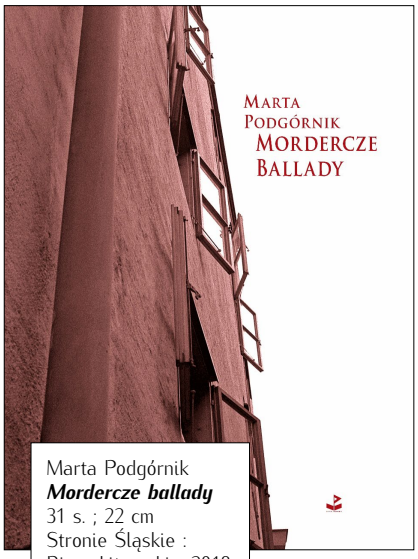

Marta Podgórnik
Mordercze ballady
31 s. ; 22 cm
Stronie Śląskie :
Biuro Literackie, 2018
821.162.1-1

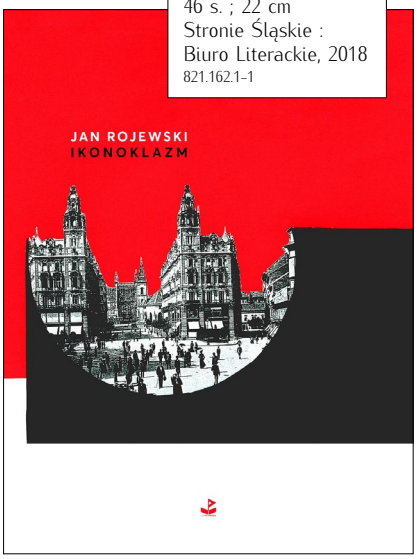

Jan Rojewski
Ikonoklazm
46 s. ; 22 cm
Stronie Śląskie :
Biuro Literackie, 2018
821.162.1-1

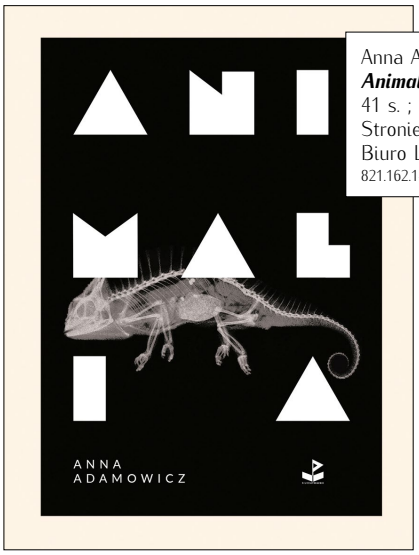

Anna Adamowicz
Animalia
41 s. ; 22 cm
Stronie Śląskie :
Biuro Literackie, 2019
821.162.1-1

Katarzyna Sobota

Ja i świat w trzech odsłonach

W ostatnim czasie nakładem Biura Literackiego ukazały się m.in. tomiki poetyckie trójki bardzo interesujących autorów. Każda z książek prezentuje inny sposób patrzenia na człowieka i rzeczywistość, dyktowany przez indywidualną wrażliwość. Jednak mimo znaczących różnic wiersze Marty Podgórnik, Jana Rojewskiego i Anny Adamowicz łączy jedna wspólna cecha.

W „Morderczych balladach" Podgórnik (rocznik 1979, laureatki m.in. Nagrody Literackiej Gdynia w 2012 r. za „Rezydencje surykatek") mamy do czynienia z ciekawą kreacją podmiotu, która jest nastawiona na grę z czytelnikiem. Na przykład pieszczotliwe zdrobnienia (*błocko*, *kaloszki*, *dobre słonko*) w utworze „Jeżeli" zderzone zostają z morderczym aktem, do którego przyznaje się osoba mówiąca w „Moim wierszu". Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że podmiot traktuje swój *czyn podły* z dużym dystansem, puszczając do czytelnika oko. Na uwagę zasługuje również wizja związków damsko-męskich, w której z jednej strony pobrzmiewa specyficzne poczucie humoru (*Czyż nie mówiłem Ci, że zamknąwszy buzię,/ Otwierasz szczęścia drzwi?* – „Miłość"), z drugiej zaś gorzka refleksja o relacji pełnej oskarżeń i nieszczerości (*Ty mi zarzucisz chciwość, a ja Tobie płaszcz/ Na te wątłe ramionka copiątkowych kłamstw* – „Pamięć").

Z kolei podmiot w wierszach Rojewskiego (r. 1984, laureata konkursu im. Rafała Wojaczka) z tomu „Ikonoklazm", snuje opowieść o swoim życiu w niepokojącym świecie. Rozpoczyna od wydarzeń poprzedzających narodziny – intrygującej kosmogonii Polski (*[Pierwsi ludzie mieszkali w dolinie]*), w której pojawiają się aluzje do Księgi Rodzaju. Mroczny obraz grzebania brata w ziemi, która *miała smak popiołu*, kontrastuje z sielskim dzieciństwem głównego bohatera „Ikonoklazmu", śpiewającego *piosenki z „Ziarna"*. Kolejne etapy jego życia wydają się naznaczone tym, co zdarzyło się w odległej przeszłości. Zagrożenie stwarzają również widma współczesności (np. *szerokopasmowy internet* oferujący przygody erotyczne). Tytułowe niszczenie świętych obrazów to zarówno akt buntu, jak i rozpaczy – *bezradnie walę rękoma [...]/ w myśliwych Kossaka i świętą rodzinę* – wyznaje osoba mówiąca w utworze „Teraz kończę wiek ucznia".

Tymczasem Anna Adamowicz (r. 1993, nominowana do nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. J. Bierezina) czyni bohaterem „Animalii" zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Te dwa różne światy nie tylko się ze sobą ścierają, ale i przenikają, czasem dosłownie. Wyrazistym przykładem jest para wierszy, w których kolejno wypowiadają się Maria Callas i żyjący w jej jelitach tasiemiec. Z kolei tytułowy utwór ukazuje odwrócony porządek – zwierzęta wkraczają w przestrzeń ludzką (*w tryby miast* [...] *w szpary szyn*), zaś ludzie umykają w miejsca naturalne, choć niekoniecznie gościnne (*w brzuchy mórz* [...] *w gniazda żmij*). Adamowicz kreśli obraz świata, widziany oczyma umierającej małpy („je suis Babouin") czy Łajki, psa wysłanego w kosmos przez Rosjan („Elon Musk rozmawia z Łajką"). Ostrzeżenie Łajki skierowane do ludzi brzmi złowróżbnie: *wy jesteście kryształki na skórze Ziemi która w każdej chwili/ może się otrząsnąć [...]*

„Mordercze ballady", „Ikonoklazm" i „Animalia" odsłaniają trzy poetyckie perspektywy, które, choć tak odmienne, pozwalają się sprowadzić do wspólnego mianownika – jest nim relacja. Podmioty wypowiadające się w utworach Marty Podgórnik, Jana Rojewskiego i Anny Adamowicz nie są bowiem wyizolowane, lecz uczestniczą w nieustannej interakcji z innymi ludźmi, otoczeniem, naturą. W „Morderczych balladach" są to nie tylko związki z ukochaną osobą, lecz także z najbliższą rodziną czy Bogiem.

Nieustanna interakcja z ludźmi, otoczeniem, naturą.

Poezja Rojewskiego ukazuje z kolei zmagania jednostki z tradycją i wyzwaniami nowoczesności. Autorka „Animalii" natomiast kładzie nacisk na skomplikowane powiązania ludzi i przyrody, których dynamikę wyznaczają ingerencja człowieka oraz zaskakująca, a niekiedy wręcz porażająca reakcja „braci mniejszych".

Twórcy dają wyraz przekonaniu, że nie sposób żyć w oderwaniu od świata. Wobec mnogości zjawisk i wieloznacznej rzeczywistości często jesteśmy bezradni. Jednak nie zwalnia nas to z odpowiedzialności za relacje z innymi ludźmi i środowiskiem. Relacje te świadczą bowiem o naszym człowieczeństwie.

Fot. Michał Jaroń. Materiały prasowe Instytutu Dizajnu

Anonimowy kreator zbiorowej wyobraźni

Diana Michalska

Na jednej z plansz widzimy słynne okładki płyt z lat 80. – oto Piotr Fronczewski, jako Franek Kimono i Andrzej Rosiewicz. Obok rozpoznawalny dla wszystkich logotyp PKO i żartobliwy plakat Wenus z Milo z hasłem „Chroń ręce".

Chociaż Karol Śliwka pozostaje dla większości osób osobą anonimową, to trudno sobie wyobrazić statystycznego „użytkownika przestrzeni miejskiej", który nie rozpoznawałby jego charakterystycznych znaków graficznych.

Trudno uwierzyć, ale te wszystkie projekty, znane chyba każdemu Polakowi znaki, są autorstwa jednego człowieka – urodzonego w 1932 r. Karola Śliwki. Więcej, można je wszystkie zobaczyć na wystawie „Karol Śliwka. Polskie projekty. Polscy projektanci", do połowy maja, w Instytucie Dizajnu w Kielcach.

Ekspozycja jest drugą odsłoną wystawy przygotowanej przez Muzeum Miasta Gdyni, która przez Stowarzyszenie Twórców Grafiki Użytkowej została uznana za Projekt Roku w Polskim Konkursie Graficznym. Chociaż Karol Śliwka pozostaje dla większości osób postacią anonimową, to trudno sobie wyobrazić statystycznego „użytkownika przestrzeni miejskiej", który nie rozpoznawałby jego charakterystycznych znaków graficznych – Instytutu Matki i Dziecka, wspomnianej już Powszechnej Kasy Oszczędności, Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. To wystawa dla dużych i małych, ale przede wszystkim dla każdego, kto na poważnie chce związać swoją przyszłość z projektowaniem logotypów. Wernisażowi wystawy towarzyszył również, ogłoszony przez ID, konkurs na pracę nawiązującą do twórczości Karola Śliwki, a samego projektanta można bliżej poznać dzięki cytatom z wypowiedzi autorskich, analizom wybranych znaków i anegdotom związanym z ich powstaniem.

Agata Kulik

Chłopiec, który słucha pociągów

Rozmowa z Martą Adamowicz, pochodzącą z Kielc artystką sztuki video, mieszkającą w Szkocji.

Fot. Agata Kulik

Jesteś artystką interdyscyplinarną, jakim dziedzinami sztuki się zajmujesz?

Głównie tworzę pejzaże i rzeźby dźwiękowe. Czasami towarzyszą im również krótkie video arty, bądź innego typu wizualizacje. Odkąd urodziła się moja córka, tworzę również linoryty. Łatwiej jest pracować dłutem niż dźwiękiem przy śpiącym bobasie.

Zajmujesz się również teatrem?

Przez lata prowadziłam projekty Little Bit of Theatre – prezentowaliśmy tam cyklicznie wieczory z krótkimi, eksperymentalnymi formami teatralnymi i performansami. Część projektów mojego autorstwa przerodziło się potem w video-arty dla „Gay and Imigrant". Jeden z tych spektakli został zaprezentowany w Scottish National Theatre.

Z czego wynika to, że używasz tak wielu różnych środków wyrazu?

Sztuka odzwierciedla rzeczywistość. Rzeczywistość składa się z wielu czynników, dlatego to, co tworzę również czasem jest obrazem, a czasem dźwiękiem. Zawsze jednak wyraża to samo – harmonię i dyskordię – płynące z życia codziennego.

Mieszkasz w Glasgow, czy bycie imigrantem definiuje twoją sztukę?

Nie wydaje mi się, żeby status imigranta mnie w jakiś sposób definiował. Niemniej jednak ma on duży wpływ na moje życie i sposób postrzegania świata. To przenika również do tego, co robię. Być może to, że łączę „w sobie" kilka kultur wzbogaca to, jak patrzę na świat, co w nim obserwuję i co mi wpada w oko. W mojej pracy poszukuje wątków, które nas łączą, jako ludzi. Interesują mnie lokalne społeczności, to jak się zawiązują I jak funkcjonują, to, co jest dla nich ważne i piękne, a co je oburza. Koncentrując się na tych bardzo specyficznych mikrokosmosach, odkrywam istotę ludzkości, która wszędzie na świecie jest taka sama.

Jesteś też matką, czy matkom/kobietom trudniej być artystą?

To jest bardzo trudne pytanie. Odpowiedź to „tak", ale również „nie". Rodzicielstwo wymaga dostosowania – w każdej dziedzinie życia. Bardzo trudno jest pogodzić to z „duszą artysty", ale jeżeli znajdzie się sposób na pokonanie przeszkód, to w następnym etapie jest dużo łatwiej. Jeżeli człowiek nauczy się nie oczekiwać na wenę, tylko ją samemu w sobie aktywować, kiedy dziecko śpi, je, jest w przedszkolu, bądź po prostu odwróci się na pięć minut, to myślę, że można być dużo bardziej wydajnym artystą. W moim przypadku pomogła również, jak już wspomniałam zmiana dyscypliny na „cichszą". Ta decyzja zaowocowała na przykład nagrodą An Tallas Solais, na jednej z najbardziej prestiżowych wystaw w Szkocji. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę artystką wizualną. Z czasem, korzystając z tego, że moja córka zaczęła chodzić do szkoły, wracam do pracy z dźwiękami, ale na pewno nie porzucę linorytów. Podsumowując, bycie rodzicem pomogło mi uporządkować i rozwinąć moją praktykę artystyczną. Był to długi i trudny proces pełen łez i potu, ale zakończył się sukcesem.

Otworzyłaś właśnie swoją galerię – M Gallery Glasgow, pod koniec lutego miał miejsce wernisaż wystawy „My Mother Is An Artist"...

Tak, we współpracy ze szkołą językową otworzyliśmy nie tylko galerię, ale i centrum propagujące wielokulturowość. Naszym celem jest otworzenie lokalnego społeczeństwa na sztukę, umożliwienie rodzinom korzystania z eventów artystycznych. Program będzie więc dostosowany dla dzieci (odpowiednia głośność koncertów, brak wulgaryzmów, czy treści nasyconych przemocą). Chodzi o to, żeby rodzicielstwo nie ograniczało udziału w koncertach, wernisażach czy wystawach. Wystawa „My Mother Is An Artist" to wynik działania kolektywu artystycznego, którego celem jest wspieranie mam-artystek w drodze powrotu do świata sztuki. To pierwszy raz, kiedy kolektyw zadziałał w Glasgow. Ta wystawa jest również o tyle unikalna, że jej kuratorami były dzieci artystek. To one wybierały ulubione prace mam, które zostały zaprezentowane.

Być może to, że łączę „w sobie" kilka kultur wzbogaca to, jak patrzę na świat.

Nad czym teraz pracujesz?

Nad muzyczną formą dokumentalną na temat pasji autystycznego chłopca do metra w Glasgow. Używam dźwięków stacji, pociągów, aby stworzyć muzyczny krajobraz, w który wpleciony będzie wywiad z jego mamą, również reakcje chłopca na nadjeżdżające pociągi. Związek między autyzmem a miłością do systemów kolejowych jest dobrze znany w środowisku badawczym. W takich miastach jak Nowy Jork czy Londyn istnieją nawet zespoły, które organizują wspólne wycieczki, mając nadzieje, że pasja doświadczana w grupie, wpłynie korzystnie na zdolności społeczne autystycznych dzieci. Przygotowuję się również do mojej pierwszej oficjalnej rezydentury artystycznej, która odbędzie się latem.

Trzymamy kciuki. Dziękuję za rozmowę.

Marta Adamowicz pochodzi z Kielc na co dzień mieszka w Szkocji. W 2017 r. jej prace były częścią dorocznej wystawy „RGI, Clydeside Annual Exhbition" Galerii Pop-up w Merchant City w City Hall i Old Fruitmarket oraz wielu innych. Dźwiękowy utwór „Poludnica" był wystawiany w całej Szkocji, w tym na Glasgow International Festival 2018. Jego radiowa wersja była częścią Radiophrenia Glasgow i Radio Borealis Festival w Bergen. Jest laureatką nagrody An Tallas Solais na wystawie RSA Open 2018. Stworzyła 5-minutowy projekt teatralny, który kilka lat temu został pokazany przez Scottish National Theatre, a także jest częścią grupy performance/ video art o nazwie Gay and Immigrant, przez lata wystawiającej wiele spektakli. Ostatnio ich film został pokazany na festiwalu Doune The Rabbit Hole oraz został przyjęty na tournee „kina w jurcie" przez Cinemor77. Adamowicz działa również w zespole muzycznym Polis, tworzącym electronic crooning. Zawsze była też zainteresowana fotografią i projektowaniem, jednak od kiedy stała się mamą, bardziej zbliżyła się do tradycyjnych form wizualnych. Pisze opowiadania dla najmłodszych, nawiązujące m.in. do szkockiego folkloru. Pracuje z dziećmi dwujęzycznymi.

Michał Płoski

Dwa spojrzenia na świętą ikonę

Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczki" to ważne miejsce, ciągle mało znane znacznej części mieszkańców Kielc – wśród nich również tych, których praca, powołanie, kierunek studiów bądź szkolnej nauki, jakby się wydawało, zobowiązuje wręcz do częstego odwiedzania tego miejsca. Zawsze są tu ekspozycje ciekawe, świetnie zaaranżowane, co zawdzięczamy opiekującej się Galerią Agnieszce Orłowskiej.

W ostatnim czasie zaprezentowane zostały tu dwie wystawy: „Światło ikony" – fotografie Antoniego Myśliwca oraz „Cisza ikony" (wciąż dostępna) – malarstwo Pauliny Krajewskiej.

Antoni Myśliwiec, znany artysta fotografik, związany z Kielcami, którego prace odnajdują piękno przedmiotów i miejsc omijanych obojętnie lub wręcz postrzeganych jako brzydkie: wrak samochodu zawłaszczany powoli przez otaczającą go przyrodę, pofalowany dach starej szopy czy kawałki folii wyglądające jak piękne pejzaże, osiedlowy śmietnik i plama światła odbitego w kałuży... (wystawa „Iluzje i pejzaże" 2013). Od początku w fotografiach Antoniego pojawiał się rys religijny. Czasem dyskretnie, właśnie przez ożywcze światło lub uchwyconą formę krzyżujących się linii; niekiedy bardziej dosłownie – wizerunek Ukrzyżowanego zawieszony na surowym murze.

Od wielu lat Antoni towarzyszy prawosławnej parafii św. Mikołaja w Kielcach. Kontakt ten zaowocował w 2010 r. wystawą „Tajemnica cerkwi", która stanowiła swoisty reportaż. Antoni, dokumentując wydarzenia, zwykle związane z liturgią, próbował dotrzeć do tego, co nie jest wyrażalne, do

Paulina Krajewska
„ZMARTWYCHWSTANIE"

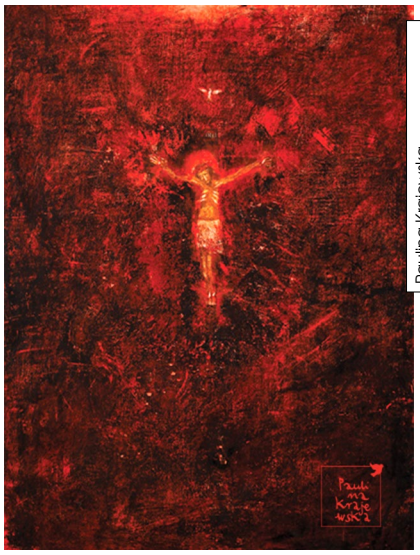

Paulina Krajewska
„PAN JEZUS NA ŚMIERĆ SKAZANY"

tajemnicy właśnie. Wystawa „Światła ikony" świadczy o tym, że artysta podąża dalej tropem poszukiwacza rzeczywistości nienazwanej i nie chodzi tu o zwykłe zdjęcia prezentujące napotkane święte wizerunki. Jedna z fotografii przedstawia wręcz pustą cerkiewną ścianę, z której przed remontem zdjęto ikony. Kurz zakreślił jaśniejsze miejsca i pozostały tylko prostokąty po nieobecnych świętych znakach. Na innej pracy widoczne są płomienie świec, których liczba podwojona została przez odbicie w stojącej za nimi oszklonej fotografii. Błyszczący krzyż panichidnicy uczytelnia zdarzenie – modlitwa za śp. profesora Jerzego Nowosielskiego. Zdjęcie następne – świetlny odblask na cerkiewnym suficie. Rozpoznajemy miejsce tylko przez widoczne fragmenty krzyża i chorągwi. Na wielu fotografiach pojawiają się ikony. Są one elementem istotnym, ale nie głównym. Chodzi przede wszystkim o działanie światła, ożywione przezeń barwy, odblaski, migotania... Chusta ze „Spasem Nierukotwornym" na tle dużej szyby, w której widzimy delikatnie rozświetloną panoramę miasta. Odbicia przenoszące zarysy ikon na tkaniny, na szkło. Innym zabiegiem jestem łączenie planów bliższych i dalszych o różnym oświetleniu i kolorycie. Niekiedy blask świateł lub umiejscowienie na drugim planie utrudniają rozpoznanie świętych czy Matki Bożej, a jednak na tych zdjęciach wyczuwa się ich obecność. Na innej fotografii wyraźnie widzimy ikonę św. Jana Teologa (Ewangelisty). Apostoł zasłania dłonią usta charakterystycznym gestem oznaczającym głębokie milczenie. Takie zanurzenie w pokoju i ciszy złączone jest z kontemplacją światła Taboru, światła Bożej chwały. Filozofia neoplatońska, za sprawą autora identyfikowanego z pierwszym biskupem Aten – św. Dionizym, oddziaływała na wschodnią duchowość. Światło, jakiego doświadczają uczniowie w momencie Przemienienia Pańskiego na Górze, umożliwia przekroczenie mrocznej doczesności i pełne poznanie Zbawiciela. Według Pseudo-Dionizego to niestworzone światło stanowi łącznik pomiędzy Niebem i Ziemią

Twarze i gesty postaci świadczyły o tym, że znajdują się już w innej rzeczywistości niż ta naznaczona grzechem, cierpieniem i łzami.

i dzięki niemu hierarchia niebieska i kościelna jednoczą się w liturgii, której nierozdzielny element stanowi ikona. Można więc powiedzieć za Pseudo-Dionizym, że światło św. Ikon uczestniczy w świetle Bożej chwały. Naturalne światło, przenikające warstwę malarską, ożywiające ikonę, jest niejako drogą do rozpoznania światłości nieprzemijającej.

Antoni Myśliwiec przez swoją twórczość fotograficzną pomaga nam zauważać piękno, piękno często ukryte, a jednak obecne w otaczającym nas świecie. W tradycji greckiej, którą przejęło chrześcijaństwo wschodnie, piękno i dobro są nierozłączne, stanowią właściwy przedmiot naszej uwagi. Tym razem artysta prowadzi nas ku obserwacji światła. Promienie penetrujące wnętrze cerkwi, płonące świece, lampki oliwne towarzyszące ikonom, prowadzą nas ku medytacji nad Światłem, które nie przemija.

Paulina Krajewska, absolwentka Liceum Sztuk Plastycznych i Wydziału Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, odkryła w pewnym momencie swojego życia szczególne powołanie. Maluje prace o niewielkich formatach, zakorzenione w modlitwie, w Piśmie Świętym. Kluczem więc do misterium twórczości krakowskiej malarki jest jej życie wewnętrzne. Próbuję odgadnąć duchowe ścieżki artystki w oparciu o jej wypowiedzi, cytowane w artykułach o niej. Powiedziała o początku swojej wewnętrznej drogi: *Nawrócenie przyszło... w trakcie Modlitwy Jezusowej – polegającej na powtarzaniu słów „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem"*.

Ta związana z rytmem oddechu formuła medytacyjna, pochodząca z duchowości wczesnego monastycyzmu, towarzyszy prawosławnym ikonopiscom. Prowadzi ona ku głębokiemu uciszeniu. Eliminując doznania wynikające z cielesności i psychiki, otwiera na Boga obecnego w sercu każdego człowieka. Podobny szlak w duchowości zachodniej wyznaczył św. Jan od Krzyża, nazywając go drogą na górę Karmel. Paulina Krajewska wspomina o książkach ks. Andrzeja Muszali (współpracowała przy tworzeniu ich szaty graficznej) i o odbywających się z inspiracji księdza spotkaniach modlitewnych

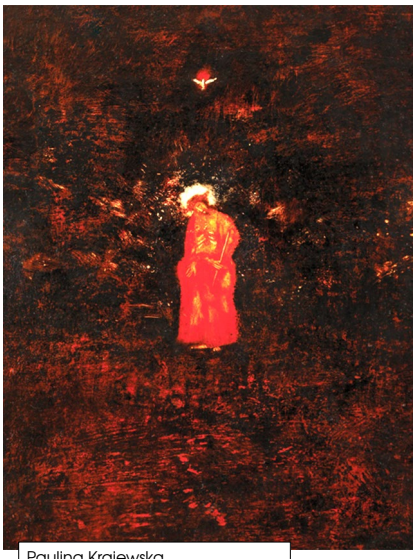

Paulina Krajewska
„PAN JEZUS NA SMIERC SKAZANY"

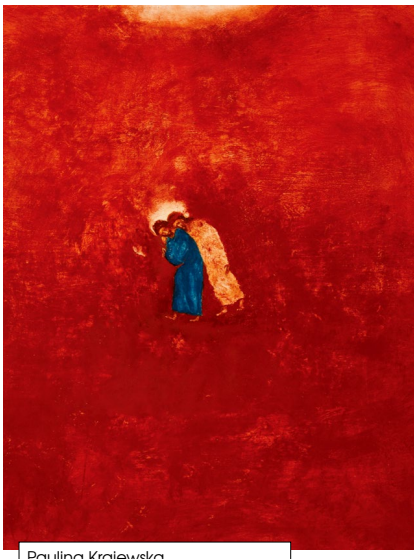

Paulina Krajewska
„SZYMON POMAGA NIEŚĆ KRZYŻ"

Paulina Krajewska
„OPLAKIWANIE"

w ciszy, w których uczestniczy. Treść wspomnianych książek pozwala na przypuszczenie, że malarce znana jest duchowości karmelu, owe pięć „nic" prowadzące ku szczytowi. Jej postawa ufności, zawierzenia Bogu, który przychodzi jako bezbronny Jezus, mówi o inspiracji małą drogą św. Teresy z Lisieux.

Z innej wypowiedzi Pauliny Krajewskiej dowiadujemy się, że inspiracje malarskie zawdzięcza ćwiczeniom ignacjańskim, których elementem jest umiejscowienie się w danej biblijnej scenie i rozbudzenie tą drogą swojej wyobraźni i emocji. Taka postawa w życiu wewnętrznym jest odrębna, wręcz przeciwna w stosunku do duchowości zarówno wschodniej, jak i św. Jana od Krzyża, zmierzających do wyciszenia wyobrażeń i emocji, także tych pobożnych. W religijnej sztuce droga św. Ignacego Loyoli zaowocowała twórczością nacechowaną mrokiem i światłem, emocjonalnymi napięciami. Choć prace Krajewskiej trudno porównywać do obrazów barokowych, to jednak w wielu z nich możemy odnaleźć podobną uczuciową dynamikę. Wschodnia ikona, integralnie związana z liturgią, unika takich efektów. Twórcy ikon, zachowujący kanon, działali podobnie jak kapłan przestrzegający obowiązujących rytów, powściągający emocje na rzecz uwagi, skupienia wobec misterium. W klasycznej ikonie złote tło symbolizowało światło Bożej chwały. Twarze i gesty postaci świadczyły o tym, że znajdują się już w innej rzeczywistości niż ta naznaczona grzechem, cierpieniem i łzami. Użyłem określenia klasyczna ikona, bowiem w dziejach tego malarstwa niejednokrotnie dawały o sobie znać wpływy kultury zachodniej. Prace Krajewskiej nazwałbym ikonami pogranicza, gdyż można w nich dostrzec oddziaływanie obu wspomnianych wyżej nurtów duchowości. Malarka nie używa złota. Barwne lub ciemne, niejednolite tło wypełnia niemal całą powierzchnię jej obrazów i nadaje emocjonalny charakter scenie. Artystka długo nad nimi pracuje. Sprzyja temu technika właściwa ikonom: lipowe deski, kredowo-klejowy grunt, żółtkowa tempera. Szybciej i łatwiej można by działać przy pomocy nowoczesnych farb, np. akryli. Ale właśnie dawna technika wymaga czasu i cierpliwości: samodzielne ucieranie pigmentów, mieszanie ich w odpowiedniej proporcji z żółtkowym spoiwem, powolne nakładanie długo wysychającej farby, którą w razie potrzeby łatwo można usunąć. Towarzyszy temu upływ czasu i modlitwa. Ograniczenie kolorystyki, schematyczne ujęcie postaci i rysów ich twarzy także jest bliskie tradycji ikonowej. Natomiast o przynależności twórczości Krajewskiej do tradycji zachodniej mówi jej indywidualny i emocjonalny rys. Oryginalność, odrębność w stosunku do innych znanych malarzy ikon, postrzegamy jako walor tych prac. W tradycji wschodniej nie zawsze uznane byłoby to za zaletę. Artystka dzieli się z nami swoją intymną relacją z Bogiem, zamieszczając w tytułach prac cytat z Pisma Świętego. Zaprasza niejako widza do wspólnej modlitwy. Kielecka wystawa trwa w okresie Wielkiego Postu i ikony krakowskiej malarki mogą poprowadzić nas Drogą Krzyżówką; nabożeństwo to nie znane jest w prawosławiu. W pierwszym spojrzeniu dostrzegamy plamy tła. Trzeba się zbliżyć do niewielkich desek, aby odczytać postacie i małe światełka. Mistyka zachodnia szuka światła w ranach, w cierpieniu. Na innych deskach znajdziemy ilustracje scen ewangelicznych – szczególniej piękne nokturny. Myślę, że prace te mogłyby być użyte w edycji Pisma Św.

Dodajmy, że ilustratorski talent Krajewskiej został już dostrzeżonym (wyróżnienie w konkursie „Książka roku" za ilustracje do baśni i bajek kurdyjskich). Są też obrazy jasne, rozświetlone, bliskie tradycji wschodniej, nierzadko wypełniające cechy kanonicznych ikon. Na przykład piękne „Zwiastowanie" (2013), czy praca zatytułowana „Poranek Wielkanocny" (2017) – na Wschodzie nosiłaby miano „Żeny – mironosicy", piękne ikony maryjne np. „Maryja z Emanuelem" (2017) – w prawosławiu Matka Boża Znaku.

W 2018 r. powstała ikona Przemienienia Pańskiego, którą artystka zatytułowała „Wyprowadził ich na górę wysoką". W prawosławiu góra Tabor odgrywa szczególną rolę. Podobnie jak u św. Jana od Krzyża wspinaczka symbolizuje ascezę, która służy temu aby z naszych oczu zdjęte zostały zasłony, by w świetle Bożej chwały ujrzeć Zbawiciela. Przed otrzymaniem błogosławieństwa posługi pisania ikon, wschodni ikonografowie poszczą i w ciszy piszą właśnie ikonę Przemienienia Pańskiego. Praca Krajewskiej jest oszczędna: błękit tła, ciemna góra i biel. Ledwie zaznaczone twarze i dłonie postaci, których sylwetki zakreślone są białymi plamami. Smuga światła zstępuje na górę. Malarka zatrzymuje się przy pierwszych słowach przywołanego w tytule fragmentu Ewangelii (Mk 9,2; Mt 17,1). Nie ma jeszcze Eliasza i Mojżesza. Uczniowie stoją na szczycie, nad nimi jaśnieje Chrystus, który udziela im swego światła. Nie potrzeba więcej słów ani znaków. Cisza ikony.

Ignacy Czwartos
„**CZWÓRKA**" z cyklu „Żołnierze wyklęci", 2018
ol. pł., 200×200 cm
własność artysty

Diana Michalska

Żołnierze Wyklęci w kostiumie sarmackim

Do końca kwietnia Muzeum Współczesne Wrocław prezentuje wystawę malarstwa Ignacego Czwartosa. Artysta (ur. 1966) w Kielcach dyplom uzyskał w pracowni Tadeusza Wolańskiego w Zakładzie Wychowania Plastycznego w Kaliszu – Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest współtwórcą Stowarzyszenia i Galerii Otwarta Pracownia.

Ignacy Czwartos
„**MEMENTO MORI, 2016**", 2015
ol. pł., 95×150 cm
własność Fundacji Nowa Przestrzeń Sztuki

Ignacy Czwartos
„**TAKA ROBOTA NA WIOSCE**", 2013
ol. pł., 200×180 cm
własność Muzeum Narodowego w Krakowie

W **katalogu** towarzyszącym wystawie Andrzej Jarosz tak charakteryzuje prace kieleckiego twórcy: *Czwartos, definiujący się jako malarz polski (a niekiedy nawet jako „współczesny sarmata"), brawurowo odwołuje się do malarstwa Andrzeja Wróblewskiego i sztuki barokowej. W obrazach malowanych płasko, zestawionych z wysmakowanych kolorystycznie płaszczyzn, sięga zarówno po zasadę mimesis, jak i po grę geometrycznych form. Substancja jego dzieł zbudowana jest ze ściszonych rejestrów beżów, wielowymiarowych bieli oraz stonowanych błękitów.* W tych, świadomych nawiązaniach do prekursorów abstrakcji geometrycznej – Kazimierza Malewicza i Pieta Mondriana – tkwi siła obrazowania Czwartosa. Lecz nie tylko. Drugim, na pewno ważniejszym fundamentem sztuki artysty jest tradycja polskiego malarstwa dawnego.

Cykl prezentowany w MWW nawiązuje, do znanego z wcześniejszych prac Czwartosa, modelu portretu sarmackiego, zwłaszcza tradycji portretów trumiennych. Na sposób współczesny trawestuje motywy znane z tradycji barokowego vanitas i w ten kostium ubiera postaci Żołnierzy Wyklętych. Tym sposobem tworzy i inspiruje dyskusję na temat śmierci, tradycji, historii i jej odbicia w XXI w. Wystawa staje się zatem dyskusją – językiem sztuk plastycznych – o polskości, o naszych, odwiecznych „problemach przeklętych".

Paweł Chmielewski

Oko, które patrzy

Jesteśmy wciąż sprawdzani – przeczesywanie Internetu, historii odwiedzanych stron, zachowań sieciowych, czytanie poczty – to już norma. Znane z futurystycznej wizji „Łowcy androidów" spersonalizowane reklamy, które „gadają" po imieniu do przechodniów, już są znane z amerykańskich sklepów i ulic Seulu. Chińskie władze oceniają obywateli na podstawie „lajków" społecznych. Google wszędzie już wjechało ze swoimi kamerami. Prywatność to przeszłość. Jej nowym – wielu powiedziałoby, że bardzo perfidnym symbolem – są drony.

Obdarowywane są nimi dzieci z okazji pierwszej komunii, fruwają nad naszymi głowami kręcąc filmiki reklamowe, lub robiąc panoramiczne zdjęcia dla prasy, w ujęciach „z lotu ptaka" wyręczają kamerzystów. Drony traktowane są, jako element stechnicyzowanego świata, czasem – narzędzie inwigilacji, kiedy indziej – pożyteczna zabawka, lub skuteczny element gry wojennej. Rzadko ich obecność jest analizowana w kontekście kulturowym (nie tylko jako gadżet wypełniający tkankę filmów i seriali). Tymczasem drony – na podobieństwo komputerów i SI – stały się nieodłącznym elementem naszego pejzażu i wręcz „krzyczały", dopominając się o należne im miejsce w refleksji naukowej. „Czego pragną drony?", zbiór esejów pod redakcją Rafała Nahirnego, Aleksandry Kil i Magdaleny Zamorskiej wypełnia lukę w badaniach humanistycznych. Jeśli tytuł wywoła u kogoś automatyczne skojarzenie z powieścią Dicka „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?", to będzie to reakcja naturalna. Drony poddane wiwisekcji mają bowiem osobowość, autorzy traktują je często, jak twory z pogranicza ludzko-mechanicznego, a pojęcia z dziedziny etyki – zdawałoby się zarezerwowane tylko dla ludzi – zostały przeniesione nie tylko do świata zwierząt, ale i rzeczywistości zaludnionej przez automaty.

Czego pragną drony? Od atrakcji wizualnej do spojrzenia władzy, redakcja Rafał Nahirny, Aleksandra Kil, Magdalena Zamorska
420 s. ; 20 cm
Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe Katedra, 2017
316.7:629.734/.735-519

Z piętnastu rozpraw zamieszczonych w tomie, najbardziej interesujące dla czytelników magazynu artystycznego pozostają te oscylujące wokół tematyki bionicznej natury dronów, ich uczestnictwa – jako podmioty, bądź przedmioty – w działaniach kulturowych i teksty o obecności „bezzałogowych obiektów latających" w wirtualno-realnym świecie, na styku gier komputerowych i rzeczywistego pola walki. W artykule „Drony piękne jak motyle..." Renata Tańczuk przywołuje termin „naturoid", nazwę istoty, która będąc wytworem zaawansowanej techniki, do złudzenia przypomina istotę biologiczną (niekoniecznie humanoidalną), zwodząc nasze zmysły. Już po premierze książki – naturoid doskonały pojawia się w odcinku „Wróg narodu" serii „Black mirror", pod postacią zabójczego drona-pszczoły. Złudzenie natury, powiedziałbym nawet, że znane człowiekowi przynajmniej od renesansu, pragnienie jej naśladownictwa – objawia się przecież i w „Matrixie" braci Wachowskich i „Z archiwum X", gdzie obiekty śledzące i ofensywne imitują owady. Tak oto na styku człowiek-maszyna, technika-natura, dotykamy poważnego dylematu – naturą (lub raczej jej naśladownictwem) oswajamy cybernetyczne byty. Przypominający motyla dron zdaje się nam mniej niebezpieczny, lecz czy w swym dążeniu do animalizacji/ antropomorfizacji nie dochodzimy do granicy, o której pisali Dick z Asimovem? Dron z wbudowaną SI może – co wcale nie jest tak nieprawdopodobne – uzyskać świadomość, stając się z bionicznego sługi, cybernetycznym, latającym wrogiem. Lub strażnikiem. Aspekt zacierania granic etycznych ukazuje cykl esejów zawartych w części „Strefy konfliktów".

Na pograniczu izraelsko-palestyńskim istnieje najwyższy na świecie odsetek ludzi uzależnionych od tramalu. Ten silny lek psychotropowy stał się odtrutką na powszechny strach przed podniebnymi strażnikami. Drony nie pojawiają się tu nagle, szumią i warczą, swą obecnością przypominając o ciągłej kontroli – opisując strefę przygraniczną Błażej Kolański („Krajobraz wygodnego zabijania") odwołuje się do estetyki PlayStation. Metafora żołnierza, jako gracza, powraca w wielu tekstach zbioru. Ukryty tysiące kilometrów dalej operator bezszelestnego obiektu, traktuje ofiary/wrogów, jeśli są terrorystami, podejrzanymi o terroryzm, bezosobowo. Zabijanie stało się elementem zabawy, dron wygodnym narzędziem. Eseje – zawarte w tej części – uświadamiają nam stopniowe zacieranie granic między wirtualnym światem a realną wojną. Zamordowani ludzie są tu tylko ubocznym efektem „kliknięcia" w przycisk na klawiaturze.

Na pograniczu izraelsko-palestyńskim lek psychotropowy stał się odtrutką na powszechny strach przed podniebnymi strażnikami.

Etyczne zagadnienie inwigilacji i pochodnego od niej zabijania obrazuje „Good Kill", filmowy obraz Andrew Niccola (tekst Marty Brzezińskiej-Pająk), gdzie usankcjonowane podglądactwo i zabójstwo ma ikoniczną twarz Ethana Hawke'a. Autorka przywołuje tu szereg dzieł – przez „Wroga publicznego" i klasyczną „Rozmowę" Coppoli, która rozpoczęła kinowy cykl o inwigilacji. Szkoda, że nie wychwyciła tego elementu śledzenia/podglądactwa w dziełach wcześniejszych, chociażby „Powiększeniu" Antonioniego. Filmowy obraz drona kieruje nas w sposób naturalny ku obrazowi fotograficznemu. Tutaj dron pozostaje narzędziem artysty, dokumentującym dziką naturę. Wraz z jego upowszechnieniem powstaje wręcz subkultura „dronologii" ze specjalnymi portalami, szeregiem filmów ukazujących pomyłki i „wpadki" związane z fotografowaniem dzikiej przyrody (Rafał Nahirny „Drony patrzą na zwierzęta"). Jasną stronę mocy reprezentują również te statki, które ujawniają skalę zanieczyszczeń i monitorują zmiany klimatu (Karolina Chyla „Drony nad Arktyką").

Ten obraz dronów, wyłaniający się z kart książki, jest uwodzicielski, ale i niebezpieczny. Dwoista natura latających, sztucznych owadów i nasza z nimi relacja, zaczyna troszeczkę przypominać pakt Mefistofelesa.

Przygody długouchego ronina

Piotr Kletowski

Stan Sakai
Tajemnice
197 s. ; 21 cm
Warszawa : Wydawnictwo Egmont Polska, 2018
821.111(73)-91

„Usagi Yojimbo" – to klasyczna już dziś seria komiksowa, której twórcą jest Stan Sakai – z pochodzenia Japończyk, dorastający na Hawajach, obecnie mieszkający w Kalifornii. Jej bohaterem jest samotny ronin przemierzający drogi i bezdroża XVII-wiecznej Japonii, dobywający swego miecza w obronie pokrzywdzonych i uciśnionych, jako że jest tego miecza niepokonanym mistrzem.

W każdym z 33 zeszytów (recenzowany w tym miejscu tom pt. „Tajemnice" jest 32, a więc do skończenia polskiej edycji pozostał jeden odcinek pt. „Ukryty", wydany w USA w bieżącym roku) Miyamoto Usagi pakuje się w tyleż intrygujące, co zawsze umożliwiające ukazanie swego szermierczego kunsztu kłopoty. Co jest jednak najciekawsze – Usagi jest królikiem, bo świat Japonii ery Edo, pióra Sakai, jest światem zaludnianym przez... antropomorfizowane zwierzęta.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że dzieło Sakai jest czymś w rodzaju komiksów samurajskich dla dzieci. Wprost przeciwnie, zwierzęcy bohaterowie przeżywają przygody niekiedy wręcz krwawe i okrutne, zaś intrygi w których udział bierze główny bohater nie mogą być zrozumiałe przez bardzo młodych miłośników historii obrazkowych. Bo to, co stanowi o wspaniałości komiksowej serii „Usagi Yojimbo", jest właśnie jej realizm, w oddaniu życia codziennego, obyczajowości, kultury Japończyków doby Edo, pozornie tylko ukryty pod maską ezopowej bajki. Ale po „Mausach" Spiegelmana wiemy dobrze, że właśnie zwierzęce postaci reprezentujące ludzi sprawdzają się znakomicie w obrazkowych historiach, sprowadzając ludzkie typy do ich zwierzęcych archetypów.

W zeszycie pt. „Tajemnice" Usagi bawi się w detektywa, próbując pomóc swemu przyjacielowi – inspektorowi Ishidzie w rozwiązaniu kilku nader skomplikowanych spraw kryminalnych, związanych z tajemniczym Mistrzem – kontrolującym świat przestępczy Edo, między innymi gang Czarnego Goblina, w szeregach którego toczy się bezpardonowa walka o władze.

Tym razem Usagi bardziej od swych umiejętności walki mieczem będzie musiał użyć swego intelektu, choć oczywiście i w tym zeszycie mamy kilka wspaniale rozrysowanych sekwencji pojedynków, pogoni i malowniczych starć.

Całość jak zwykle, w mniejszym, bądź większym stopniu nawiązuje do filmowej klasyki, zwłaszcza filmów *jidai-geki*, spod ręki Akiry Kurosawy („Yojimbo", „Sanjuro", „Ukryta forteca"), choć akurat kryminalne przygody Usagi z tomu „Tajemnice" bardziej przywołują na myśl samurajskie kryminały Kenji Misumi („Hanzo – brzytwa"), czy Hideo Goshy („Honor Samuraja") niż klasyczne produkcje Cesarza Japońskiego Kina z Toshiro Mifune w roli głównej.

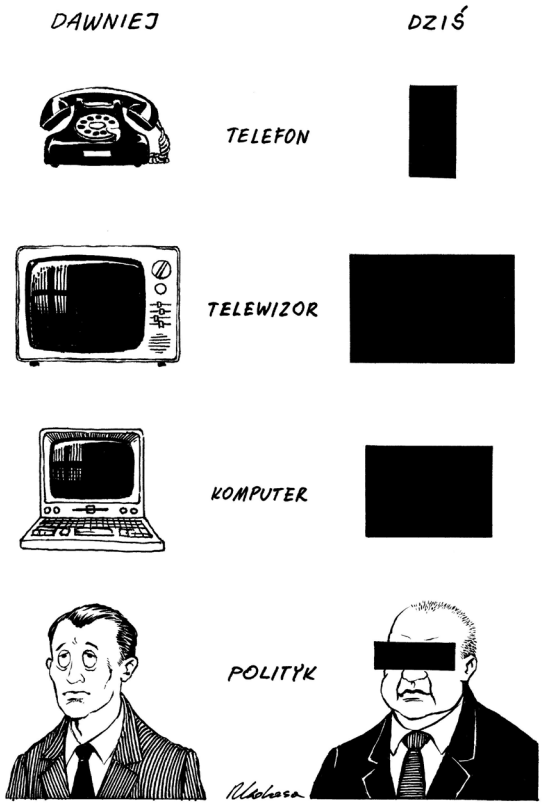

Rys. Robert Kolasa

Ten numer magazynu kulturalnego „Projektor" powstał przy wsparciu finansowym następujących osób:

Dziękujemy!

Maciej Bachorski (Środa Wielkopolska)
Krzysztof Borecki (Katowice)
Zbigniew Brzeziński (Kielce)
Agnieszka Czarnecka (Smyków)
Agnieszka Filipowska (Kielce)
Martha Gordon (Detroit)
Wojciech Jama (Rzeszów)
Sylwia Kanicka (Rudniki)
Wojciech Kawalec (Hyżne)
Katarzyna Kolasa-Grądzka (Warszawa)
Małgorzata Kolasa (Kielce)
Agnieszka Kozłowska-Piasta (Kielce)
Tomasz Kozłowski (Kielce)
Robert Konsztat (Stryków)
Janina Kraj (Górno)
Sebastian Krzysztofek (Warszawa)
Jerzy Marczyk (Kielce)
Michał Mazur (Kielce)
Krystian Mucha (Kazimierza Wielka)
Kamil Nowaczek (Kielce)
Joanna Nowisz (Warszawa)
Mateusz Pikora (Gdańsk)
Iga Reczyńska (Berlin)
Katarzyna Sobota (Kielce)
Bartosz Sowula (Kielce)
Łukasz Szaruga (Kielce)
Jerzy Tarnowski (Warszawa)
Michał Traczyk (Poznań)
Maciej Wasielewski (Tarnowo Podgórne)
Adam Woźniak (Warszawa)
Szczęsny Wroński (Kielce)

Dziękujemy!

Specjalne podziękowanie za ufundowanie nagród w zbiórce na rzecz numeru 2(35)/2019 dla **Jerzego Ozgi** (grafiki) i **Sławomira Zajączkowskiego** (komplety magazynu „Komiks i my").

Współfinansowanie: Stowarzyszenie Twórcze „Zenit" **oraz osoby prywatne**

Kupując nasze książki wspierasz wydawanie magazynu „Projektor"

szukaj na www.projektorkielce.pl